6/2018

10 LAT Nowa Europa Wschodnia

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik listopad–grudzień 6 (LVIII) / 2018 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)

Rok 1918 w Europie Wschodniej

Sowa | Chwalba | Bułhakau | Behrends

Michael Isikoff | David Corn

PUTIN – USA 1:0

Anna Israeljan

Armenia: pół roku Paszynjana

Andrzej Szeptycki

Polska i Ukraina pięć lat po Euromajdanie

Dmytro Tużański

Viktor Orbán wobec Zakarpacia

ISSN 1899-5411

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

wydawnictwo
KEW

EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE

Inga Žolude
Ukojenie dla drzewa Adama

–

NAGRODA LITERACKA
UNII EUROPEJSKIEJ 2011



KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

New Eastern Europe
Nowa Europa Wschodnia
Kolegium Europy Wschodniej

eprasa.pl fc728fc9e1

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl fc728fc9e1

eprasa.pl fc728fc9e1



Grażyna Makara

Nie idźmy tą samą drogą

Sto lat temu Polska odzyskała niepodległość – spełniło się marzenie kilku pokoleń Polaków. Jednocześnie była to niepodległość daleka od doskonałości. Państwo jeszcze długo musiało walczyć o kształt granic, było słabe i biedne. Jedną z wielu bolączek była kwestia mniejszości narodowych, które stanowiły duży odsetek obywateli Polski. Mniejszości te miały aspiracje nie do pogodzenia z polską racją stanu. Problem był właściwie nierozwiązywalny – jak słusznie zauważa Andrzej Leon Sowa w rozmowie w tym numerze „Nowej Europy Wschodniej". Ostatecznie o upadku II Rzeczpospolitej zdecydowała agresja dwóch sąsiadujących mocarstw: Niemiec i Związku Radzieckiego, ale także wtedy kwestie mniejszości nie przestały odgrywać kluczowej roli. Żydów eksterminowano, nastrojami wśród innych narodów próbowano grać, by pozyskać ich do taktycznych rozgrywek.

Odrodzona w 1989 roku Polska, III Rzeczpospolita, była państwem niemal jednorodnym etnicznie. Niemniej to „niemal" robiło różnicę. Ojcowie założyciele III Rzeczpospolitej byli czujni w kwestii mniejszości narodowych – w rezultacie Polska przyjęła rozwiązania bardzo dla nich korzystne. Nie wszystko udało się uregulować, ale mniejszości, mające także jako sojuszników większość mediów, mogły upominać się o swoje. W efekcie na przykład Litwinom w Polsce żyje się łatwiej niż Polakom na Litwie, choć tam stanowią oni większy odsetek społeczeństwa.

Dziś obserwujemy zanegowanie liberalnego paradygmatu w polityce – można się bać, że dotyczyć to będzie także stosunku wobec mniejszości. Obok tych mieszkających w Polsce z dziada pradziada pojawia się duża liczba Ukraińców (i także Białorusinów), którzy przyjeżdżają nad Wisłę w poszukiwaniu lepszego losu. Jak zauważył kiedyś na łamach naszego pisma ambasador Ukrainy Andrij Deszczyca – nie sami aniołowie przyjeżdżają i nie sami aniołowie ich witają. Stosunki między Polską a Ukrainą są napięte. Nie czas rozstrzygać, kto jest winien, za to troską każdego Polaka powinno być, by wobec przybyszy do naszego kraju nie pojawiała się wrogość. Znam osiedle, na którym mieszkańcy domagali się dodatkowych zabezpieczeń w garażach po tym, jak wprowadziło się kilka ukraińskich rodzin. Jeśli takie postawy wezmą w nas górę, to zaprzepaścimy wielki dorobek III RP, jakim był przyjazny stosunek do innych narodów. Alternatywą może być powtórka z historii. Ale to nie jest droga, której życzyłby Polakom ktokolwiek o zdrowych zmysłach.

Andrzej Brzeziecki, redaktor naczelny „Nowej Europy Wschodniej"

eprasa.pl fc728fc9e1

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Tomaszem Pugacewiczem **Nowy ład *à la* Trump** 7

Publicystyka

Wojciech Konończuk **Program ukraiński „Kultury" – etap, a nie koniec historii** 21
Rozmowa z Michaelem Isikoffem i Davidem Cornem **Ameryka pływa w mętnej wodzie** 29
Andrzej Szeptycki **Polska–Ukraina: pięć lat po Euromajdanie** 37
Rozmowa z Anną Israeljan **Paszynjan – showman czy mąż stanu** 44
Ilgar Wielizade **Wielka ropa i wielkie problemy największego jeziora** 51
Rozmowa z Ismailem Dżalilowem **Niewidzialni** 56
Marcin Kaczmarski **W klatce ideologii** 64
Rozmowa z Dmytrem Tużańskim **Ukraina–Węgry: ile znaczy Zakarpacie?** 70

Historia

Rozmowa z Andrzejem Leonem Sową **Polska nie wybuchła** 78

Kultura

Magdalena Lejman **Radziecki Sinatra** 96
Grzegorz Skrukwa **Cień rosyjskich szpiegów nad Krainą Jezior** 102

Prezentacja

Agnieszka Rybak, Anna Smółka **Radio wileńskie** 109

Reportaż

Piotr Pogorzelski **Ukraiński rak** 115

Fotoreportaż

Magdalena Chodownik **Naddniestrze w cieniu kołchozów** 121

eprasa.pl fc728fc9e1

Recenzje

Piotr Pogorzelski **Parapaństwo jak się patrzy!** 130
O książce Piotra Oleksego *Naddniestrze. Terror tożsamości*
Andrzej Szeptycki **Biznes, kobiety i polityka** 134
O książce Michaela Isikoffa i Davida Corna *Rosyjska ruletka. Jak Putin zhakował Amerykę i wygrał wybory za Donalda Trumpa*
Wojciech Wojtasiewicz **Gruzja oczami inteligenta** 137
O książce Gogiego Gwaharii *Załzawione okulary. 4 dekady historii Gruzji w 34 scenach*
Maciej Robert **Tu jest Turcja** 139
O książce Marceliny Szumer-Brysz *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji*
Magdalena Lejman **Idealistyczni anarchiści** 142
O książce Konstantego Usenki *Buszujący w barszczu. Kontrkultura w Rosji sto lat po rewolucji*
Urszula Pieczek **Jeden Lwów, dwa plany, czterech przyjaciół, wiele pytań** 143
O książce Jurija Wynnyczuka *Tango śmierci*
Sonia Knapczyk **Szukanie siebie na Bukowinie** 145
O książce Andrzeja Paradysza *Anioły i demony na Bukowinie. Rowerem na pograniczu kultur*
Zbigniew Rokita **Kino w kinie** 147
O filmie *Lato*, reż. Kirił Serebrennikow

Rok 1918 w Europie Wschodniej

Kyryło Hałuszko **Dwóch marszałków** 150
Rozmowa z Janem Claasem Behrendsem **Wschodnieuropejskie kolonie** 158
Rozmowa z Andrzejem Chwalbą **Rysowanie nowej mapy** 163
Rozmowa z Valerem Bułhakauem **Republika odzyskana** 170

eprasa.pl fc728fc9e1

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane przez
MIASTO WROCŁAW

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Publikacja współfinansowana z przekazanych
przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej
środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Republiki Federalnej Niemiec

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Auswärtiges Amt

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni sobie swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Andrzej Brzeziecki (redaktor naczelny), Małgorzata Nocuń (zastępca redaktora naczelnego), Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ
Piotr Andrusieczko, Adam Balcer, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Sonia Knapczyk, Wojciech Konończuk, Bohdana Kostiuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski, Andrzej Zaręba (rysunki)

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice,
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
e-mail: office@kew.org.pl
www.kew.org.pl
Prezes Zarządu: Jan Andrzej Dąbrowski

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Szlak 26/12A
30-001 Kraków
redakcja@new.org.pl
www.new.org.pl

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 5% VAT)
Nakład 2400 egz.
Druk: Media Studio Reklamy Drukarnia,
Aleja Kołłątaja 73, Będzin 42-500

eprasa.pl fc728fc9e1

Nowy ład *à la* Trump

Z Tomaszem Pugacewiczem, amerykanistą i badaczem stosunków międzynarodowych, rozmawia Zbigniew Rokita

ZBIGNIEW ROKITA: Od początku rządów Donalda Trumpa komentatorzy szukają logiki w jego działaniach. Część z nich twierdzi, że ma on wizję międzynarodowego ładu, słusznie diagnozuje problemy, ale jego metody są nieskuteczne.

TOMASZ PUGACEWICZ: Myślę, że Trump ma spójną wizję świata, w jego działaniach jest logika. Najbliżej mu do szkoły, którą badacze stosunków międzynarodowych nazywają realistyczną, ale w dość wczesnej, prymitywnej jego wersji. Taki realizm na sterydach.

Czym charakteryzuje się ta szkoła?

Według niej podstawowym uczestnikiem stosunków międzynarodowych są państwa. Rywalizują ze sobą według reguł anarchii żywcem wyjętych z Hobbesowskiego *Lewiatana*. W tej wizji nie ma miejsca na instytucje międzynarodowe czy jakąkolwiek szerszą współpracę. To świat, w którym według Trumpa Stany Zjednoczone jako potęga wojskowa i gospodarcza powinny radzić sobie całkiem dobrze. Różni go to od Baracka Obamy, który szeroko konsultował się z sojusznikami europejskimi, na przykład w zakresie nakładanych na Rosję po 2014 roku sankcji – ogłaszał je na dzień przed podjęciem decyzji w Unii Europejskiej, aby wesprzeć w Europie frakcję „prosankcyjną".

Nasza ocena wizji Trumpa uzależniona jest od przyjętej perspektywy. Amerykańscy liberałowie powiedzą, że dokonuje on erozji dotychczasowego liberalnego porządku, a realiści, że ta erozja zachodziła już wcześniej, a Trump po prostu przeciwdziała toczącym się procesom: strefa wpływów USA się kurczy, czekają nas nowe porządki tworzone przez wschodzące potęgi, które oprą się na innych niż liberalne regułach. Nie zmienia to jednak faktu, że Trump posiada cechę, którą przeciwnicy nazwą chwiejnością, a zwolennicy angielskim terminem *maverick* – to określenie osoby potrafiącej wykonywać niespodziewane wolty, autonomicznej. Trzeba być więc przygotowanym, że realizując swoją wizję, Trump jest gotowy postępować nieszablonowo, na granicy nieodpowiedzialności. W rezultacie staje się on dodatkowym źródłem ryzyka pod-

eprasa.pl fc728fc9e1

noszącym i tak już wysoki globalny poziom niepewności.

Weźmy wojnę handlową z Chinami – Trump doszedł do wniosku, że za dwadzieścia lat Pekin urośnie w siłę do tego stopnia, że Waszyngton nie będzie w stanie obronić już swojej hegemonii, a Chińczyków trzeba osłabić już teraz. Temu służyć ma wojna handlowa i odejście od globalizacyjnego paradygmatu, który zdaniem Trumpa Amerykanom się nie opłaca. Tak, to dążenie do zmiany światowych reguł.

Gdy Chiny przyjmowane były w 2001 roku do Światowej Organizacji Handlu, Amerykanie zakładali, że otworzy się przed nimi wielki rynek i zyskają na pogłębiającej się globalizacji. Liczne badania, między innymi przeprowadzone przez Fundację Bertelsmanna, dowodzą jednak, że największymi beneficjentami procesów globalizacyjnych stały się nie Stany Zjednoczone, a Chiny, Niemcy, Korea Południowa i Polska. Z kolei badania Branko Milanovića z Banku Światowego pokazują, że korzyści z globalizacji klasa średnia odnosi głównie w gospodarkach wschodzących, natomiast w państwach wysoko rozwiniętych profity czerpią głównie elity. Dziś USA się pauperyzują – klasa średnia stanowiła jeszcze w 1971 roku ponad 60 procent społeczeństwa, dziś to już tylko połowa (to zresztą jeden z czynników, które wyniosły Trumpa do władzy). Rozwarstwienie pogłębia przyrost osób o niskich dochodach (prawie 30 procent społeczeństwa) przy jednoczesnym wzroście liczby osób o najwyższych zarobkach (około 20 procent). Pokazuje to, że Trump ma rację, mówiąc o trudnościach, które dla Amerykanów generuje globalizacja. Z drugiej strony pamiętajmy, że choć Amerykanie w handlu z Chinami mają ogromny deficyt, to ich relacje opierają się też na rosnącej sprzedaży amerykańskich usług do ChRL i kredytowaniu przez Chińczyków amerykańskiego zadłużenia.

Czy on nie wraca do amerykańskiej tradycji izolacjonizmu? Stany Zjednoczone przez dwie trzecie swojej historii hołdowały tej idei.

Pamiętajmy, że amerykański izolacjonizm polegał na dystansowaniu się od konfliktów zbrojnych, nie od utrzymywania relacji gospodarczych. Stany Zjednoczone były otwarte na handel, w tym na import innowacyjnych rozwiązań, czasami nawet wbrew prawom własności intelektualnej. Jednak już w XIX wieku USA nie miały problemu ze zbrojnym interweniowaniem na zachodniej półkuli i wybrzeżu Pacyfiku, a w XX wieku rozszerzyły zakres militarnej aktywności na Europę, a następnie na cały świat.

Rzeczywiście mówimy jednak, że od końca lat trzydziestych XX wieku doszło do jakościowej zmiany i Stany

eprasa.pl fc728fc9e1

Zjednoczone nie interesują się już tylko zachodnią półkulą. Te osiemdziesiąt lat zaangażowania to dla dwustuczterdziestoletniego kraju nie tak mało. Mamy więc do czynienia z różnymi tradycjami w polityce zagranicznej USA. Według typologii profesora Waltera Russella Meada, Trump wraca do tradycji siódmego prezydenta Andrew Jacksona: lider ma być głosem sprzeciwu ludu wobec elit, a w polityce zagranicznej liczą się tylko racja stanu i obrona swoich interesów.

Mam wrażenie, że dla Trumpa paradygmat bezpieczeństwa wojskowego ustępuje paradygmatowi gospodarczemu. Próbuje on neutralizować zagrożenia militarne dla USA, ale tylko pozornie – wycofując się z Bliskiego Wschodu, zawierając papierowy układ z Koreą Północną czy ocieplając relacje z Rosją. W rzeczywistości nie rozwiązuje on tych konfliktów, a tylko ogłasza siebie demiurgiem pokoju. Tymczasem tam, gdzie widzi zagrożenie gospodarcze, nie boi się stanąć do walki.

Z jednej strony Trump powtarza, że inne kraje muszą wziąć większą odpowiedzialność za światowe bezpieczeństwo, że Amerykanie zbyt dużo wydają na sprawy zagraniczne i dlatego nie stać ich na inwestycje we własnym kraju. Z drugiej strony spójrz na pierwszy w pełni przez niego ukształtowany budżet, na rok 2019 – mamy wzrost wydatków na zbrojenia w związku z przygotowaniami do konfliktu konwencjonalnego, może z aspektem nuklearnym, z takimi państwami jak Rosja czy Chiny. W przypadku gospodarki Trump podważa dotychczasowy ład i to jest łatwiejsze do zauważenia.

W jakim stopniu jest on samodzielny w prowadzeniu polityki zagranicznej?

Popkultura sprzedaje wizerunek prezydenta USA jako osoby wszechmogącej. Owszem, ma on taką władzę, ale tylko w sytuacjach kryzysowych. W normalnych warunkach ograniczają go dwa ośrodki. Pierwszym jest Kongres. Dobrym przykładem była połowa 2017 roku, gdy Trump był *de facto* zmuszony do podpisania ustawy nakładającej sankcje na Rosję, gdyż taka była wola niemal wszystkich kongresmenów. Jego weto nic by nie dało, a nałożenie sankcji było wbrew jego deklaracjom. Była to spektakularna porażka Trumpa, gdyż raz wprowadzone przez Kongres sankcje szalenie trudno odwołać. Drugim ośrodkiem ograniczającym uprawnienia prezydenta jest aparat administracyjny.

Do myślenia daje wiele faktów, w tym ustrojowych, ale też opublikowany niedawno w „The New York Times" tekst anonimowego urzędnika z jego administracji.

eprasa.pl fc728fc9e1

Tomasz Pugacewicz: Trump ma spójną wizję świata, w jego działaniach jest logika. Najbliżej mu do szkoły, którą badacze stosunków międzynarodowych nazywają realistyczną, ale w dość wczesnej, prymitywnej wersji. Taki realizm na sterydach.



Zbigniew Rokita

eprasa [illegible]fc9e1

Nasza wiedza o wielu posunięciach i porażkach Trumpa wynika z faktu, że wspomniany aparat jest mu nierzadko przeciwny i skłonny ujawniać niepowodzenia. Do tego dochodzi ograniczające go społeczeństwo – think tanki, media, a przede wszystkim grupy interesów gospodarczych. Przemysł czy farmerzy już są aktywni i wpływają na polityków, a nie bez znaczenia jest w USA fakt, że cykl wyborczy wynosi tam raptem dwa lata.

Jakie jest miejsce Rosji w wizji ładu światowego Trumpa? Dlaczego tak zależy mu na dobrych z nią relacjach?

Do połowy 2016 roku, gdy kampania wyborcza nabiera rozpędu, Trump nie słynie z prorosyjskich wystąpień. Jeszcze rok wcześniej w swojej książce deklaruje, że Rosja jest długofalowym przeciwnikiem USA. W 2016 roku Trump jest już pewien nominacji z ramienia Partii Republikańskiej i musi skrystalizować swoje poglądy na politykę zagraniczną. Pomaga mu w tym szef jego kampanii Paul Manafort, który kieruje go ku jednemu ze skrzydeł republikanów związanych ze szkołą realistyczną, a szczególnie ku Centrum na Rzecz Interesu Narodowego.

Manafort, który pracował dla Wiktora Janukowycza i robił interesy z kremlowskim oligarchą Olegiem Deripaską.

Instytucja, do której zaprowadził on Trumpa, jest związana z byłym doradcą Nixona, Dmitrijem Simsem, który urodził się w Związku Sowieckim i który nieustannie podkreśla, że głównym rywalem USA są Chiny, a Rosję amerykańskie elity traktują niesprawiedliwie. To w tej instytucji Trump po raz pierwszy wygłosił przemówienie o swojej polityce zagranicznej. Drugą osobą, która pomaga kształtować międzynarodowe poglądy Trumpa, jest Henry Kissinger – wielokrotnie wykorzystywany do zakulisowych rozmów z Moskwą, architekt Nixonowskiej polityki *détente*. Dla zrozumienia obecnej polityki USA wobec Rosji ważny jest też fakt, że między Trumpem i Putinem stworzyła się specyficzna relacja.

Masz na myśli nić porozumienia czy doniesienia o hakach, które Kreml ma mieć na amerykańskiego prezydenta?

Trump podziwia Putina w sposób, który uniemożliwia mu racjonalną ocenę faktów. Nie ma nic bardziej spektakularnego niż stwierdzenie prezydenta USA w Helsinkach, że nie doszło do rosyjskiej ingerencji w wybory w 2016 roku – wbrew wszelkim raportom wspólnoty wywiadowczej Stanów Zjednoczonych. Analitycy stawiają na ogół dwie tezy, aby wyjaśnić taką postawę. Pierwsza wiąże się z psychologią: Trump podziwia silnych liderów, sam chciałby takim być. Putin to rozumie i podsyca. Druga teza

eprasa.pl fc728fc9e1

mówi, że istnieje niejawny element tej relacji: bądź Trump spłaca teraz dług wdzięczności wobec Rosjan, bądź jest szantażowany.

Dług wdzięczności za co?

Spekuluje się o dwóch możliwościach. Pierwszą jest kremlowskie wsparcie kampanii wyborczej Trumpa za jego wiedzą – między innymi to bada teraz komisja Roberta Muellera. Drugą jest finansowa pomoc udzielona Trumpowi wiele lat temu, gdy ten znalazł się w dołku finansowym.

Skłaniałbyś się więc ku myśli, że Trump w polityce międzynarodowej chce wykorzystać Rosję głównie jako element walki z Chinami?

Trump nigdy tego wprost nie zadeklarował, jednak tak widzą to realiści, którzy starają się racjonalizować jego działania. Jeśli rzeczywiście Trump tak planuje tę rozgrywkę, to jest to inteligentne. To odwrócenie tak zwanego manewru Kissingera z lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy wykorzystując napięcia chińsko-sowieckie, doprowadził on do przyciągnięcia ChRL do USA i odciągnięcia jej od ZSRS. Realiści chcą powtórzyć ten ruch, zamieniając miejscami Chiny i Rosję.

Rosja nie zastąpi Stanom Zjednoczonym Chin jako wielkiego partnera gospodarczego. Może być za to pomocna w dwóch obszarach, jeśli idzie o naciski gospodarcze. Pierwszy to kwestia surowców energetycznych, gdzie na przykład Rosja jest największym zagranicznym dostawcą ropy naftowej do Chin i odpowiada za 14 procent chińskiego importu tego paliwa. Drugi obszar to artykuły rolne: Chiny w odpowiedzi na taryfy ogłoszone przez Trumpa uderzyły w amerykańskich farmerów i nałożyły cła na tego typu produkty z USA. W rezultacie tych działań – oraz spadku krajowej produkcji – Chiny zmuszone są do zwiększenia importu zbóż z Rosji.

Nie są to jednak obszary kluczowe, które umożliwią rzucenie Pekinu na kolana. Mogłoby się to udać pod warunkiem szerokiego współdziałania krajów, które chcą ograniczyć wzrost potęgi ChRL, ale pojawia się pytanie, czy Trump jest gotów na taką kooperację, skoro kwestionuje instytucje międzynarodowe mogące być do tego wykorzystane. Wreszcie – ale to już pytanie do rosjoznawców i kremlinologów – czy elity władzy Rosji są zainteresowane utratą intratnych źródeł dochodu, szczególnie w sytuacji sporów z innym ważnym partnerem gospodarczym, jakim jest UE, nie wspominając już o tym, jaki miałoby to wpływ na relacje rosyjsko-chińskie w obszarze bezpieczeństwa.

Odwróćmy teraz tę perspektywę i zdiagnozujmy obszary konfliktogenne, które mogą storpedować współpracę amerykańsko-rosyjską.

eprasa.pl fc728fc9e1

Po pierwsze, mamy konflikty na poziomie oczekiwań co do globalnej i regionalnej architektury bezpieczeństwa. Może to być amerykański sprzeciw wobec wykorzystywania siły przez Rosję do kształtowania nowego ładu politycznego w Europie. Na przykład Barack Obama nie przekazał Ukrainie śmiercionośnej broni, wychodząc z założenia, że zaogniłoby to rosyjsko-ukraiński konflikt, a Trump mimo oskarżeń o bycie prorosyjskim na Ukrainę broń przeciwpancerną wysłał. USA krytykują też rosyjskie wsparcie dla państw, które elita amerykańska uznaje za wrogów, takich jak Syria czy Iran. Po drugie, są konflikty gospodarcze. Zapominamy, że Stany Zjednoczone i Rosja należą do największych producentów ropy naftowej i gazu ziemnego. Rywalizują one o rynki zbytu dla swoich surowców. Konkurują też jako dwaj najwięksi eksporterzy broni. Mamy wreszcie spór na poziomie ideologicznym, a więc na przykład między kapitalizmem wolnorynkowym a kapitalizmem państwowym czy szerzej o to, jak powinien być zorganizowany ustrój państwa. Toczy się też wojna wywiadów. Mówi się, że Rosja ma dziś w USA więcej funkcjonariuszy wywiadu niż Związek Sowiecki w szczytowym momencie zimnej wojny. Choć składa się na to wiele czynników, w tym między innymi to, że zawsze łatwiej wysłać rosyjskiego oficera do USA niż amerykańskiego do Rosji.

Jednocześnie Amerykanie według doniesień prasowych mieli stracić znaczną część swoich agentów w Rosji. Moskwa zintensyfikowała działalność kontrwywiadowczą, na amerykańskich szpiegów padł strach po sprawie Skripalów, dodatkowo Rosja w ramach retorsji wydaliła kilkudziesięciu amerykańskich dyplomatów, którzy najpewniej też byli szpiegami. USA działają w Rosji po omacku.

To element większej całości. Wspólnota wywiadowcza Stanów Zjednoczonych na odcinku rosyjskim poniosła w ostatnich latach szereg porażek: w 2008 roku, gdy oczy wywiadu zwrócone były w kierunku Iraku i Afganistanu i nie przygotowano się na inwazję rosyjską w Gruzji; w 2014 roku, gdy Rosjanie wprowadzili ciszę radiową, uniemożliwiając Amerykanom śledzenie przygotowań do operacji krymskiej; w roku 2016, gdy Rosjanie przeprowadzili zmasowany cyberatak, ingerując w wybory w USA.

To pokłosie tego, że po 11 września 2001 roku amerykański wywiad zaczął intensywnie inwestować w rozwój na obszarze, który potencjalnie stanowił bazę Al-Kaidy. W ten sposób ludzie, którzy jeszcze w latach osiemdziesiątych XX wieku szkolili się, aby walczyć z Moskwą, musieli się przekwalifikować. Gdy rozpoczęła się więc wojna na Ukrainie w 2014 roku, amerykańska prasa, na przykład „The New York

eprasa.pl fc728fc9e1

Times", donosiła, że Amerykanie nie mają nawet zasobów wywiadowczych, które mogliby dodatkowo skierować przeciwko Rosji.

Dziś Amerykanie zbierają plony lat zaniedbań: USA posiada nie tylko za mało agentów w Rosji, ale też ma problemy z nadzorowaniem rozpoznanych rosyjskich szpiegów na swoim terytorium. Gdy w tym roku byłem w San Francisco na konferencji ekspertów do spraw bezpieczeństwa, okazało się, że zamknięcie konsulatu Federacji Rosyjskiej w tym mieście przyjęto z ulgą nie tyle jako wyraz retorsji, ile w związku z tym, że amerykańskie służby nie radziły sobie z rosyjskimi oficerami wywiadu, którzy potrafili bezczelnie poruszać się wzdłuż miejsc, gdzie przebiegają kable transpacyficznej komunikacji, i badać, gdzie dokładnie wychodzą na lądzie. Tego typu aktywność Rosjan w Dolinie Krzemowej, gdzie prowadzone są innowacyjne badania nie tylko cywilne, ale i wojskowe, była uznawana za szczególne zagrożenie.

Jak szybko można te zaniedbania nadrobić?

Wyszkolenie wyspecjalizowanego w danym regionie oficera wywiadu wraz ze zdobyciem przez niego odpowiedniego doświadczenia operacyjnego według standardów amerykańskich zajmuje osiem lat. Nie jest przypadkiem, że Osama bin Laden zginął w 2011 roku. Jeśli na masową skalę zaczęto rekrutować specjalistów od islamskiego terroryzmu w 2002 roku, to w pełni wykształcony agent pojawił się dopiero w 2010 roku.

A czy ustalenia komisji Roberta Muellera, który bada tak zwaną *Russiagate*, może odbić się na relacjach Waszyngtonu z Moskwą?

Już tak się dzieje. Im bardziej komisja ta wskazuje na związki współpracowników Trumpa z Rosją, tym bardziej Trump podejmuje działania mające zamanifestować, że potrafi się on Moskwie postawić – spotykając się z zagrożonymi ze strony Rosji sojusznikami USA czy dostarczając broń Ukrainie. Decydujące jest oczywiście to, czy komisja ustali, że sam prezydent Stanów Zjednoczonych był zaangażowany w rosyjską ingerencję wyborczą. To otworzyłoby drogę do impeachmentu, choć co do tego mam poważne wątpliwości.

Dlaczego? Polityk działający w porozumieniu z obcym mocarstwem, osłabiając własny kraj, to zdrajca.

Trump doszedł do władzy pod hasłem walki z elitami i reprezentowania ludu. Powiedziałby, że impeachment – formalnie przeprowadzany przez obie izby Kongresu – to odpowiedź elit, które usuwają go na mocy procedury nieangażującej bezpośrednio obywateli. Upolitycznіłoby to całą sprawę i otworzyłoby

eprasa.pl fc728fc9e1

pole do zbijania na niej głosów w kolejnych wyborach.

Szacuje się, że ingerencja Moskwy w wybory z 2016 roku przełożyła się na zniekształcenie wyników na poziomie 5–10 procent.

Trump przegrał wybory powszechne prawie 3 milionami głosów. Z uwagi na pośredni system wyboru i stosowaną w poszczególnych stanach metodę „zwycięzca bierze wszystko" przy przydzielaniu głosów elektorskich, o sukcesie Trumpa przesądziło łącznie zaledwie około 100 tysięcy głosów w trzech stanach. Ingerencja zewnętrzna nie musiała być więc masowa i dotyczyć wszystkich około 140 milionów głosujących, wystarczyło, że była celna w przypadku 0,1 procent wyborców.

Wśród Amerykanów istnieje świadomość, że Rosjanie ingerowali w ich elekcję? Nie poniża ich to? Tę operację nazywa się współczesnym elektronicznym Pearl Harbor.

Postrzeganie tej kwestii, podobnie jak wielu innych upolitycznionych w USA, jest uzależnione od partii, którą popiera ankietowany. Przed erą wielkiej polaryzacji sympatycy obu ugrupowań mniej więcej mieli podobne stanowisko wobec Rosji, przy zwyczajowo nieco większej sympatii demokratów. Od 2016 roku widzimy jednak, że narasta zrozumienie dla mocarstwowych ambicji Rosji wśród republikanów. Jesteśmy przyzwyczajeni do republikańskiej percepcji Rosji w wydaniu Johna McCaina, jednak obecnie nie wszyscy republikanie tak to widzą.

Z badań Pew Research Center wynika, że w październiku 2017 roku tylko 38 procent wyborców popierających republikanów uważało Rosję za zagrożenie dla USA (w przypadku demokratów ten odsetek wynosi 63 procent).

Po części pozytywna percepcja Putina wynika z istoty amerykańskiego konserwatyzmu: życzliwie spogląda on na silnych i skutecznych liderów, którzy potrafią utrzymać władzę i walczyć o swoje interesy. Trudno zakwestionować chociażby finezję operacji krymskiej – przy minimalnych stratach zdobyto jeden ze strategicznych przyczółków w basenie Morza Czarnego. Do tego dochodzi wspomniane przeświadczenie konserwatywnych realistów, że z biegiem lat wrogiem stają się Chiny, a Rosja przestaje nim być. I wreszcie zbliżenie z Moskwą niektórzy postrzegają jako element globalnego sojuszu wymierzonego w wartości liberalne.

Wśród elit zachodzi też zmiana pokoleniowa i odchodzą ludzie, którzy wyrastali w bipolarnym paradygmacie zimnowojennym.

eprasa.pl fc728fc9e1

Elity Stanów Zjednoczonych w ogóle przechodzą transformację, która jest konieczna. W ostatnim czasie ich działania są coraz bardziej nieskuteczne, o czym świadczą: wojny w Iraku i Afganistanie (zaangażowanie w Afganistanie stało się najdłuższą wojną w dziejach USA, dłuższą niż konflikt wietnamski!), kryzys gospodarczy w latach 2007–2009, topnienie klasy średniej, raport ONZ mówiący o tym, że w niektórych częściach Stanów Zjednoczonych dostęp do czystej wody jest na poziomie niektórych regionów Afryki. Pokazuje to, że tamtejsze elity nie potrafią wywiązywać się ze swoich zadań.

Transformacja dotyczyć musi między innymi sposobu myślenia. Nawet komentatorzy na łamach „Foreign Affairs" ostrzegają, że wkrótce to nie USA będą ingerować w innych krajach; zamiast tego należy zabezpieczyć się przed krajami niedemokratycznymi, których potęga rośnie i które mogą ingerować w Stanach Zjednoczonych. Nie mówią już o tym, że ład międzynarodowy ma promować demokrację, ale że powinien zapewnić współistnienie krajów demokratycznych i niedemokratycznych. To wielka zmiana. To rezygnacja z hegemonii.

Wyłania mi się obraz Trumpa jako zwulgaryzowanego, ale jednak realizatora właśnie tych postulatów – kwestionowania elit, obrony swoich interesów, suwerenności, odrzucenia aksjologicznego wymiaru stosunków międzynarodowych. A jak sam mówisz, postulaty te padają nie tylko w Fox News, ale też w centrowo-liberalnym „Foreign Affairs". Wracamy do początku rozmowy: może Trump ma dobre intuicje, ale nie ma kompetencji, które pozwalają mu być najważniejszym politykiem na świecie.

Mówisz teraz do mnie słowami Johna Ikenberry'ego, czołowego amerykańskiego badacza liberalnego porządku. Napisał on ostatnio w owym „Foreign Affairs", że Trump w sposób mało finezyjny, ale jednak domaga się często renegocjacji wielu zasad ładu światowego, które od dawna były niekorzystne dla Stanów Zjednoczonych, i idzie w dobrą stronę. Głos Ikenberry'ego nie jest odosobniony. Pytanie, czy Trump zostanie na drugą kadencję i ewentualnie, kto przyjdzie po nim. Może pojawi się ktoś o wiele bardziej radykalny od Trumpa – słyszę od amerykańskich intelektualistów, że mogą nadejść jeszcze czasy, gdy będziemy go wspominać z sentymentem.

Tomasz Pugacewicz jest amerykanistą, adiunktem w Katedrze Historii Dyplomacji i Polityki Międzynarodowej Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA



eprasa.pl c728fc9e

REKLAMA

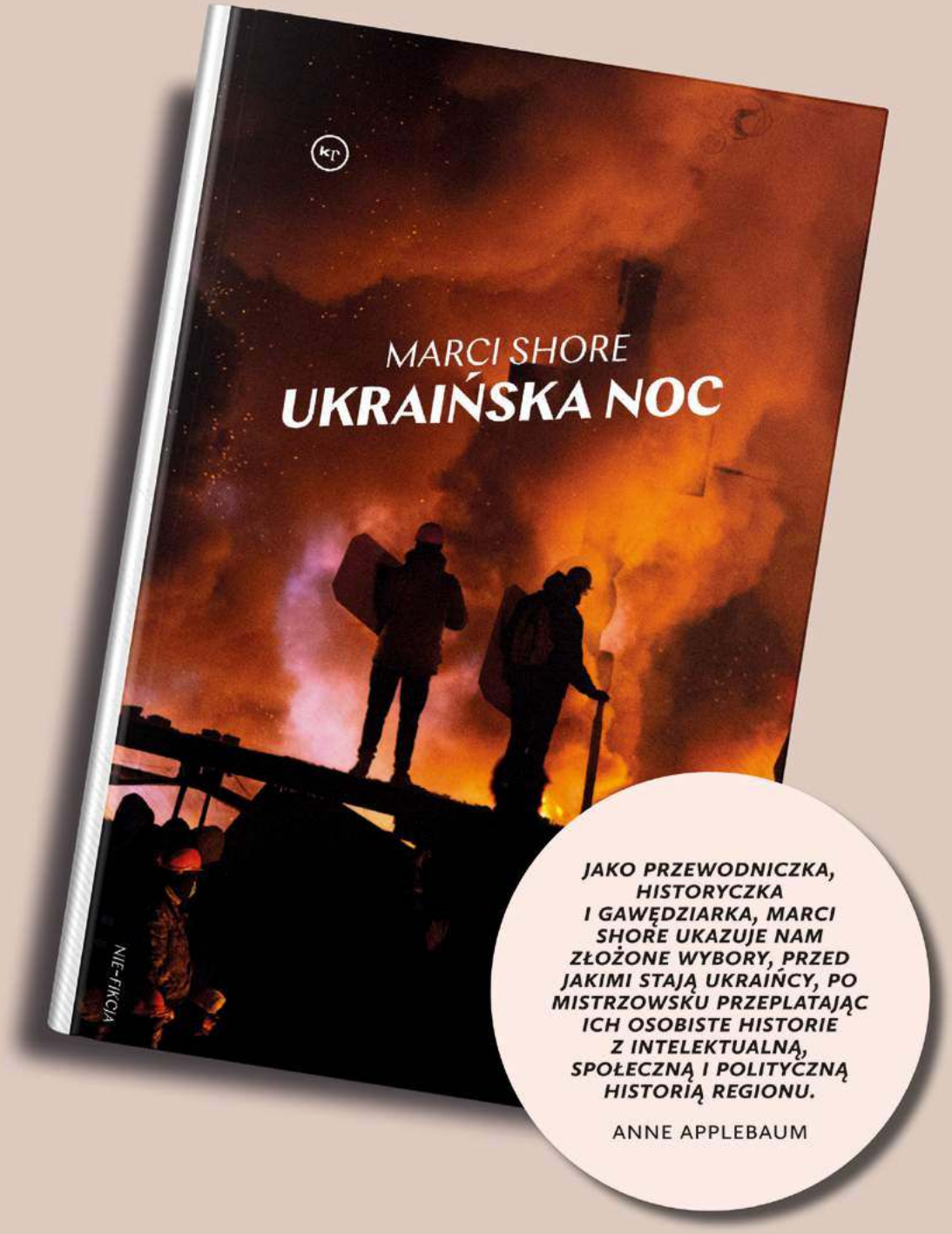

WYDAWNICTWO | krytyka polityczna

WWW.WYDAWNICTWO.KRYTYKAPOLITYCZNA.PL

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

wydawnictwo
KEW

EUROPEAN UNION
PRIZE FOR LITERATURE

Inga Žolude
Ukojenie dla drzewa Adama

–

NAGRODA LITERACKA
UNII EUROPEJSKIEJ 2011



KSIĄŻKI DOSTĘPNE W NAJLEPSZYCH KSIĘGARNIACH ORAZ SKLEPIE INTERNETOWYM WWW.KEW.ORG.PL

New Eastern Europe
Nowa Europa Wschodnia
Kolegium Europy Wschodniej

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

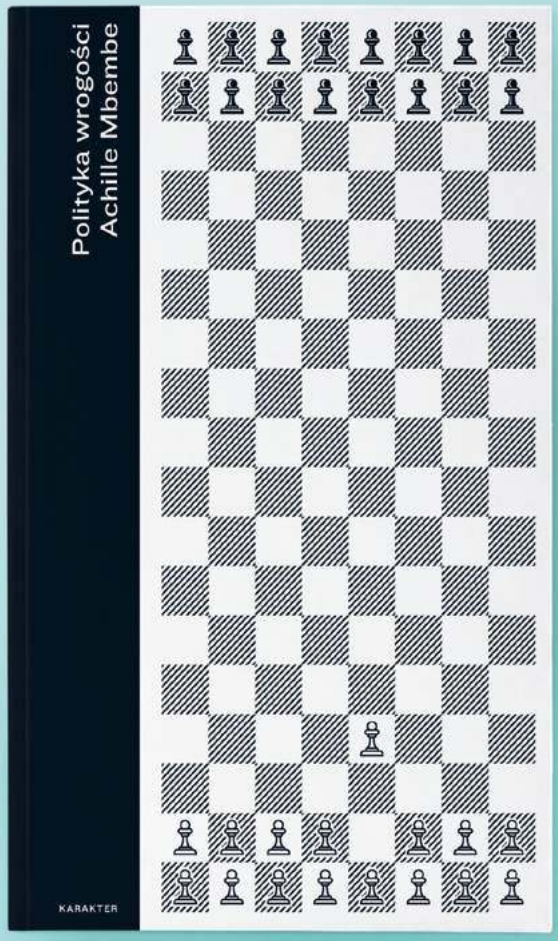

„Nie chcemy przyznać, że tak naprawdę nasze ja zawsze kształtowało się w opozycji do Innego - Murzyna, Żyda, Araba”.

ACHILLE MBEMBE, *POLITYKA WROGOŚCI*

Już w księgarniach i na karakter.pl!

eprasa.pl fc728fc9e1

Program ukraiński „Kultury" – etap, a nie koniec historii

Wojciech Konończuk

Idee Mieroszewskiego–Giedroycia nie wzięły się znikąd, ale były kontynuacją bogatego dorobku polskiej myśli wschodniej. Program „Kultury" wobec Ukrainy jest fundamentem, na którym należy budować stosunki polsko-ukraińskie. Naiwnością jest jednak przekonanie, że w obliczu zmieniającej się rzeczywistości po obu stronach granicy znajdziemy w nim recepty na rozwiązanie obecnych i przyszłych problemów.

Mój artykuł *Czas na doktrynę postgiedroyciowską wobec Ukrainy* („Nowa Europa Wschodnia" nr 1/2018) wywołał spodziewaną polemikę, jak również opinie, które w większym lub mniejszym stopniu zgadzały się z jego głównymi tezami. Tekst powstał z przekonania, że w Polsce potrzebna jest refleksja na temat wizji stosunków z Ukrainą, dostosowanej do zmian, jakie zachodzą w obu krajach, i odpowiadającej na nowe wyzwania. Celem była więc próba pobudzenia dyskusji, ale zarazem chęć wzniesienia się ponad bieżące konflikty, aby pewne sprawy zobaczyć z dystansu. Dlatego też wyraźnie zaznaczyłem, że tekst nie służy ocenie tego, kto ma rację w trwających sporach.

Nie jestem w stanie odnieść się do wszystkich uwag i komentarzy moich polemistów, ale spróbuję odpowiedzieć przynajmniej na niektóre ich argumenty. Zacząć muszę jednak od krótkiego przypomnienia najważniejszych wniosków mojego tekstu. Stwierdziłem mianowicie, że wizjonerski program ukraiński „Kultury", choć był niezwykle ważnym drogowskazem dla wolnej Polski, nie rozwiąże aktualnych polsko-ukraińskich problemów. Najlepsza koncepcja wymaga weryfikacji i rewizji, gdy zmienia się rzeczywistość. Napisałem również, że zmiany, jakie zaszły na Ukrainie w wyniku rewolucji godności i agresji rosyjskiej, stały się punktem zwrotnym w historii niepodległej Ukrainy. Pociągnęły bowiem za sobą przyspieszony – choć niezakończony – proces wzmacniania ukraińskiej tożsamości państwowej oraz doprowadziły do strategicznego i bezalternatywnego zwrotu Kijowa na Zachód. To wszystko oznacza radykalną zmianę sytuacji międzynarodowej w tej części Europy,

eprasa.pl fc728fc9e1

która jest dla Polski bardzo korzystna. Stanowi bowiem realizację jednego z naczelnych postulatów „Kultury", czyli wspierania budowy podmiotowego i niezależnego od Rosji państwa ukraińskiego, które jednoznacznie wybrało zachodni kierunek rozwoju.

Tytułowa „doktryna" zapewne nie była terminem idealnym i może bardziej trafnym jest „program". *Słownik języka polskiego* wyjaśnia wprawdzie, że doktryna to „zespół poglądów i planów strategicznych dotyczących polityki państwa", a zatem idee stworzone przez środowisko „Kultury" wpisują się w tę definicję. Słowo „doktryna" na określenie programu wschodniego „Kultury" jest też regularnie używane między innymi przez Zdzisława Najdera, przez wiele lat związanego z redakcją z Maisons-Laffitte.

Rozczarowująca polemika

Na początek niezbędna jest generalna uwaga. Nigdzie nie pisałem i nie uważam, że wypełniło się całe przesłanie programu wschodniego „Kultury". Mój tekst odnosił się wyłącznie do jego części ukraińskiej i zaznaczyłem to wielokrotnie, poczynając od tytułu. A piszę o tym dlatego, że część osób, które zabrały głos w dyskusji, najwidoczniej tego nie zauważyła. Tymczasem wyraźnie zastrzegłem, że założenia myśli „Kultury" pozostają w pełni aktualne wobec Białorusi, której podmiotowość i suwerenność – inaczej niż w przypadku Ukrainy – nie są bynajmniej przesądzone. Podobnie antyimperialne idee Giedroycia i Mieroszewskiego dotyczące Rosji nie straciły na znaczeniu. Nie one są jednak przedmiotem tej dyskusji.

Przyznaję, że głosy polemiczne były dla mnie rozczarowujące. Także dlatego, że części niektórych artykułów (w szczególności Adama Balcera i o. Tomasza Dostatniego) są nie tyle polemiką ze mną, ile raczej stanowią rozważania ich autorów na tematy luźno związane z kwestiami, jakie poruszyłem. Ponadto niektórzy z moich polemistów wyczytali w moim tekście coś, czego w nim nie było. Wbrew zarzutowi o. Tomasza Dostatniego nie proponuję odrzucenia „doktryny przyjaznego sąsiedztwa" z Ukrainą. Cały mój tekst świadczy o czymś dokładnie przeciwnym. Natalia Bryżko-Zapór uznała wręcz, że „na dzisiejszym etapie politycznego rozwoju Polska nie dojrzała do wizji Giedroycia–Mieroszowskiego". Jest to teza zaskakująca, ale niestety w tekście nie znajdziemy argumentów na jej poparcie.

Żaden z moich polemistów nie odniósł się do jednej z moich najważniejszych tez, a mianowicie, że od ponad czterech lat radykalnie zmienia się państwo ukraińskie, co nazwałem powstawaniem nowej Ukrainy. Jedynie Natalia Bryżko-Zapór polemizuje z moją tezą, że Ukraińcy wybrali kierunek zachodni jako strategiczny, stwierdzając, że jestem nazbyt optymistyczny i przekonanie to „z dnia na dzień traci

eprasa.pl fc728fc9e1

uzasadnienie", zaś argumentem ma być trwający kryzys społeczny i ekonomiczny oraz rozczarowanie Ukraińców reformami.

Muszę przypomnieć, że opinię (zresztą daleko nie tylko moją, bo dla wielu ukraińskich ekspertów ta teza jest oczywista) o wyborze przez Kijów kierunku zachodniego jako niemającego alternatywy oparłem na diagnozie fundamentalnych zmian, jakie od 2014 roku w przyspieszonym tempie zachodzą w ukraińskiej tożsamości, oraz na tym, że w związku z trwającą wojną nie może być powrotu do dawnego modelu relacji ukraińsko-rosyjskich. Jednocześnie jednak wyraźnie zastrzegłem, że uważam tak, pomimo iż przed Ukrainą stoi bardzo wiele wyzwań większych nawet niż Rosja, w tym między innymi systemowa korupcja, rozczarowujący proces reform i zbyt powolna transformacja systemu politycznego. Europeizacja Ukrainy będzie trudna i zajmie jeszcze wiele lat, co do tego nie ma wątpliwości. Zwrot w stronę Rosji przestał być jednak alternatywą i to jest ta zasadnicza zmiana. Zaś co do „utraty uzasadnienia z dnia na dzień" – wrześniowy sondaż Fundacji Inicjatyw Demokratycznych pokazał, że na ewentualnym referendum co do członkostwa Ukrainy w NATO odpowiedzi „za" udzieliłoby aż 67 procent Ukraińców, czyli najwięcej w historii, zaś przeciw byłoby 28 procent. Pięć lat temu wynik był odwrotny. Poparcie dla integracji z Unią Europejską jest również bardzo wysokie, wyższe niż w niektórych krajach członkowskich Unii. I to jest skala zmian, jakie zachodzą na Ukrainie.

Giedroyc znany był z realistycznego myślenia, pewnie by sobie nie życzył, aby „zatopić" go w brązie. Giedroyc to nie Lenin i nie powinniśmy traktować go po leninowsku.

Natalia Bryżko-Zapór uznała również, że jakoby „geopolityczne zakotwiczenie" Ukrainy przestało być „priorytetem i dogmatem polskiej polityki wschodniej". Zaostrzeniu uległ polsko-ukraiński spór o historię, ale czy daje to podstawy do tak mocnej tezy? Szczególnie, że na jej poparcie nie przytoczono żadnych dowodów. Mimo obecnych problemów w stosunkach dwustronnych Polska była i pozostaje jednym z najbardziej przychylnie nastawionych do Ukrainy państw w Unii Europejskiej. O żadnej zmianie strategicznych priorytetów nie może być mowy. Należy też przypominać, że kwestie historii nie wyczerpują relacji na linii Warszawa–Kijów.

Adam Balcer napisał, że opisując obecne stosunki polsko-ukraińskie, użyłem słowa „przewartościowanie", a tymczasem „warto nazwać rzecz po imieniu i przyznać, że mamy do czynienia z najpoważniejszym kryzysem w relacjach polsko-ukraińskich po 1991 roku". Gdyby przeczytał mój artykuł uważnie, znalazłby tam identyczne sformułowanie mówiące właśnie o „największym po 1991 roku kryzysie w stosunkach dwustronnych".

eprasa.pl fc728fc9e1

Moi polemiści, diagnozując kryzys, nie odnieśli się jednak do zmian w polityce Ukrainy, które w oczywisty sposób, obok zmian w samej Polsce (w tym nieszczęsna nowelizacja ustawy o IPN), wpływają negatywnie na relacje dwustronne. Czy naprawdę, jak napisał o. Dostatni, to wyłącznie „zmiany polskiej polityki historycznej doprowadziły do kryzysu w relacjach z Ukrainą"? A ukraińska ustawa dotycząca OUN-UPA z kwietnia 2015 roku nie miała znaczenia? A obowiązujący już półtora roku zakaz polskich ekshumacji? A wizyta prezydenta Petra Poroszenki w 75. rocznicę krwawej niedzieli w Sahryniu (rocznica popełnionej tam zbrodni przypada w marcu) i coraz widoczniejsze tworzenie przez Kijów mitu anty-Wołynia? Przykładów jest zresztą więcej.

Bryżko-Zapór stwierdziła, że mój artykuł „wpisał się w poprzedzające go wypowiedzi kilku ekspertów i decydentów polskiej polityki zagranicznej", w tym Jana Parysa, ówcześnie szefa gabinetu politycznego ministra spraw zagranicznych. Jak rozumiem, chodzi o zakwestionowanie przez niego powtarzanego często bezrefleksyjnie przekonania, że „bez wolnej Polski nie ma wolnej Ukrainy". Podobna opinia znalazła się w moim tekście (powstał zresztą przed wypowiedzią Parysa), jednak nie jest ona ani niczym nowym, ani odkrywczym. Dla przykładu, już kilka lat temu Roman Kuźniar, doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego, napisał: „Zupełnie nieprawdziwe okazało się też hasło »bez wolnej Ukrainy nie ma wolnej Polski«. Można powiedzieć: na szczęście, bo gdyby miało być inaczej, musielibyśmy nieustannie drżeć o niepodległość Polski".

Trudno się z tym nie zgodzić.

Zagubieni w interpretacjach

Tadeusz A. Olszański słusznie zwrócił uwagę, że każdy z uczestników tej dyskusji inaczej pojmuje doktrynę Giedroycia, „widząc w niej uzasadnienie własnych poglądów". Faktem jest, że nie ma „kanonicznej" wykładni myśli „Kultury" i nie została ona nigdzie usystematyzowana (ciekawe, że nawet w polskiej Wikipedii, która zawiera 1,3 miliona haseł, „doktryna Giedroycia" nie istnieje). W rezultacie trwa spór interpretacyjny o to, co Redaktor i jego współpracownicy mieli (lub nie mieli) na myśli.

Przykładu dostarcza fragment artykułu Adama Balcera, w którym odwołując się do tekstu „Kultury" z 1953 roku, napisał, że pismo „traktowało polską politykę wschodnią i zachodnią jako naczynia połączone". Zasadniczo się z tym zgadzam. Inaczej uważa jednak na przykład wspomniany Zdzisław Najder, który napisał kilka lat temu, że „Redaktor »Kultury« przyjmował do aprobującej świadomości istnienie i rozwój wspólnot europejskich, ale mało się nimi interesował i w swoich wizjach nie brał pod uwagę ani ich integrującej roli, ani ich struktur". Pokazuje to, że spór

eprasa.pl fc728fc9e1

o interpretację tego, co w niektórych sprawach „Kultura" miała na myśli, będzie trwał. W tym kontekście zarzucanie mi, co – czyni Balcer – „niezrozumienia stanowiska »Kultury« w sprawach ukraińskich" jest niewiarygodne.

Kto miałby rozstrzygnąć, kto rozumie myśl z Maisons-Laffitte lepiej? W nieco podobnym tonie pisze Bryżko-Zapór, stwierdzając, że „giedroyciowski pragmatyzm nakazywałby odłożyć spór [o historię] na lepsze czasy"? A skąd to wiemy? Z twórczości Redaktora nie da się bowiem tego wyczytać.

Zarzut większego kalibru stawia jednak o. Dostatni, który uznał, że „projekt »Kultury«" jest stale aktualny, gdyż alternatywa – niedopracowana i nieprzemyślana dogłębnie – jest na rękę Putinowi". Takie postawienie sprawy blokuje jakąkolwiek dyskusję. O. Dostatni sugeruje ponadto, że mój tekst wpisuje się w potrzeby „nowej ekipy sprawującej w Polsce władzę" dla „intelektualnego, politologicznego i ideowego fundamentu dla uzasadnienia swojego postępowania". Kolejny chybiony zarzut, który prowadzi do zamknięcia drzwi do spokojnej, merytorycznej wymiany argumentów. Moje teksty wynikają wyłącznie z moich własnych przemyśleń.

Ponad stulecie przed „Kulturą"

Część sporów o Giedroycia i „Kulturę" bierze się być może również z… nieznajomości polskiej myśli politycznej. Co najmniej część dorobku „Kultury", który niejako automatycznie jest przypisywany temu środowisku, ma w istocie znacznie głębsze korzenie intelektualne. Warto pamiętać, że Giedroyc i jego współpracownicy nie zaczynali od zera, ale obficie czerpali z bogatego dorobku wielu swoich poprzedników. Jednym z pierwszych był Maurycy Mochnacki, który w swoich tekstach opublikowanych tuż po powstaniu listopadowym zwrócił uwagę na znaczenie ziem ruskich dawnej Rzeczpospolitej w konflikcie z Rosją. „Wstępny rys" tego przedwcześnie zmarłego wybitnego publicysty politycznego został następnie rozwinięty przez Adama Jerzego Czartoryskiego i środowisko Hotelu Lambert (w szczególności Michała Czajkowskiego vel Sadyka Paszę).

W ich koncepcjach sprawa ukraińska zyskała wymiar samodzielny i urosła do rangi jednej z najważniejszych dla odzyskania niepodległości przez Polskę. Współpraca polsko-ukraińska (kozacka) miała być istotnym elementem w walce z Imperium Rosyjskim. Celem było doprowadzenie do odrodzenia nie tylko Polski, ale również Kozaczyzny/Ukrainy i porozumienia z jej mieszkańcami, w tym „wyrównywania krzywd przeszłości" (Czartoryski), co można uznać za dziewiętnastowieczną zapowiedź rozrachunków z historią. A zatem niemal od początku w polskiej myśli niepodległościowej i antyimperialnej zwrócono uwagę na korzyści ze współpracy z Ukraińcami. I stało się to grubo ponad stulecie, zanim Mieroszewski napisał *Polską*

eprasa.pl fc728fc9e1

Ostpolitik. Potem było powstanie styczniowe z hasłami, aby ramię w ramię z narodami tworzącymi niegdyś Rzeczpospolitą walczyć o wolność z Imperium Rosyjskim.

Na pobudzonym zainteresowaniu sprawą ukraińską swoje idee tworzył następnie Józef Piłsudski, a jedną z kluczowych była konieczność polskiej pomocy w utworzeniu niepodległej Ukrainy, co wynikało ze zrozumienia, że jej suwerenność leży w polskim interesie. W okresie międzywojennym koncepcje te rozwijały między innymi środowisko skupione wokół Instytutu Wschodniego w Warszawie i ruch prometejski, w którym działali Włodzimierz Bączkowski i młody Jerzy Giedroyc. Tej ideowej kontynuacji może dowodzić wydana w 1937 roku i szeroko wówczas dyskutowana książka wybitnego historyka Marcelego Handelsmana pod tytułem *Ukraińska polityka ks. Adama Czartoryskiego przed wojną krymską*. Widać, że koncepcje sprzed kilkudziesięciu lat uznawano za inspirujące.

Po 1945 roku „Kultura" rozwinęła, uaktualniła i dostosowała do nowej rzeczywistości politycznej wcześniejsze idee polskiej polityki wschodniej. Oczywiście w niczym nie umniejsza to znaczenia i osiągnięć redakcji z Maisons-Laffitte. Mieroszewski i stojący za nim Giedroyc, którzy zresztą świetnie znali dorobek polskiej myśli politycznej, dopisali kolejny rozdział tej ideowej konstrukcji, jaką zaczęto wznosić kilka pokoleń przed nimi. Znów muszę oddać głos przenikliwemu Zdzisławowi Najderowi: „Zasługi Jerzego Giedroycia są ogromne, choć nie polegają ani na oryginalności w widzeniu stosunków polsko-wschodnich, ani na zanegowaniu zastanej rzeczywistości. Polegają na realistycznym rozpoznaniu, jak można współcześnie kontynuować kierunek wytyczony niegdyś przez Piłsudskiego".

Jest przecież naturalne, że buduje się na dorobku poprzedników, twórczo się go rozwija i adaptuje do zmieniającej się sytuacji.

„Kultura" jako fundament

Odnoszę wrażenie, że część osób, które zabrały głos w tej dyskusji, odebrała mój artykuł jako chęć podważenia czy wręcz przekreślenia dorobku „Kultury". Jest to nieporozumienie. Nikt poważny nie kwestionuje dziedzictwa myśli Mieroszewskiego–Giedroycia, które było – chcę to raz jeszcze dobitnie podkreślić – ważnym etapem rozwoju polskiej myśli wschodniej. Etapem, ale nie końcem historii. To, do czego wzywam, to nie odrzucenie tego dziedzictwa, ale kontynuacja procesu wznoszenia tej konstrukcji, który rozpoczął się w pierwszej połowie XIX wieku i w którym Redaktor i jego współpracownicy odegrali rolę historyczną.

Wydawałoby się zresztą bezsporne, że każda, nawet najbardziej wizjonerska koncepcja, wymaga „przeglądu", gdy w sposób istotny zmienia się rzeczywistość. Już niemal dekadę temu zwrócił na to uwagę Leopold Unger, jeszcze jedna ważna postać

eprasa.pl fc728fc9e1

ze środowiska „Kultury": „Jeżeli jednak znowu do »Kultury« Giedroycia sięga każda debata o polskiej polityce wschodniej i tam szuka argumentów, to nie dlatego, że są tam aktualne wskazania praktycznych rozwiązań problemów, których »Kultura« nie mogła znać, a dlatego, że zasady, jakie formułowała, stanowiły wynik nie marzeń czy spekulacji, a długiego procesu dojrzewania myśli".

Myśl „Kultury" jest zatem fundamentem, a nie skończoną konstrukcją. W tym fundamencie znajduje się kilka kamieni węgielnych, na których można przeczytać: „Czartoryski", „Piłsudski", „Bączkowski" i tak dalej. Idee z Maisons-Laffitte, ze swoją długą genealogią intelektualną, mogą nadal inspirować i dostarczają fundamentalnych zasad, na których była, jest i być musi oparta polska polityka wobec Ukrainy. Jednak nie dlatego, że wymyśliła je „Kultura", ale dlatego, że te pryncypia (między innymi uznanie granicy wschodniej, strategiczne znaczenie Ukrainy w obliczu rosyjskiego imperializmu, korzyść z dobrych relacji dwustronnych) zostały zaabsorbowane przez polską politykę wschodnią i są nie do podważenia ze względu na swoją… oczywistość. Ich przekreślenie miałoby skutki równoznaczne z podmyciem fundamentu, na którym stoi dom.

Mimo problemów w stosunkach dwustronnych Polska pozostaje jednym z najprzychylniej nastawionych do Ukrainy państw w Unii Europejskiej. Kwestie historii nie wyczerpują relacji na linii Warszawa–Kijów.

Nie oznacza to jednak, że powinniśmy wszystkie elementy intelektualnego dziedzictwa „Kultury" przyjmować bezkrytycznie, uznając, że tylko one mogą dostarczyć rozwiązania istniejących problemów. Przede wszystkim dlatego, że koncepcje te zostały ukute niemal pół wieku temu, kiedy świat różnił się od tego dzisiaj. Niemal wszystko było wówczas inne. Opierając się na tych fundamentalnych zasadach „Kultury", sami musimy sformułować praktyczne rozwiązania nabrzmiewających spraw między Polską a Ukrainą. Szukanie panaceum w programie „Kultury" jest iluzją. Rację ma Andrzej Brzeziecki, który we wstępie do „Nowej Eurupy Wschodniej" (nr 1/2018) trzeźwo zauważył, że „Świat jest już inny niż w czasach »Kultury« (…) i zapewne sam Giedroyc zachęcałby do poszukiwania odpowiedzi na nowe pytania".

Giedroyc to nie Lenin

Tymczasem dla części polskich intelektualistów jakakolwiek próba dyskusji na temat aktualności programu „Kultury" sprowadza się do zamiaru dokonania rewolucji czy wręcz „zamachu stanu" w polskiej polityce wschodniej równoznacznego z podważeniem całego jej dorobku po 1991 roku i niemal skrętem w stronę myśli

eprasa.pl fc728fc9e1

endeckiej. Takie podejście blokuje dyskusję, sprowadza ją do nieprawdziwej alternatywy: „Albo Giedroyc, albo złe stosunki z Ukrainą" i – jak zauważył Tadeusz A. Olszański – „zamyka usta oponentom".

Sam Redaktor, który znany był z realistycznego myślenia, pewnie by sobie nie życzył, aby „zatopić" go w brązie. Giedroyc to nie Lenin i nie powinniśmy traktować go po leninowsku. A takie skojarzenie przyszło mi do głowy, gdy przeczytałem słowa Balcera o tym, że „Giedroyc przed śmiercią podkreślał, że Polska powinna wejść do strefy euro". Czy opinia wybitnego myśliciela politycznego, ale przecież nie ekonomisty, przy tym wypowiedziana przed wejściem euro do obiegu gotówkowego, naprawdę powinna stanowić argument w toczących się dzisiaj sporach o zasadność dołączenia naszego kraju do strefy euro?

Nasze stosunki z Ukrainą są zbyt istotne, abyśmy mogli pozwolić sobie na zamykanie się w błogim przekonaniu, że idee powstałe pół wieku temu w środowisku emigracyjnym są niezmiennie aktualne i wystarczy je realizować, a wszystko będzie dobrze. Takie podejście zwalnia z obowiązku krytycznej dyskusji nad ciągle zmieniającą się rzeczywistością. Tymczasem tak długo, jak istnieć będą Polska i Ukraina, nasze polityki – co naturalne – będą się zmieniać, ewoluować, a niektóre interesy różnić. Polska myśl wschodnia potrzebuje nie dogmatyzmu, ale wolnej i nieustannej refleksji. Na ideach Mieroszewskiego–Giedroycia należy więc wznosić kolejne „piętro", pamiętając przy tym jedną z zasad, jaką kierowała się „Kultura", a mianowicie: mniej romantyzmu, więcej pragmatyzmu i realizmu. Polemiki są czymś oczywistym i dobrze świadczą o żywotności debaty publicznej, zaś bezkrytyczny apologetyzm ją blokuje. Relacje polsko-ukraińskie są zbyt ważne, aby uznawać idee „Kultury" za kres historii.

Wojciech Konończuk jest kierownikiem zespołu Białorusi, Ukrainy Mołdawii w Ośrodku Studiów Wschodnich im. Marka Karpia. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl fc728fc9e1

Ameryka pływa w mętnej wodzie

Z Michaelem Isikoffem i Davidem Cornem,
amerykańskimi dziennikarzami, rozmowana Kuba Benedyczak

KUBA BENEDYCZAK: Według Panów Rosjanie dokonali cyberataku na Stany Zjednoczone. Dlaczego rosyjski cyberatak jest tak szczególny, przecież od dawna posługują się nim służby chińskie, izraelskie czy amerykańskie?

MICHAEL ISIKOFF: Nie ma najmniejszych wątpliwości, że cyberataki stały się dla służb specjalnych stałym narzędziem walki. Kilka lat temu Wspólnota Wywiadowcza [federacja szesnastu rządowych agencji wywiadowczych w Ameryce – przyp. KB] za najpoważniejsze zagrożenie dla USA w tym obszarze uznało Chińską Republikę Ludową. W 2008 roku Chińczycy dostali się do komputerów sztabów wyborczych Baracka Obamy i Johna McCaina, a potem uzyskali dostęp do danych personalnych milionów urzędników państwowych. Ale ich atak miał „jedynie" charakter szpiegostwa i kradzieży informacji. Szczerze mówiąc, nasz wywiad stara się robić dokładnie to samo. Natomiast Rosjanie użyli zdobytych informacji w taki sposób, aby wpłynąć na amerykańskich wyborców i system polityczny. Posunęli się znacznie dalej niż Chińczycy, Irańczycy czy Koreańczycy z Północy. Dzięki nim Donald Trump wygrał dwudzieste szóste wybory prezydenckie w USA.

Rosjanie wygrali wybory dla Trumpa czy w zmowie z Trumpem, bo to zasadnicza różnica...

DAVID CORN: Trump nieustannie powtarza „Nie byłem w zmowie z Rosjanami! Nie byłem w zmowie z Rosjanami!". W naszej książce nie mówimy, że Trump ułożył się z Kremlem, ale że Kreml wpłynął na nasze wybory.

Być może Trump nie, ale w Panów książce ludzie Trumpa...

DC: ...spotykali się z Rosjanami. Zgadza się. Uprzedzali ich o swoich działaniach, korzystali z dostarczanych przez nich informacji, a jednocześnie twierdzili, że nie było rosyjskiego ataku na amerykański proces wyborczy. Innymi słowy, otoczenie prezydenta współpracowało z Rosjanami, aby wygrać wybory.

MI: I jest na to wiele dowodów. Na przykład Michael Flynn [doradca ds. bezpieczeństwa narodowego w administracji prezydenta Trumpa – przyp. KB] był w Moskwie w grudniu 2015 roku z okazji

eprasa.pl fc728fc9e1

dziesięciolecia „Russia Today". Dostał za to 45 tysięcy dolarów i uczestniczył w kolacji z Władimirem Putinem. Po nominacji spotykał się potajemnie z ambasadorem rosyjskim w Waszyngtonie, Siergiejem Kisliakiem.

Nasuwa się pytanie: wasze służby są tak słabe czy rosyjskie tak dobre?

MI: Jedno i drugie.

A na poważnie: kto i co według Panów pozwoliło Rosjanom „wygrać wybory dla Trumpa"?

MI: Bez wątpienia sprawę spartaczyła administracja Baracka Obamy. Wiedzieli, że coś się dzieje, ale nie chcieli być oskarżani o ingerowanie w wybory. Po drugie, eksperci z Rady Bezpieczeństwa Narodowego mówili Obamie i jego administracji, że Ameryka musi zadać Rosjanom cybernetyczne kontruderzenie, aby ci się cofnęli. Chodziło na przykład o wrzucenie do sieci informacji o korupcji wewnątrz rodziny Putina albo zaatakowanie rosyjskich serwisów informacyjnych. Jednak Obama tego nie zrobił, ponieważ, skądinąd słusznie, obawiał się, że jesteśmy w tej rozgrywce słabsi. Odkryliśmy, że Rosjanie posiadali zdolność wyłączenia naszej sieci elektrycznej! Tak bardzo byliśmy bezbronni!

DC: Ale zawiedli też ludzie odpowiedzialni za cyberbezpieczeństwo. Rosjanie dostali się do wyborczego systemu komputerowego i zdobyli dane wyborców. Czasem je kasowali. Nasi eksperci kompletnie przegapili aktywność Rosjan w mediach społecznościowych. Nastąpiła spirala zrzucania z siebie odpowiedzialności. Część administracji nie była świadoma ataków, wywiad twierdził, że nie zajmuje się sprawami wewnętrznymi, a FBI na swoją obronę mówiło, że w jego kompetencjach nie leżą ataki hakerów. I tak dalej… Co gorsza, pokazujemy w książce, że wywiad i Biały Dom otrzymywali dostatecznie dużo ostrzeżeń, aby coś zrobić. Między innymi od informatora z wąskiego kręgu Władimira Putina.

Sądzą Panowie, że Trump, gdyby tylko mógł, zacząłby dogadywać się z Putinem i zrezygnowałby z sankcji przeciw Rosji?

DC: Trump narzekał nie tylko wtedy, gdy Obama wprowadzał sankcje, ale również wówczas, gdy po otruciu Siergieja Skripala został zmuszony wydalić rosyjskich dyplomatów i nałożyć kolejne sankcje. Według niego nieproporcjonalnie mocno uderzają one w Rosję… W rezultacie zwyczajową mądrością w Waszyngtonie stała się tak zwana dwuwektorowa polityka. O jednej stanowi to, co Trump mówi, robi i chce zrobić, o drugiej – decyzje i działania Departamentu Stanu, Pentagonu czy ludzi w Białym Domu. To dzięki nim polityka wobec Rosji jest znacznie bardziej stanowcza, niż Trump by sobie tego życzył. Jeśli popatrzymy na konferencję prasową w Helsinkach, gołym okiem widać, że on gotów byłby puścić w niepamięć atak rosyjskich hakerów na system wyborczy państwa, które reprezentuje.

eprasa.pl fc728fc9e1

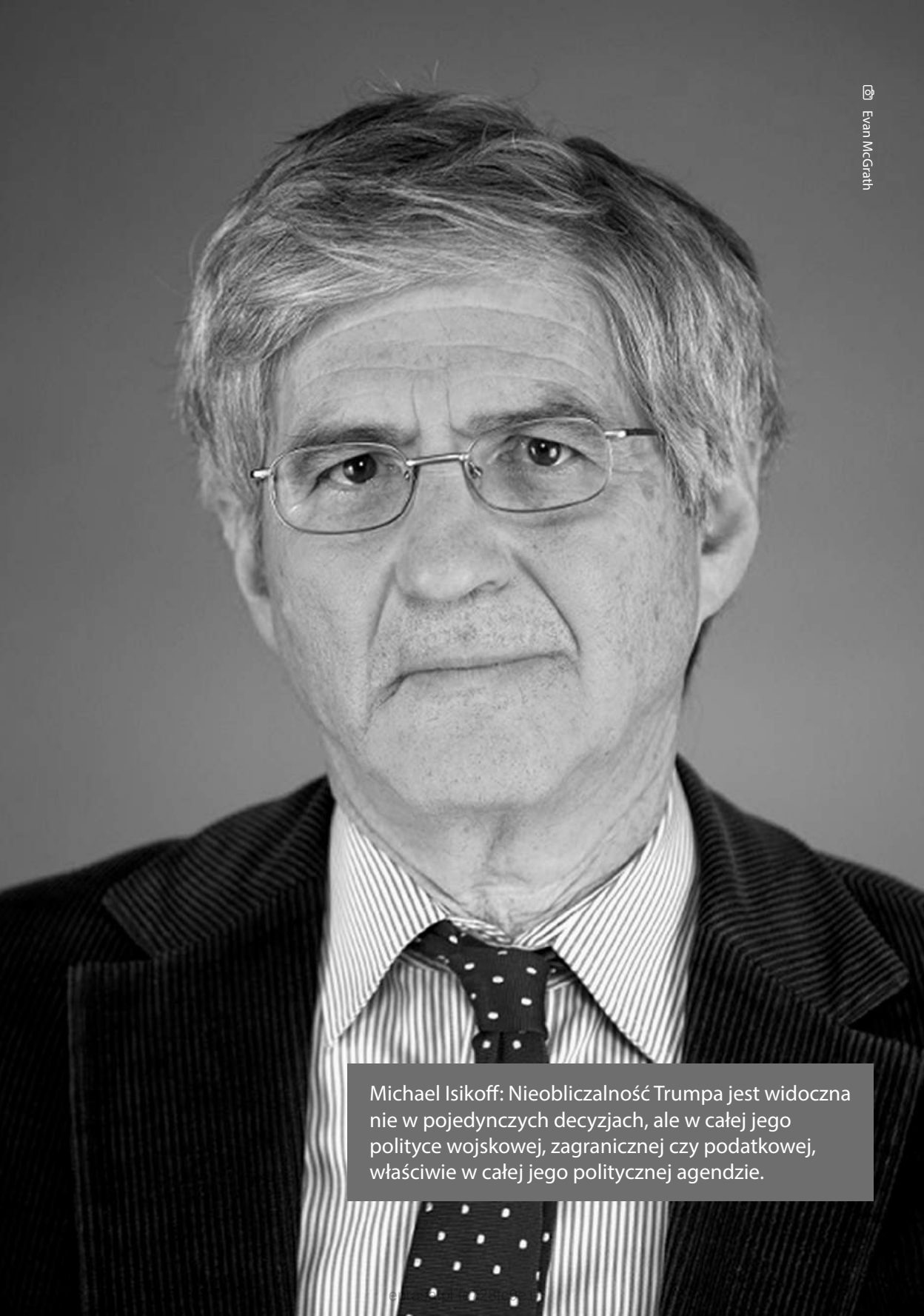

Evan McGrath

Michael Isikoff: Nieobliczalność Trumpa jest widoczna nie w pojedynczych decyzjach, ale w całej jego polityce wojskowej, zagranicznej czy podatkowej, właściwie w całej jego politycznej agendzie.

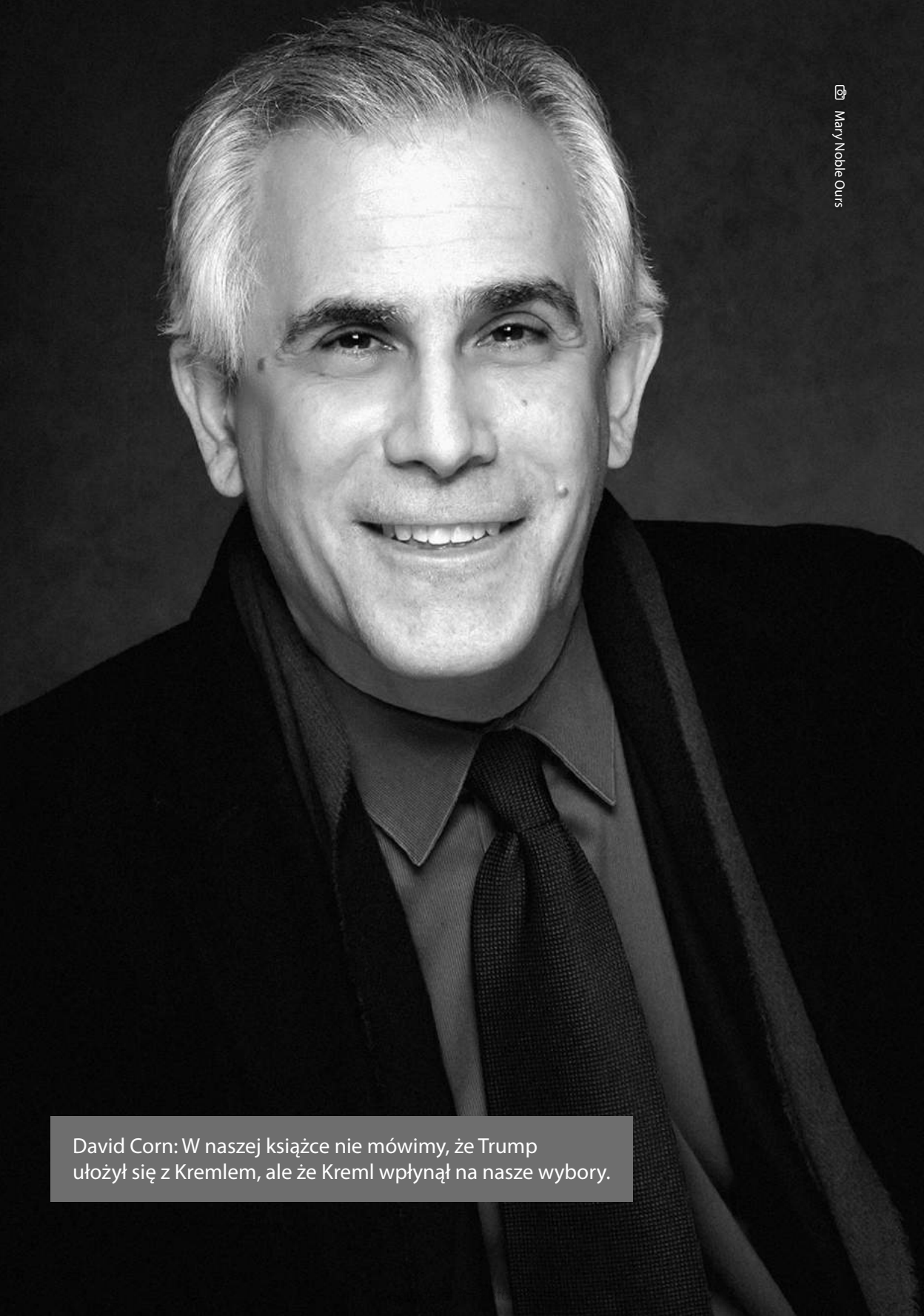

Mary Noble Ours

David Corn: W naszej książce nie mówimy, że Trump ułożył się z Kremlem, ale że Kreml wpłynął na nasze wybory.

MI: W książce pokrótce opisaliśmy wizytę Trumpa na FreedomFest [konserwatywna impreza ewangelikalna – przyp. KB] w Las Vegas. To był lipiec 2015 roku, kilka tygodni po ogłoszeniu własnej kandydatury przez Trumpa. Wówczas po raz pierwszy został on spytany o stosunek do Rosji. Dał jasno do zrozumienia, że uważa sankcje za błąd i że bez problemu dogadałby się z Putinem. Co równie ważne, pytanie zadała Maria Butina.

Czyli?

MI: Rosjanka, założycielka organizacji Prawo do Noszenia Broni, asystentka Aleksandra Troszina – członka Rady Federacji i wiceszefa Banku Centralnego Rosji, i wreszcie agentka rosyjska aresztowana przez FBI pod zarzutem szpiegowania na rzecz Moskwy.

W książce ich spotkanie w Las Vegas wygląda jak dobrze odegrane przedstawienie...

MI: Tak, dwudziestodziewięcioletnia rudowłosa piękność z Rosji wstaje i zadaje pytanie, czy jako prezydent „zamierza pan kontynuować politykę sankcji, niszczycielską dla obu naszych gospodarek". A Trump odpowiada mniej więcej tak: znam Putina, który nie ma szacunku dla Obamy, ja doskonale się z nim dogadam, a tak w ogóle to sankcje są niepotrzebne.

Nawet jeśli jedynie połowa Panów książki jest prawdą...

DC, MI: Cała nasza książka jest prawdą!

To oczywiste, ale nawet gdyby połowa książki była prawdą, każdy normalny człowiek miałby ochotę spytać, dlaczego Donald Trump nadal jest prezydentem USA.

DC: Wszystkie fakty, o których piszemy w książce, zaczęły wypływać na światło dzienne dopiero po zwycięstwie Trumpa. Po drugie, procedura impeachmentu jest niezwykle skomplikowana. Uruchomienie go wymaga ponad połowy głosów w Izbie Reprezentantów, następnie dwóch trzecich w Senacie. Obie izby są w tej chwili kontrolowane przez republikanów, którzy albo bezkrytycznie popierają Trumpa, albo uruchomili dochodzenie w sprawie rosyjskiej ingerencji nie po to, by dowiedzieć się prawdy, ale wybronić własnego kandydata. Poza tym… proszę spojrzeć, jakiego rodzaju informacji dostarcza książka Boba Woodwarda *Strach. Trump w Białym Domu*. To jest nieobliczalna osobowość. Republikanie o tym wiedzą, a jednak wciąż go bronią.

Pan również uważa, że Trump jest nieobliczalny?

MI: Przecież informacje, które pozyskał Woodward, nie pochodzą od „wtyczki" demokratów w Białym Domu, ale od człowieka, który współpracował z Trumpem. Nieobliczalność Trumpa jest widoczna nie w pojedynczych decyzjach, ale w całej jego polityce wojskowej, zagranicznej czy podatkowej, właściwie w całej jego politycznej agendzie. Dodam, że istnieje jeszcze jedna opcja odwołania

eprasa.pl fc728fc9e1

prezydenta, czyli 25. poprawka. Według niej, większość gabinetu może podjąć decyzję, że głowa państwa nie nadaje się do rządzenia. Amerykanie nigdy tego nie spróbowali, ale coraz częściej się o tym u nas mówi.

DC: Ale w przypadku 25. poprawki, gdy prezydent zakwestionuje decyzję swojego gabinetu, potrzeba aż dwóch trzecich głosów Izby i Senatu, dokładnie tak samo jak w procedurze impeachmentu…

Tylko że mi nie chodzi o procedury, ale o układ sił. Donald Trump nie jest „zwykłym prezydentem", który ma przeciwko sobie opozycyjną partię. To prezydent, który od początku ma przeciwko sobie część własnej partii i część swojej administracji, a ponadto demokratów, armię, służby specjalne, show-biznes i mainstreamowe media.

MI: Został wybrany w demokratycznym głosowaniu. Oczywiście wygrał niewielką przewagą głosów, ale tak mała różnica to nic nowego w historii Stanów Zjednoczonych. Gdy ludzie szli głosować, nie mieli z tyłu głowy ataku Rosjan. A czy mają go dzisiaj? Dowiemy się podczas listopadowych wyborów do Kongresu.

DC: Pan myśli kategoriami systemu parlamentarnego, gdzie istnieje wotum zaufania albo wotum nieufności, a liderzy mogą zmieniać się jak w kalejdoskopie, choćby tak jak we Włoszech. Gdyby w którymś z krajów Europy Zachodniej działo się to samo co u nas, byłoby tam więcej mechanizmów odwołania prezydenta. W Ameryce są tylko trzy: wybory, impeachment i 25. poprawka.

W takim razie, czy Donald Trump, mając przeciwko sobie tak wiele grup wewnątrz najważniejszych instytucji państwa, jest w stanie nim rządzić lub choćby zarządzać?

MI: Pływamy w bardzo mętnej wodzie, nie ma co do tego wątpliwości. Stany Zjednoczone nigdy nie znajdowały się w podobnej sytuacji, nawet podczas ostatnich dni Richarda Nixona, gdy część gabinetu zastanawiała się nad jego psychiczną zdolnością do podjęcia decyzji o użyciu broni nuklearnej i czy w związku z tym nie należałoby go tej prerogatywy pozbawić. Ale trwało to niecały miesiąc, gdy Nixon ustąpił nawet nie ze względu na wiszącą nad nim groźbę impeachmentu. Tymczasem nad Donaldem Trumpem nic nie wisi, bo republikanie mają większość w obu izbach. Co nie zmienia faktu, że dziś także część gabinetu zastanawia się nad psychiczną kondycją naszego prezydenta i nikt nie ma pojęcia, jak się to wszystko skończy.

Nie mają Panowie wrażenia, że Rosja stanowi wygodną wymówkę dla krajów Zachodu? Dzięki Rosji nie musimy na poważnie dyskutować o migracji, separatyzmach, dysproporcjach dochodu w USA, korupcji wewnątrz Komisji Europejskiej czy alienacji elit od społeczeństw.

eprasa.pl fc728fc9e1

Bo przecież gdyby nie Rosja, nie byłoby Trumpa, Brexitu, skrajnej prawicy w Europie...

DC: Nie zgadzam się z Panem. Napisaliśmy książkę o ataku Rosjan, który jest istotnym problemem. Oczywiście, że w USA, Szwecji, Anglii i Polsce istnieją obecnie ogromne podziały społeczne, które są wynikiem różnych odpowiedzi na globalizację, migrację, zmiany klimatyczne, brak wzrostu dochodów i tak dalej. Każde państwo musi znaleźć własną odpowiedź na te problemy. Ale Rosja je widzi i jeszcze bardziej rozpala, utrudniając ich rozwiązanie. Zadaniem służb specjalnych – USA, Polski lub Węgier – jest powstrzymanie Rosjan, aby nie pogarszali i tak trudnej sytuacji.

Jednak czy w Ameryce zamiast krzyczeć, że „Rosjanie zhakowali nasze wybory!", ktoś zastanawia się nad tym, że Trump jest jedynie symptomem znacznie większych procesów społecznych, kulturowych i politycznych?

DC: Myślę, że tak i nikt tu nie ucieka od dyskusji. Bo Pan ma rację – Trump nie jest głównym problemem, tylko symptomem. Głosowały na niego 63 miliony ludzi! Tak samo jak Brexit nie jest kwestią Nigela Farage'a, ale czegoś większego. Rosyjski atak i śledztwo wokół niego stały się przyczynkiem do dyskusji o bezpieczeństwie, służbach specjalnych, służbie zdrowia i tak dalej. Nikt nie używa Rosji jako wymówki, by o tych problemach nie rozmawiać.

Wybór Donalda Trumpa z pewnością był symptomem arogancji i degrengolady moralno-intelektualnej liberalnych elit. Pokazała to ujawniona przez WikiLeaks korespondencja Hillary Clinton, która ukazała ludzi aroganckich, obłudnych i obchodzących prawo. Nie do strawienia...

DC: Mnie w materiałach na temat Clinton nic nie zaskoczyło. Z punktu widzenia dziennikarza pojawiło się tam kilka niezłych historii, nieporównywalnych jednak ze skandalami, w które zamieszany jest Trump i członkowie jego administracji. Nie jest problemem, że korespondencja czy historie związane z kampanią Hillary zostały upublicznione, ale że zostały wykradzione i użyte przez obce państwo, aby wpłynąć na naszych wyborców. Użyte zresztą bardzo sprytnie, bo gazety i portale internetowe codziennie bombardowały nas plotkami i „rewelacjami" związanymi z materiałami WikiLeaks.

MI: Sądzę, że e-maile Clinton były ważne i interesujące z punktu widzenia problemów w Fundacji Clintonów, hipokryzji Hillary Clinton – dobry przykład to jej przemówienie do bankierów z Wall Street. Ale naprawdę istotne jest to, że WikiLeaks otrzymała materiały od Rosjan, którzy je wykradli! Poza tym WikiLeaks od zawsze prezentuje się jako transparentna organizacja z wypracowaną metodologią. Ale tym razem złamali swoje zasady, bo wypuścili wszystko, co mieli o Clinton, jako sprawdzony fakt, a nie materiał do oceny. Do tej pory ni-

eprasa.pl fc728fc9e1

gdy tak nie postępowali, co wskazuje, że działali w zmowie z Rosjanami, od których dostali informacje.

Jedną z analogii między Polską a Ameryką jest plemienna polaryzacja polityki, mediów i społeczeństwa. Czy widzą Panowie szanse na „powrót do normalności" w swoim kraju?

DC: Będzie to niezwykle trudne, zwłaszcza teraz, gdy prezydent jeszcze bardziej rozpala „plemienny podział". W czasie rządów Obamy rozziew oczywiście istniał, ale on przynajmniej próbował go przezwyciężyć i dotrzeć do ludzi, którzy nie stanowią grupy jego wyborców. Natomiast obecny prezydent i republikanie nie mają interesu w tym, aby znaleźć punkt wspólny i nawet go nie szukają. Nie mam pojęcia, w jaki sposób my jako kraj pójdziemy naprzód i odbudujemy naszą kulturę polityczną.

MI: Trump jest tylko jednym z elementów plemienności. W naszym kraju media są potwornie podzielone. Fox News stanowi informacyjne ramię propagandy Białego Domu. W odpowiedzi pozostałe media znajdują się w nieustannej kontrze wobec prezydenta. Ludzie żyją w swoich silosach, które katapultują ich do jednego bądź drugiego plemienia, wrogich wobec siebie jak nigdy dotąd.

David Corn jest dziennikarzem śledczym i komentatorem telewizyjno-radiowym. Szef biura Mother Jones w Waszyngtonie. Współpracował z „The Nation" i MSNBC.

Michael Isikoff jest szefem dziennikarzy śledczych w Yahoo! News. Współpracował z NBC News, „The Washington Post", „Newsweekiem" i „The Huffington Post".

eprasa.pl fc728fc9e1

Polska–Ukraina: pięć lat po Euromajdanie

Andrzej Szeptycki

Deklarowane wielekroć „strategiczne partnerstwo" obu państw budowane było od lat dziewięćdziesiątych XX wieku przy relatywnej indyferencji obu społeczeństw. Władzom obu państw nie udało się jednak wypracować mechanizmów, które pozwoliłyby na budowę trwałego partnerstwa na poziomie kontaktów międzyludzkich.

Wydarzenia na Ukrainie w okresie od listopada 2013 roku do lata 2014 roku spotkały się z niesłychanym zainteresowaniem w Polsce. Polscy politycy masowo pielgrzymowali do Kijowa – przy czym obowiązkowym punktem ich wizyt było publikowane następnie w mediach społecznościowych zdjęcie na Majdanie – Ukraińcy mieszkający w Polsce i licznie sympatyzujący z nimi Polacy protestowali pod ambasadą Rosji, na placu Zamkowym w Warszawie i wielu innych miejscach w kraju, polskie organizacje humanitarne wspierały rannych podczas protestów w Kijowie i weteranów ATO, polskie środki masowego przekazu wysłały do ukraińskiej stolicy, a następnie na Krym i do Zagłębia Donieckiego specjalnych korespondentów. Nawet „Wiadomości" TVP nadano z Kijowa. Polskie władze były nieco bardziej wstrzemięźliwe, dopóki kryzys ukraiński miał charakter wewnętrzny – Polsce bardziej zależało na stabilności Ukrainy niż na jej niepewnej europeizacji i demokratyzacji. Przejawem tego było zaangażowanie ministra Radosława Sikorskiego w wypracowanie wątpliwego (i niezrealizowanego) porozumienia pomiędzy ukraińskimi władzami a opozycją w lutym 2014 roku. Po agresji Rosji na Ukrainę poparcie Polski stało się bardziej jednoznaczne, a jej działania na rzecz wprowadzenia sankcji przeciwko Federacji Rosyjskiej – skuteczne. Taka postawa nie pozostała niezauważona – w 2015 roku Polska stała się najbardziej lubianym krajem na Ukrainie.

Pięć lat po tych wydarzeniach z ówczesnej atmosfery i z przekonania o braterstwie obu narodów zostało niewiele. Można za to winić – wedle uznania – polskie lub ukraińskie władze i ich nacjonalistyczną politykę, można wskazywać na nieuchronny konflikt pamięci. W praktyce rzeczywistość wydaje się nieco bardziej złożona.

eprasa.pl fc728fc9e1

Wyzwania historyczne

Spory o przeszłość nie pojawiły się w ciągu ostatnich pięciu lat, ale bez wątpienia nabrały w tym okresie nowego wymiaru, co wiąże się ze zmianami, jakie zaszły zarówno na Ukrainie, jak i w Polsce. W tym pierwszym kraju po rewolucji godności popularność zyskały symbole i tradycje Ukraińskiej Powstańczej Armii, utożsamianej przede wszystkim z walką o niepodległość – głównie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Sympatycy UPA w ograniczonym stopniu brali pod uwagę zarówno ciemne karty z historii tej organizacji, jak i wpływ takiego, a nie innego doboru symboli historycznych na wizerunek ich kraju na arenie międzynarodowej. W Polsce po podwójnym zwycięstwie wyborczym Prawa i Sprawiedliwości w 2015 roku zainicjowano politykę historyczną, która w zamierzeniu jej twórców miała na celu przywrócenie w kraju i poza jego granicami wiedzy o prawdzie historycznej, w tym o bohaterstwie i martyrologii Polaków – niezależnie od konsekwencji takiej polityki dla relacji z innymi państwami. W kwietniu 2015 roku Rada Najwyższa Ukrainy uchwaliła tak zwane ustawy historyczne. Ich zasadniczym celem była kontynuacja procesu dekomunizacji w sferze polityki i pamięci historycznej. Jedna z ustaw spotkała się jednak z ostrą krytyką w Polsce: zaliczała ona bowiem OUN i UPA do grona bojowników o niepodległość, a ponadto przewidywała penalizację za ich znieważanie i krytykę ich działalności Na początku 2018 roku polski parlament znowelizował ustawę o Instytucie Pamięci Narodowej. W rezultacie polski IPN ma się zajmować zbrodniami nie tylko nazistowskimi i komunistycznymi, ale i tymi popełnionymi przez „ukraińskich nacjonalistów i członków ukraińskich formacji kolaborujących z Trzecią Rzeszą". Ponadto ustawa penalizuje publiczne i niezgodne z prawdą przypisywanie narodowi lub państwu polskiemu odpowiedzialności za przestępstwa stanowiące zbrodnie przeciwko pokojowi, ludzkości, ale także pomniejszanie odpowiedzialności rzeczywistych sprawców tych zbrodni. Zrównanie ukraińskich partyzantów ze zbrodniarzami nazistowskimi i komunistycznymi oraz uznanie ich *in gremio* za niemieckich kolaborantów spotkało się ze skrajnie negatywnym przyjęciem ze strony ukraińskich władz i społeczeństwa.

Spory o przeszłość nie pojawiły się w ciągu ostatnich pięciu lat, ale bez wątpienia nabrały w tym okresie nowego wymiaru.

Konflikt pamięci obejmował stopniowo nowe obszary. Tematem spornym – nie na poziomie państw, ale poszczególnych przedstawicieli instytucji państwowych – stała się ocena historii ziem zachodniej Ukrainy w okresie międzywojennym: czy należy je uznać za terytoria polskie, czy też znajdujące się pod polską okupacją. Nastąpiło upolitycznienie problematyki historycznej we wzajemnych stosunkach – stała się

eprasa.pl fc728fc9e1

ona nie tylko uwarunkowaniem utrudniającym współpracę, ale i instrumentem walki politycznej. Przedstawiciele Polski deklarowali, że gloryfikująca Ukraińską Powstańczą Armię polityka historyczna uniemożliwi Ukrainie integrację z Unią Europejską. Strona ukraińska zarzucała Polsce, że jej działania „wielu zechce wykorzystać do swoich politycznych spekulacji", mając na uwadze przede wszystkim Rosję.

Obie strony podejmowały okresowo próby przełamania impasu w sferze polityki historycznej. W październiku 2016 roku oba parlamenty uchwaliły deklarację pamięci i solidarności. Polscy i ukraińscy parlamentarzyści oddali hołd milionom ofiar poniesionych przez oba narody w czasie II wojny światowej i potępili zewnętrznych agresorów, którzy próbowali zniszczyć ich niepodległość; wyrazili wiarę w potrzebę intensyfikacji bezstronnych badań historycznych, podjęcia szczerej i przyjacielskiej współpracy badaczy, a także powstrzymywania sił, które prowadzą do sporów w naszych państwach; uznali, że agresywna polityka Rosji wobec Ukrainy stanowią zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa całej Europy; poparli dążenia Ukrainy do członkostwa w NATO (Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, Rada Najwyższa Ukrainy, 2016). W Polsce postulowano również upamiętnienie „ukraińskich sprawiedliwych", czyli Ukraińców, którzy ratowali polskich sąsiadów przed UPA, na zasadzie analogicznej, jak w Izraelu odznacza się tych, którzy podczas Holokaustu pomagali Żydom. Niestety podobne inicjatywy jedynie w ograniczonym zakresie wpłynęły na poprawę dwustronnych relacji.

Wyzwania strategiczne

Rosyjska agresja przeciwko Ukrainie początkowo postrzegana była przez Polskę jako zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i europejskiego, zgodnie z tezą sformułowaną już w 2008 roku przez Lecha Kaczyńskiego „dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas (…) na Polskę". Zaowocowało to rozwojem współpracy w sferze bezpieczeństwa pomiędzy oboma krajami. Przemysłowe Centrum Optyki zawarło z Ukrinmash należącą do koncernu Ukroboronprom umowę o dostawie kompletów urządzeń do modernizacji optoelektroniki stosowanej w systemach obserwacyjnych i celowniczych pojazdów bojowych. Polska, Ukraina i Litwa powołały do życia wspólną brygadę LITPOLUKRBRIG. Jednocześnie ujawniły się pewne problemy wskazujące na granice wielokroć proklamowanego „strategicznego partnerstwa" między oboma państwami.

Zasadniczym wyzwaniem jest obecny charakter wojny na Donbasie, przede wszystkim fakt, że stała się ona przedłużającym się, trwającym już ponad cztery lata, konfliktem o niskiej intensywności. Obierając taką właśnie strategię, Rosja chce wziąć na wyczerpanie nie tylko Ukrainę, ale i jej partnerów na Zachodzie. Nie bez słuszności

eprasa.pl fc728fc9e1

liczy, że wojna na wschodzie Ukrainy z czasem znudzi się większości zagranicznych obserwatorów i popadanie w zapomnienie. Takie zjawisko obserwujemy w Polsce. Po początkowo bezprecedensowym zainteresowaniu mediów, społeczeństwa i klasy politycznej Ukrainą w 2014 roku przestała być ona ciekawym tematem – zwłaszcza gdy zrozumiano, że wobec rosyjskiej agresji dzieje porewolucyjnej Ukrainy nie będą *success story* rodem z Hollywood.

Z perspektywy Polski istotne znaczenie ma ponadto pytanie o to, czy oba państwa w kontekście wojny rosyjsko-ukraińskiej rzeczywiście łączy wspólnota strategiczna, czy to, co jest zagrożeniem dla Ukrainy, jest również zagrożeniem dla Polski, czy ewentualna pomoc Ukrainie umacnia bezpieczeństwo Polski, czy raczej naraża ją na kolejne wrogie działania ze strony Rosji. Symbolem tej postawy stała się już w 2014 roku wypowiedź premier Ewy Kopacz: „Nasze bezpieczeństwo, nasz kraj, nasz dom, nasze dzieci! To jest najważniejsze!". Obawa o reakcję Rosji była jednym z powodów, które odwiodły Polskę od dostaw śmiercionośnej broni na Ukrainę. Pełzający charakter wojny na wschodzie Ukrainy zdaje się umacniać w Polsce przekonanie, że konflikt ten nie stanowi dla naszego kraju zasadniczego zagrożenia.

Dla Ukrainy najważniejsze jest z kolei pytanie, czy i w jaki sposób Polska może jej pomóc. Niestety, nawet przyjmując dobrą wolę Warszawy, nasze możliwości działania w tym obszarze są dość ograniczone. Polska wspierała przez ostatnie cztery lata Ukrainę dyplomatycznie – zarówno na forum ONZ, jak i Unii Europejskiej (sankcje przeciwko Rosji). Ze względu na swój potencjał nie odgrywa jednak decydującej roli w gronie państw zachodnich. Dobitnym tego przejawem jest fakt, że Polska nie bierze udziału w rozmowach w ramach formatu normandzkiego. Zapewne najważniejszą rolę odegrała tu niechęć Rosji do ewentualnego udziału Warszawy w tych rozmowach, ale tak czy inaczej Ukraina zaakceptowała ten fakt, posłała jasny sygnał, że w tym gremium polski „adwokat" jest jej zbędny.

Last but not least, istotnym wyzwaniem dla dwustronnych relacji jest sama Rosja. Federacja Rosyjska podejmuje aktywne działania na rzecz skłócenia obu państw, wykorzystując w tym celu zwłaszcza – choć nie tylko – kwestie historyczne. Zarówno Polska, jak i Ukraina są podatne na te działania.

Wyzwania europejskie

Dwustronną współpracę utrudnia stan relacji Polski i Ukrainy z Unią Europejską, a także szerzej ich stosunek do projektu europejskiego. Wśród ukraińskich elit politycznych brak jest rzeczywistej woli reform, co ma negatywny wpływ na stosunki z Unią. Sztandarowym przykładem jest w tym zakresie kwestia walki z korupcją. Ukraińscy politycy deklarują chęć zbliżenia z Unią Europejską, podkreślając, że

eprasa.pl fc728fc9e1

Polska jest dla nich w tej kwestii przykładem, gdyż chcą w ten sposób zyskać sobie przychylność zarówno polskich partnerów, jak i ukraińskiego społeczeństwa, które pozytywnie postrzega Polskę. Można mieć jednak wątpliwości, czy w rzeczywistości chcą przeniesienia na Ukrainę europejskich (polskich) standardów.

Polityka Prawa i Sprawiedliwości po 2015 roku zaowocowała pogorszeniem relacji Warszawy z Brukselą, osłabieniem naszej pozycji w Unii, a w rezultacie spadkiem atrakcyjności Polski w państwach Partnerstwa Wschodniego. Polska nie może już skutecznie lobbować ich interesów. Przestała być również – o ile była – „wzorcem z Sèvres" postkomunistycznej transformacji. Ukraińskie media, coraz wyraźniej obecne w Polsce od czasu rewolucji godności, z pewnym niedowierzaniem i rosnącą zgryźliwością (biorąc pod uwagę spory historyczne) relacjonują przedsięwzięcia „dobrej zmiany".

Sprawy europejskie przestają łączyć Polskę i Ukrainę. Brak wspólnego celu polityki europejskiej, jakim było podpisanie umowy stowarzyszeniowej.

Również europejscy politycy w warunkach wyzwań wewnętrznych i zewnętrznych, z jakimi boryka się Unia, nie mają pomysłu na nowe relacje z Ukrainą. Sztandarowe projekty w tym zakresie – umowa stowarzyszeniowa, DCFTA, zniesienie reżimu wizowego – zostały zainicjowane jeszcze przed 2013 rokiem. Ukraina nie otrzymała „perspektywy członkostwa" w Unii, która mogłaby – to optymistyczne założenie – stanowić impuls modernizacyjny dla tego państwa.

Wskutek tego sprawy europejskie przestają łączyć Polskę i Ukrainę. Brak jest wspólnego celu polityki europejskiej, jakim było choćby podpisanie umowy stowarzyszeniowej. Wymiernym przejawem tego jest fakt, że Ukraina nie została zaproszona do projektu Trójmorza. Prezydent Andrzej Duda pierwotnie zachęcał Kijów do udziału w tym przedsięwzięciu. W praktyce pozostało ono inicjatywą o charakterze wewnątrzunijnym. Sytuacja taka wynika z dwu powodów. Po pierwsze, projekt Trójmorza nastawiony jest przede wszystkim na rozwój infrastruktury w regionie, zwłaszcza z udziałem środków unijnych; tego typu działania z pewnością łatwiej będzie zrealizować w formacie wewnątrzunijnym. Po drugie, część państw wchodzących w skład Trójmorza niechętna była włączaniu doń Ukrainy w trosce o relacje z Rosją i przekonanie, że udział tej pierwszej zmieniłby charakter całej inicjatywy.

Wyzwania społeczne

W wyniku pogarszającej się sytuacji gospodarczej na Ukrainie i wojny na wschodzie kraju rośnie w Polsce liczba ukraińskich imigrantów, którzy przybywają tu,

eprasa.pl fc728fc9e1

szukając lepszego i bezpieczniejszego życia. Szacuje się, że w Polsce pracuje co najmniej milion obywateli Ukrainy. W 2017 roku zarejestrowano milion siedemset tysięcy oświadczeń o zamiarze powierzenia pracy obywatelowi Ukrainy – to najpopularniejsza forma podejmowania zatrudnienia przez imigrantów z Ukrainy. Rosnąca obecność Ukraińców w Polsce to znacząca korzyść dla polskiej gospodarki, która musi stawiać czoło takim problemom, jak starzenie się polskiego społeczeństwa i emigracja Polaków do państw Europy Zachodniej. Jednocześnie z napływem ukraińskich pracowników i studentów wiążą się określone wyzwania.

Po pierwsze, polskie społeczeństwo jest od czasu II wojny światowej relatywnie monoetniczne. Musi zatem przywyknąć do różnorodności kulturowej, a napływ cudzoziemców może sprzyjać takim zjawiskom jak nacjonalizm i ksenofobia, które utrudnią integrację Ukraińców z polskim społeczeństwem.

Po drugie, polscy przedsiębiorcy i eksperci obawiają się, że ukraińskich pracowników może kiedyś zabraknąć. Sprzyjać temu mogą z jednej strony otwarcie innych państw Unii na przybyszy z Ukrainy (likwidacja reżimu wizowego Schengen w 2017 roku), z drugiej zaś – problemy pomiędzy polską ludnością a Ukraińcami przybyłymi do naszego kraju.

Pełzający charakter wojny na wschodzie Ukrainy zdaje się umacniać w Polsce przekonanie, że konflikt ten nie stanowi zagrożenia dla naszego kraju.

Po trzecie, imigracja może zostać upolityczniona. Rząd Prawa i Sprawiedliwości sformułował tezę, że w Polsce jest milion uchodźców z Ukrainy, co miało uzasadnić sprzeciw przeciwko relokacji do Polski osób ubiegających się o azyl w takich krajach jak Włochy czy Grecja. Była to teza z gruntu fałszywa: w latach 2013–2016 status uchodźcy uzyskało w Polsce trzydziestu sześciu obywateli Ukrainy. Większość wniosków jest odrzucana, ponieważ według polskich władz ofiary aneksji Krymu czy wojny na Donbasie (to one najczęściej wnioskują o status uchodźcy w Polsce) nie są zmuszone do wyjazdu z ojczystego kraju: mogą zamieszkać w innych regionach Ukrainy, gdzie ich bezpieczeństwo nie jest zagrożone.

Po czwarte, problemy polityczne i historyczne pomiędzy oboma państwami oddziałują na wzajemne wizerunki Polski i Ukrainy. Dotyczy to zarówno imigrantów, jak i innych przedstawicieli obu społeczeństw. W 2015 roku sympatię do Ukraińców deklarowało 36 procent ankietowanych w Polsce, w 2018 roku – jedynie 24 procent; na Ukrainie sympatię do Polski wyrażało w tych samych latach odpowiednio 55 procent i 48 procent badanych. Widać zatem wyraźnie rosnące rozczarowanie obu społeczeństw wzajemnymi relacjami.

Wzrost rozczarowania na poziomie społecznym stanowi w dalszej perspektywie być może zasadnicze wyzwanie. Deklarowane wielekroć „strategiczne partnerstwo"

eprasa.pl fc728fc9e1

obu państw budowane było od lat dziewięćdziesiątych XX wieku przy relatywnej indyferencji obu społeczeństw. Władzom obu państw nie udało się jednak wypracować mechanizmów, które pozwoliłyby na budowę trwałego partnerstwa na poziomie kontaktów międzyludzkich, na przykład poprzez programy wymiany młodzieży. Jedynym ważnym, choć powstałym oddolnie mechanizmem jest w tym obszarze ukraińska migracja do Polski. Co więcej, spory polityczne mają negatywne przełożenie na relacje społeczne. Obecnie, zwłaszcza wobec aktywnej działalności rosyjskiej propagandy, to społeczeństwa, a właściwie ich najbardziej aktywne i „patriotycznie" nastawione odłamy, mogą stać się hamulcowym we wzajemnych relacjach, czego przykładem jest chociażby działalność ugrupowania Pawła Kukiza. W rezultacie tej wzajemnej synergii konfliktów politycznych i wzajemnej nieufności na poziomie społecznym nasze relacje mogą „cofnąć się" o trzy dekady.

Andrzej Szeptycki jest adiunktem na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl fc728fc9e1

Paszynjan – showman czy mąż stanu

Z Anną Israeljan, armeńską dziennikarką, rozmawia Andrzej Brzeziecki

ANDRZEJ BRZEZIECKI: Mija właśnie pół roku od momentu, gdy Nikol Paszynjan w wyniku rewolucji został premierem Armenii. Jakie do tej pory odniósł sukcesy i jakie niepowodzenia na tym stanowisku?

ANNA ISRAELJAN: Przede wszystkim sukcesy odnosi on w nagłośnianiu swej walki z korupcją i oligarchami. Zadanie, jakie postawił przed sobą, przypomina posprzątanie stajni Augiasza. Sprawdzane są wszystkie informacje, a nawet plotki związane z nadużywaniem władzy przez ludzi poprzedniego reżimu. Wszystkie te sprawy powinny być wyjaśnione. To samo dotyczy zbadania sprawy 1 marca 2008 roku, kiedy podczas powyborczych demonstracji w wyniku działań władz zginęło dziesięć osób.

Natomiast trudniej jest mówić o sukcesach w sferze gospodarczej. Szczególnie potrzebne są realne działania rządu, żeby ludzie poczuli, iż coś się zmienia, ich lodówki powoli się zapełniają, a w kieszeni mają więcej pieniędzy.

Takich działań brakuje, a mimo to Paszynjan cieszy się olbrzymim poparciem.

Na razie ludzie jeszcze wciąż żywią nadzieję, że właśnie ta walka nowej władzy z korupcją korzystnie wpłynie na ich sytuację ekonomiczną. Zwolennicy premiera myślą, że jeśli w państwie będzie się mniej kraść i wszystko będzie zgodne z prawem, to wcześniej czy później wpłynie to na poziom życia zwykłych obywateli. Dlatego do tej pory, po tylu miesiącach, Paszynjan wciąż ma tak wielkie poparcie – powiedziałabym nawet, że mamy do czynienia z lekkim kultem jednostki. Są już koszulki, czapki, zapalniczki i butelki z piwem z wizerunkiem premiera. Porównuje się go nawet do świętego albo mesjasza.

Sceptycy podkreślają, że prawdziwej walki z korupcją nie ma – pokazowo aresztuje się jakichś ludzi, by ich potem uwolnić. Tak było choćby z byłym prezydentem Robertem Koczarjanem. Tymczasem prawo się nie zmienia.

Koczarjana zwolnił sędzia, zaś Paszynjan powiedział, że nie będzie wpływał na sędziów, w co zresztą nie bardzo wierzę. Niedawno ujawniono zapis rozmowy dwóch wysoko postawionych funk-

eprasa.pl fc728fc9e1

cjonariuszy resortów siłowych – szefa Służby Bezpieczeństwa Narodowego i szefa komitetu śledczego – z tej rozmowy wynika, że premier był konsultowany w sprawie Koczarjana. Sam Paszynjan, kiedy przedstawiał pracownikom komitetu śledczego ich nowego szefa, mówił im, że dla nich kwestią honoru powinno być wyjaśnienie sprawy 1 marca 2008 roku. Można to uznać za wyrażone nie wprost polecenie. Urzędnicy dobrze wyczuwają takie impulsy płynące ze strony rządzących.

Premier deklaruje też, że nie chce, aby więzienia zapełniły się ludźmi starego systemu, a dąży tylko do tego, żeby zwrócili oni państwu skradzione pieniądze, i będą mogli pozostać na wolności. Myślę, że takie podejście rozczaruje ludzi, którzy chcą zemsty. Ludzie, jak wiadomo, nie potrzebują tylko chleba, ale też igrzysk. Tymczasem gdy niektórych się aresztuje, a potem wypuszcza na wolność, to ocenia się to jako zwykłe *show*, prężenie muskułów, a nie prawdziwą walkę z korupcją. Paszynjan powiedział na jednym z wieców, że oligarchów trzeba rozkładać na asfalcie albo rozmazywać na ścianach. Te słowa padły, gdy ujawniono wspomnianą rozmowę urzędników państwowych. Były przypadki, że człowieka, pod którego domem przez kilka dni czaiła się policja, aresztowano tylko po to, by położyć go na asfalcie, wszystko sfilmować i potem puścić wolno.

Czy sprawa 1 marca 2008 roku będzie rozwiązana?

Na razie wciąż nie wiemy, kto strzelał, kto jest winien śmierci ludzi, a bez tego nie można stwierdzić, że cokolwiek zostało rozwiązane. W tej wspomnianej przeze mnie podsłuchanej rozmowie padły słowa, że śledczy wiedzą już, kto dał wojskom wewnętrznym rozkaz do zabicia policjanta, by był pretekst do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Na razie nikomu jednak nie przedstawiono zarzutów.

Nawet jeśli w tej sprawie i wielu innych będą zarzuty, to czy przy tych sędziach można spodziewać się uczciwych procesów? To ludzie, którzy kariery robili za komunizmu albo przez ostatnie dwadzieścia lat.

I wcale nie trzeba ich zmieniać. Tacy ludzie, a myślę też o dziennikarzach państwowych mediów, potrafią wyczuć, skąd wieje wiatr, i dobrze się ustawić. Oni będą realizować to, czego oczekuje nowa władza. Własnymi rękami zmienią wszystko to, co tymi samymi rękami budowali przez ostatnie lata.

Niedawno odbyły się w Erywaniu wybory na mera miasta, które były swoistym plebiscytem poparcia dla ekipy Paszynjana. 81 procent głosów oddano na ugrupowanie premiera, ale frekwencja wyniosła tylko 43 procent. Jak można ocenić te wyniki?

81 procent to jednak rewelacyjny wynik, ale rzeczywiście nie można zapominać o tych 57 procentach ludzi, którzy zostali w domach. Pamiętajmy, że mieszkańcy Erywania to właściwie już

eprasa.pl fc728fc9e1

połowa populacji Armenii, więc te liczby mają znaczenie ogólnokrajowe. Myślę, że w wyborach nie głosowała ta część społeczeństwa, która jeszcze nie opowiedziała się po żadnej stronie, albo ludzie, którzy nie popierali starego systemu, ale nie chcieli oddać głosu na ugrupowanie Paszyniana, bo boją się, że powstanie z tego system jednopartyjny.

W parlamencie ciągle jednak Paszynjan ma tylko niespełna dziesięć głosów – jak może rządzić tak krajem?

Dlatego chce on jak najszybciej doprowadzić do wyborów. Mówił wcześniej, że w ciągu roku powinno dojść do przyspieszonych wyborów, teraz zapowiedział, że odbędą się one wcześniej. Zdaniem Paszynjana, obecna sytuacja jest niebezpieczna, bo powstała dwójwładza. Z jednej strony premier, a z drugiej większość w parlamencie. A to przecież premier powinien być liderem większości parlamentarnej. Po prawdzie teraz, gdy kilka osób odeszło z Republikańskiej Partii Armenii, ona też straciła większość. Zresztą partia ta wcale nie przeszkadza premierowi i nie głosuje przeciw jego ustawom.

Ale póki co premier Paszynjan żadnych poważnych projektów reform nie przedłożył parlamentowi pod głosowanie.

Tak, to prawda. Brak kardynalnych reform, a nawet te przegłosowane wcześniej zostały wstrzymane, choćby projekt zakładający nasze porozumienie z Unią Europejską. Dlatego krytycy podnoszą, że od kilku miesięcy nic się nie dzieje poza *show* w postaci walki z korupcją i płomiennymi przemówieniami Paszynjana na mityngach.

Jak długo można na tym jechać?

Nie wiem. Jednak doświadczenie innych rewolucji w regionie mówi, że mniej więcej pół roku po przełomie euforia opada – zobaczymy, jak będzie w Armenii.

By zyskać większość w parlamencie, potrzebne są wcześniejsze wybory, a przedtem rozwiązanie obecnego parlamentu. Jak jednak można rozpuścić parlament zgodnie z prawem? Żadna partia nie podważała formalnie wyniku głosowania.

To oczywiście podstawowe pytanie. Kilka tygodni temu, podczas pobytu w Nowym Jorku, Paszynjan zapowiedział konsultacje z ugrupowaniami w parlamencie na temat przyspieszonych wyborów. Stwierdził, że Armenia potrzebuje inwestycji, a te przyjdą tylko wtedy, gdy sytuacja polityczna w kraju będzie stabilna. Parlament można rozwiązać wtedy, gdy nie jest on w stanie wybrać premiera – ale premier jest. Teoretycznie mógłby się porozumieć ze zwolennikami starego reżimu, że poda się do dymisji i parlament nie wybierze jego następcy – byłoby to takie dżentelmeńskie porozumienie. Ale Paszynjan może się bać, że wtedy parlament wybierze innego premiera. Z drugiej strony Republikańska Partia Armenii może obawiać się takiej konfrontacji ze względu na nastroje

eprasa.pl fc728fc9e1



Rosjanie na razie nie widzą kardynalnego zwrotu Armenii w kierunku Zachodu, więc tylko obserwują. Nie robią tego, co w Gruzji i na Ukrainie, ale jest duże prawdopodobieństwo, że kiedy rozzłościmy Rosję, może ona zastosować radykalne rozwiązania.

Archiwum Prywatne

eprasa.pl fc728fc9e1

społeczne. Zwycięstwo ugrupowania Paszynjana w Erywaniu potwierdziło, że ludzie chcą jego u władzy.

Na razie premier nie ma większości w parlamencie, ale ma szerokie pełnomocnictwa – konstytucja była przecież zmieniana pod Serża Sarkisjana, żeby jako premier mógł dalej rządzić.

I Paszynjan z dużym upodobaniem korzysta z tych pełnomocnictw. Tym, którzy go krytykują i mówią, że lepsza byłaby jakaś równowaga sił, odpowiada, że tak naprawdę oni nie chcą poważnych reform, bo będzie mógł je wprowadzić tylko wtedy, gdy przejmie kontrolę nad państwem.

Czy może zamienić się w dyktatora?

Jest wiele przesłanek, które zdają się to sugerować. W narodzie większość mają jego zagorzali zwolennicy, którzy nie wątpią w nic, co powie Paszynjan, i są gotowi atakować wszystkich mających inne zdanie. Choćby media: podlegają totalnej krytyce te, które wyrażają wątpliwości co do działań Paszynjana albo publikują wypowiedzi jego przeciwników. To widać najlepiej w internecie, kiedy atakuje się inaczej myślących i wzywa do zamknięcia takich mediów. Kiedy ktoś ma taką władzę nad ludźmi, że płaczą na jego widok, to może oderwać się od ziemi.

Jakie on właściwie ma poglądy?

Powiedział, że odcina się od wszelkich „-izmów" oraz że nie jest ani prozachodni, ani prorosyjski, tylko jest proormiański.

To ładnie brzmi, ale co znaczy?

Myślę, że on poglądy ma takie, jakie podobają się społeczeństwu. Czasem jednak u polityków powinna być wola przeprowadzenia potrzebnych reform, które mogą nie podobać się wyborcom. Tego na razie nie widzę.

Krytykuje się też Paszynjana za to, że w jego otoczeniu jest zbyt dużo młodych, niedoświadczonych ludzi.

Tak naprawdę są w jego ekipie ludzie także z doświadczeniem, ale to prawda, że w oczy rzucają się głównie ci młodzi – mają oni świetne wykształcenie, ale nie mają doświadczenia w zarządzaniu. Najlepszym przykładem jest nowy mer Erywania – człowiek, który wcześniej kierował jedynie swoim komediowym programem. Oczywiście był on znany ze społecznego zaangażowania, występował na wiecach, ale Erywań to wielka maszyna i żeby nią zarządzać, potrzeba większego doświadczenia. Niestety Paszynjan poszedł drogą, którą kroczyło wielu przed nim – decydującym kryterium przy doborze ludzi jest to, czy są „nasi".

W jaki sposób ludzie *ancien regime*'u mogą przeszkadzać Paszynjanowi?

Wciąż mają swoich przedstawicieli w międzynarodowych organizacjach. Na przykład w Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy albo w strukturach odpowiedzialnych za współpracę z Unią Europejską. Próbują więc użyć tych stanowisk, by tworzyć negatywny wizerunek

eprasa.pl fc728fc9e1

rządu. Udało im się doprowadzić do tego, że na Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy będzie się rozpatrywać problem wolności słowa i stosowania wybiórczej sprawiedliwości w Armenii.

Miałem na myśli bardziej radykalne metody.

Mówi się, że życie Paszynjana jest zagrożone. Służby specjalne informowały jakiś czas temu, że coś się szykuje, ale nie podały szczegółów. Nowe władze przecież nadepnęły na odciski ludziom wpływowym, którzy mają broń, a nawet prywatne armie pod pretekstem ochrony.

Pomówmy o polityce zagranicznej. Początkowo wydawało się, że rząd Paszynjana będzie prozachodni i osłabi więzi z Rosją. Tymczasem przyjęcie na Zachodzie okazało się chłodne. Podczas pobytu w USA nie doszło do spotkania na szczycie.

Formalnie Paszynjan pojechał na zgromadzenie ONZ, ale rzeczywiście były starania ormiańskiego lobby w USA, aby prezydent Donald Trump, wiceprezydent albo chociaż sekretarz stanu spotkali się z premierem – bezskuteczne. Także z Unią Europejską nie wszystko układa się po myśli Erywania. Wystąpienie Paszynjana w Brukseli nie było ciepło przyjęte. Był rozczarowany, że Europa nie chce mu pomóc, chociaż zrobił dla walki z korupcją w kraju więcej niż ktokolwiek inny. Usłyszał: „my nie sponsorujemy rewolucji". Jeden z urzędników Unii Europejskiej, który wcześniej był zachwycony Paszynjanem, po jego wyjeździe do Brukseli powiedział, że premier ma słabych doradców albo nie umie rozmawiać. Gruzini też krytykują Unię, ale robią to mądrzej. Na koniec także z Rosją relacje są skomplikowane. Moskwę zaniepokoił areszt Koczarjana, a także Jurija Chaczaturowa, który jest sekretarzem Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym.

Paszynjan z Władimirem Putinem spotykali się już kilkukrotnie, często też rozmawiają przez telefon. Te częste kontakty dowodzą dobrych relacji czy wręcz przeciwnie?

Przed pierwszym spotkaniem Paszynjan przekonywał, że jeśli nie ma problemów w relacjach, to znaczy, że właściwie tych relacji nie ma. Jednak po tej rozmowie stwierdził, że relacje są znakomite i właściwie to nie ma już żadnych problemów. W tej sferze mamy bardzo dużo sprzecznych wypowiedzi. Niemniej są też inne sygnały. Odkąd jestem dziennikarką, nie pamiętam, żeby rosyjskie MSZ oficjalnie wypowiadało się na temat wewnętrznych spraw Armenii. A tak się stało po aresztowaniu Chaczaturowa. Choć Siergiej Ławrow nie powiedział tego wprost, ale przekaz był jasny – ten krok Moskwie się nie spodobał.

Putin zaś zadzwonił z życzeniami urodzinowymi do Koczarjana, co Kreml też nagłośnił i co było jasnym sygnałem dla wszystkich.

Koczarjan wyraził się kiedyś, że między nim a Putinem jest chemia. Gołym

eprasa.pl fc728fc9e1

okiem widać, że Rosjanie nie są zachwyceni tym, co się dzieje z ich sojusznikami, i to w dużym stopniu objaśnia obecną sytuację. W tej chwili nie widzą zdecydowanego zwrotu Armenii w kierunku Zachodu, więc tylko obserwują. Na razie nie robią tego, co zrobiono w Gruzji i na Ukrainie, ale jest duże prawdopodobieństwo, że kiedy rozzłościmy Moskwę, może ona zastosować radykalne rozwiązania. Ma miejsce zbliżenie Rosji z Azerbejdżanem. Ormianie boją się, że ceną za demokratyzację ich kraju mógłby stać się Górski Karabach.

Z drugiej strony Paszynjan poszedł na ustępstwa, na które nie poszedłby Serż Sarkisjan – wysłał na przykład wojska do Syrii.

I ten krok spotkał się z dużą krytyką. Paszynjan i Ministerstwo Obrony zapewniają co prawda, że wysłani zostali tylko saperzy i lekarze. Nie było to jedyne ustępstwo na rzecz Moskwy. Premier wpuścił też rosyjskich specjalistów do amerykańskiego laboratorium. W tych laboratoriach monitorowano sytuację pod kątem groźnych chorób i epidemii, ale Rosjanie, których niepokoi jakakolwiek obecność Amerykanów na terytorium poradzieckim, sugerowali, że może bada się tam wirusy groźne dla Rosji.

Pomówmy o Górskim Karabachu, o którym Pani wspomniała. Paszynjan jest pierwszym politykiem, który z racji wieku nie walczył w Karabachu ani o Karabach. Czy to coś zmienia?

Tak. Widać już inne podejście do tej sprawy. Dwaj poprzedni prezydenci byli z Karabachu i na arenie międzynarodowej przedstawiali tak władze Armenii, jak i Karabachu. Paszynjan od razu powiedział, że nie ma prawa mówić za Karabach i władze w Stepanakercie powinny się same reprezentować. Innymi słowy, chce włączyć Karabach do negocjacji. Problem w tym, że Azerbejdżan na razie nie widzi takiej możliwości. A jeśli nie ma negocjacji, to co pozostaje? Wojna.

Skąd zatem w Ormianach taka nadzieja na lepsze jutro?

W przeszłości naród już wiele razy wiązał nadzieje z jednym liderem. Tak było z Karenem Demirczjanem, Wazgenem Manukjanem, Lewonem Ter-Petrosjanem i innymi. Każdy z tych polityków był inny, ale społeczeństwo o każdym myślało jak o zbawcy i wynosiło go bardzo wysoko, by później rozczarowane z tej wysokości go strącić. Paszynjan też uważany jest dziś za zbawcę, ale wciąż można żywić nadzieję, że jednak zrozumiał, jakie błędy popełnili jego poprzednicy.

Anna Isrlaeljan jest dziennikarką armeńskiej gazety „Arawot" oraz redaktorką jej internetowego wydania. Absolwentka Państwowego Uniwersytetu w Erywaniu. Obserwuje życie polityczne Armenii od ponad dwudziestu lat. Laureatka wielu nagród dziennikarskich.

eprasa.pl fc728fc9e1

Wielka ropa i wielkie problemy największego jeziora

Ilgar Wielizade

O Morzu Kaspijskim często można usłyszeć, że to największe, najbardziej rozległe i najbogatsze w złoża mineralne jezioro na Ziemi. Niewielu jednak dodaje, że to także jezioro będące przedmiotem największych sporów.

Nie ma na świecie wielu zbiorników wodnych, wokół których toczące się spory ustalają geopolityczną agendę regionów. W tym zakresie Morze Kaspijskie wydaje się wyjątkowe. Powodem są znajdujące się na jego dnie bogate złoża ropy i gazu. Według niektórych obliczeń, zapasy wyłącznie samej ropy w Morzu Kaspijskim sięgają 27 miliardów 500 milionów ton. Inne szacunki wskazują, że znajduje się w nim piąta część światowych złóż węglowodorów. Oznacza to, że każdy metr kwadratowy kaspijskiego dna wart jest miliony dolarów. Nic dziwnego, że gdy po rozpadzie Związku Radzieckiego na wybrzeżu Morza Kaspijskiego pojawiło się pięć, zamiast wcześniejszych dwóch państw, rozpoczęła się między nimi walka o prawo do rozporządzania jego zasobami.

Pierwszy do konkurencji stanął Azerbejdżan, dysponujący najbardziej rozwiniętą infrastrukturą, pozwalającą mu – jako jedynemu – na wydobycie ropy i gazu nie tylko na lądzie, ale też w głębi morza. Sprzyjało mu doświadczenie. Już w 1848 roku w Baku wykonano jeden z pierwszych na świecie naftowych odwiertów i rozpoczęto przemysłowe wydobycie ropy. W 1949 roku w Azerbejdżanie, po raz pierwszy w światowej historii, rozpoczęto wydobycie ropy na odkrytym szelfie. Azerbejdżańscy geolodzy nakreślili mapy większości złóż ropy i gazu na Morzu Kaspijskim. Pierwsze ropociągi Imperium Rosyjskiego, które zaopatrywały w paliwo zarówno carską Rosję, jak i Związek Radziecki, powstały na terytorium Azerbejdżanu.

Doświadczenie i odpowiednia infrastruktura do wydobycia i transportu ropy spowodowały zaproszenie Baku do grona międzynarodowych korporacji paliwowych. Fakt ten obudził zaniepokojenie Rosji i Iranu, starających się za wszelką cenę ograniczyć wejście zachodniego kapitału do regionu. Niemniej, dwa pozostałe państwa nadkaspijskie – Kazachstan i Turkmenistan – wspierały Baku i same, poszu-

eprasa.pl fc728fc9e1

kując zewnętrznych źródeł dochodu, rozpoczęły dialog z zachodnimi korporacjami w sprawie zagospodarowania złóż znajdujących się w pobliżu ich linii brzegowych.

W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku, w celu rozwiązania rosnących nieporozumień między krajami basenu, rozpoczęto negocjacje, które miały określić prawnopolityczny status Morza Kaspijskiego i ustalić zasady wspólnego gospodarowania zbiornikiem.

Pułapki kaspijskiego dialogu

Już na początku nowego tysiąclecia, gdy Azerbejdżan podpisał około dwudziestu kontraktów z najważniejszymi światowymi producentami ropy i gazu w sprawie aktywnego zagospodarowania kaspijskiego szelfu, i gdy podobną do Baku linię realizowały Astana i Aszchabad, stało się jasne, że rozwiązanie problemów Morza Kaspijskiego wymaga uwzględnienia realiów, a nie tylko pragnień stron. W lipcu 1998 roku między Kazachstanem a Rosją zawarto porozumienie o podziale dna północnej części Morza Kaspijskiego. W maju 2002 roku został podpisany protokół do tego porozumienia. 29 listopada 2001 roku i 27 lutego 2003 roku umowy o podziale dna Morza Kaspijskiego zawarły Kazachstan z Azerbejdżanem. Porozumienie o punkcie styku linii granicznych dna Morza Kaspijskiego między Kazachstanem, Azerbejdżanem i Rosją podpisano 14 maja 2003 roku.

W tym samym czasie na południu Morza Kaspijskiego sytuacja rozwijała się według innego scenariusza. Podstawową przyczyną było stanowisko Iranu, który nalegał na równy podział Morza Kaspijskiego – po 20 procent dla każdego państwa. Było to sprzeczne z zasadą linii środkowej, stanowiącej podstawę podziału dna Morza Kaspijskiego na północy i realizowaną przez Rosję, Kazachstan i Azerbejdżan. Również Turkmenistan skłaniał się do stanowiska swoich partnerów ze Wspólnoty Niepodległych Państw. Zgodnie z nim Azerbejdżan miał prawo do 19,5 procent Morza Kaspijskiego, Rosja – do 18,7 procent, Kazachstan – do 29,6 procent, Turkmenistan – do 18,4 procent, a Iran – do 13,8 procent. Nie zgadzając się z takim podziałem, Teheran wysuwał roszczenia wobec części azerbejdżańskiej i turkmeńskiej. Zgodnie z proponowanym przez niego systemem, Azerbejdżan i Turkmenistan swoje części powinny uzupełnić kosztem działek Rosji i Kazachstanu, zaś Rosja – dodatkowo kosztem kazachskiej. W rezultacie Kazachstan traciłby 10 procent swojej części. Przesunięcie działek pociągałoby za sobą konieczność podziału także już zagospodarowanych złóż, w które zainwestowano miliardy dolarów i z których oczekiwano miliardowych dochodów. Ponadto zgoda na warunki Iranu wymagałaby odwołania zawartych wcześniej porozumień między innymi państwami, co z punktu widzenia prawa międzynarodowego było nie do przyjęcia.

eprasa.pl fc728fc9e1

Oddzielnym problemem południowej części Morza Kaspijskiego była kwestia złoża Kjapaz (turkmeńska nazwa: Serdar), położonego między brzegiem azerbejdżańskim a turkmeńskim. Sporne złoże odkryto jeszcze w czasach radzieckich – w 1989 roku (według innych danych w 1959 roku). Początkowo nazywano je „pośrednim" z uwagi na fakt, że znajdowało się na środku linii oddzielającej Azerbejdżan od Turkmenistanu. Następnie przemianowano je w złoże imienia pięćdziesięciolecia rewolucji październikowej. Gdy Związek Radziecki rozpadł się, byłe radzieckie republiki stanęły przed problemem rozgraniczenia swoich działek.

Według oceny specjalistów, zapasy złoża Serdar wynoszą od 50 milionów do 100 milionów ton ropy i 32 miliardy metrów sześciennych gazu. Realna wartość problemu jest więc niebagatelna.

Oznacza to, że każdy metr kwadratowy kaspijskiego dna wart jest miliony dolarów.

Przyczyną sporu stało się różne podejście do określenia linii środkowej, mającej stanowić o granicy morskich działek. Azerbejdżan, powołując się na międzynarodową praktykę, uważa, że linia środkowa powinna być określana w stosunku do ukształtowania linii brzegowej. Ponieważ punktem najdalej wysuniętym w głąb Morza Kaspijskiego jest Półwysep Apszeroński, zdaniem Baku, od niego należy wyprowadzić linię graniczną. Turkmenistan z kolei trzyma się stanowiska, według którego linia brzegowa powinna być prowadzona względem podstawowej linii kaspijskiego nabrzeża znajdującego się w granicach Azerbejdżanu. Według tego założenia złoża Kjapaz znajdują się w strefie jurysdykcji Turkmenistanu. Jeśli zaś przyjąć za punkt odniesienia Półwysep Apszeroński, wypadają one na granicy między dwiema republikami.

Baku powołuje się na mapy z okresu radzieckiego, zgodnie z którymi sporna część Morza Kaspijskiego mieści się w granicach Azerbejdżańskiej SRR. Z uwagi na fakt, że złoża znajdują się w strefie pogranicznej, gotowe jest jednak, zgodnie z międzynarodowymi normami, przyjąć zasadę ich eksploatacji na zasadzie „50 na 50". Stanowisko Turkmenistanu w sprawie złoża Serdar pozostaje niezmienione. Jednocześnie, z uwagi na chęć obu stolic do realizacji innych kierunków wzajemnej współpracy, szczególnie w zakresie tranzytu nośników energii, kwestia ta została wyjęta z zakresu bieżących priorytetów stosunków dwustronnych i połączona z ogólnym problemem prawno-politycznego statusu Morza Kaspijskiego.

Nie wpuścić NATO

Z upływem czasu wszyscy uczestnicy kaspijskiego dialogu zaczęli rozumieć, że dalsze odkładanie decyzji w sprawie statusu Morza Kaspijskiego grozi poważnymi

eprasa.pl fc728fc9e1

konsekwencjami. Przez lata dwustronnych uzgodnień pojedynczych kwestii odnoszących się do wykorzystania akwenu kaspijska piątka nie zdołała dojść do porozumienia w kwestii najbardziej podstawowej – czy z prawnego punktu widzenia Morze Kaspijskie traktować należy jako morze czy jako jezioro.

Przez długi czas w procesie negocjacyjnym za punkt wyjścia przyjmowano Konwencję Narodów Zjednoczonych o prawie morza podpisaną w 1982 roku w Montego Bay. Mimo że ogólne postanowienia konwencji odpowiadają sytuacji Morza Kaspijskiego, to wszystkich jej zasad zastosować nie można. Zgodnie z konwencją, każde z pięciu państw basenu powinno mieć prawo do dwunastomilowych wód terytorialnych i dwustumilowej wyłącznej strefy ekonomicznej. Morze Kaspijskie jednak w swoim najszerszym miejscu nie osiąga długości 200 mil morskich. Dlatego zdecydowano, że wyłączna strefa ekonomiczna państw będzie rozgraniczona według zasady linii środkowej. Zgodnie z nią, im dłuższa linia brzegowa, tym większa część morza przypada danemu państwu. Niemniej, złożone ukształtowanie brzegów Morza Kaspijskiego, z wychodzącymi w głąb wód zatokami i półwyspami, przybrzeżnymi archipelagami oraz specyficzną lokalizacją struktur geologicznych nie pozwala na ścisłe przestrzeganie tej zasady w praktyce. Dlatego w kwestii podziału Morza Kaspijskiego coraz częściej mówi się o zasadzie zmodyfikowanej linii środkowej, określanej w wyniku wzajemnego porozumienia.

Gdy po rozpadzie ZSRR na wybrzeżu Morza Kaspijskiego pojawiło się pięć państw, rozpoczęła się między nimi walka o prawo do rozporządzania jego zasobami.

Już na szczycie państw nadkaspijskich w Astrachaniu strony osiągnęły wstępne porozumienie, zgodnie z którym każdy kraj kaspijskiej piątki otrzymał prawo do przestrzeni w przedziale 15 mil morskich od brzegu – „przestrzeń suwerenności narodowej") oraz dodatkowe 10 mil morskich, na których może prowadzić wydobycie surowców. Za 25 milami rozpoczynają się zaś wody wspólne dla całej piątki, których zagospodarowanie będzie możliwe po przyjęciu końcowej decyzji w sprawie statusu Morza Kaspijskiego.

Innym efektem astrachańskiego szczytu było porozumienie wykluczające możliwość przebywania na Morzu Kaspijskim struktur siłowych państw nienależących do piątki. Rosja i Iran od początku kategorycznie sprzeciwiały się przebywaniu w basenie sił zbrojnych innych państw w obawie, że kraje NATO, zawierając porozumienie z Azerbejdżanem, Kazachstanem lub Turkmenistanem doprowadzą do utworzenia na jego brzegu baz wojskowych. Neutralny status Turkmenistanu, członkostwo Kazachstanu w Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym i pozablokowy status Azerbejdżanu zasadniczo nie pozwalają jednak na tworzenie takich baz.

eprasa.pl fc728fc9e1

Klucz do rozwiązania problemów

Po szczycie w Astrachaniu nastąpił wyraźny zastój w procesie negocjacyjnym na temat kształtu przyszłej konwencji. Dopiero w ubiegłym roku proces ten znacznie przyspieszył. 5 grudnia 2017 roku w Moskwie odbyło się spotkanie ministrów spraw zagranicznych państw nadkaspijskich, po którym Siergiej Ławrow zapowiedział gotowość projektu konwencji w sprawie prawnego statusu Morza Kaspijskiego.

Stroną, która dotychczas hamowała proces uzgadniania wspólnego stanowiska w sprawie rozgraniczenia dna morskiego, był Iran. Wraz z dojściem do władzy rządu Hasana Rouhaniego w 2013 roku można było jednak obserwować zmianę w podejściu Teheranu. W czasie wizyty Rouhaniego w Azerbejdżanie w marcu 2018 roku, gdy podpisano porozumienie o wspólnym zagospodarowaniu spornego wcześniej złoża Araz-Alow-Szarg, mieszczącego 700 miliardów metrów sześciennych gazu i 900 milionów ton kondensatu, stało się jasne, że Teheran zmienił stanowisko w kwestii rozgraniczenia dna Morza Kaspijskiego. Strony zobowiązały się wówczas do dostarczenia gazu za pośrednictwem rurociągów, co potwierdzało ustępstwo Iranu także w tym zakresie. Przedtem zarówno Moskwa, jak i Teheran sprzeciwiały się realizacji na Morzu Kaspijskim projektów budowy rurociągów, które zagrażałyby rosyjskiemu monopolowi na europejskim rynku gazowym.

W rezultacie 12 sierpnia w Aktau odbył się piąty szczyt państw nadkaspijskich, na którym zatwierdzono tekst konwencji w sprawie prawno-politycznego statusu Morza Kaspijskiego. Jej podstawą stała się zasada zmodyfikowanej linii środkowej, zgodnie z którą określane są strefy odpowiedzialności poszczególnych państw. Jednocześnie należy zastrzec, że podpisanie samej konwencji nie oznacza rozwiązania wszystkich spornych kwestii. Problem rozgraniczenia dna Morza Kaspijskiego między Azerbejdżanem a Iranem oraz między Azerbejdżanem a Turkmenistanem został przesunięty w zakres kompetencji umów dwustronnych.

W trudnej geopolitycznej sytuacji regionu konwencja stała się swoistym kluczem do rozwiązania nagromadzonych problemów. Niewątpliwie jej podpisanie wpłynie pozytywnie na geoekonomiczną i geopolityczną sytuację regionu. To nowa karta i nowe możliwości we wzajemnych stosunkach krajów basenu. Historia pokaże, w jaki sposób zostaną wykorzystane.

Przełożyła Magdalena Lejman

Ilgar Wielizade jest azerbejdżańskim politologiem i ekonomistą. Przewodniczący Klubu Politologów Kaukazu Południowego, autor artykułów publikowanych w krajach poradzieckich, Europie i Azji.

eprasa.pl fc728fc9e1

Niewidzialni

Z Ismailem Dżalilowem, azerskim dziennikarzem
i aktywistą LGTBI, rozmawia Anna Żamejć

ANNA ŻAMEJĆ: W rankingach organizacji LGBTI Azerbejdżan rok w rok znajduje się w czołówce państw, gdzie gejom żyje się najtrudniej. Dlaczego?

ISMAIL DŻALILOW: Azerbejdżan jest krajem, gdzie nie tylko gejom trudno się żyje, tu w ogóle ciężko być obywatelem. Arbitralne aresztowania, prześladowania ze strony policji i władz są na porządku dziennym. Prawa obywatelskie często łamane są bez powodu. Zwykłemu człowiekowi trudno się przed tym bronić: na próżno szukać sprawiedliwości w sądach, bo niezawisłe sądownictwo nie funkcjonuje.

Jeśli chodzi o sytuację gejów, mamy w Azerbejdżanie potrójny problem: homofobiczny naród, represywny reżim i do tego wyjątkowo obojętne społeczeństwo. Podczas zeszłorocznej fali represji przeciwko grupom LGBTI w Baku większość działaczy praw człowieka nie była skora do pomocy. Tych odważnych można było policzyć na palcach jednej ręki. A przecież mieliśmy do czynienia z masowymi naruszeniami praw człowieka! Z drugiej strony to oczywiste, że takie zachowanie dyktuje polityczny interes. W krajach autorytarnych społeczeństwo obywatelskie przyjmuje cechy organizacji politycznej. Innymi słowy, działa i zachowuje się jak podmiot polityczny, wysoce zależny od opinii publicznej. Tymczasem stawanie w obronie gejów to bardzo niewdzięczne zajęcie. Jest wiele do stracenia i nic do zyskania.

Dlaczego opinia publiczna w Azerbejdżanie jest tak wrogo nastawiana do gejów?

To kraj muzułmański, a w islamie nie ma tolerancji dla homoseksualizmu. Na papierze miejsce Azerbejdżanu jest w Europie, ale w rzeczywistości stajemy się coraz bardziej religijnym społeczeństwem, a to wpływa na kulturę polityczną. Do tego Baku znajduje się w ścisłej orbicie wpływów Rosji i jest kulturowo związane z Bliskim Wschodem: Turcją i Iranem. Żaden z tych trzech krajów nie słynie z tolerancji dla gejów. Gdziekolwiek zatem zwykły człowiek nie spojrzy, tam widzi homofobię. Nie mamy wokół siebie krajów, od których można byłoby przejmować dobre wzorce.

Jesienią zeszłego roku miała miejsce bezprecedensowa nagonka na środowisko LGBTI w Baku. Blisko sto

eprasa.pl fc728fc9e1

osób homoseksualnych i transpłciowych zostało aresztowanych, wiele z nich dotkliwie pobito, a nawet torturowano. Sprawa wywołała oburzenie międzynarodowe. Nie wpłynęło to w żaden sposób na złagodzenie nastrojów społecznych wobec osób LGBTI w Azerbejdżanie?

Niestety, oburzyła się tylko zagranica. Krajowa opinia publiczna pozostała nieporuszona. Przegraliśmy tę bitwę, bo nikt się za nami nie ujął. W najlepszym razie gejów spotyka w Azerbejdżanie obojętność. Większość ludzi nie tylko nas nie toleruje, ale sprzeciwia się nawet normalnemu traktowaniu osób LGBTI. Reakcja międzynarodowa wpłynęła, co prawda, na zachowanie i decyzje rządu, ale niestety nie miała żadnego znaczenia, jeśli chodzi o reakcję społeczeństwa.

Muszę jednak przyznać, że część winy leży też po naszej stronie. Gdyby zapytać przeciętnego Azera, z kim kojarzy mu się gej, większość wskaże na transpłciową osobę, która sprzedaje swoje ciało pod drogim międzynarodowym hotelem. A typowy homoseksualista paraduje, ich zdaniem, w kobiecych ciuchach. To niesprawiedliwy i prymitywny opis całego środowiska. Aczkolwiek, właśnie tacy przedstawiciele są najbardziej widoczni. Ci z nas, którzy są lepiej wykształceni i wyrafinowani, nie bywają w pierwszym szeregu. To błędne koło – nie chcą się ujawniać, bo boją się, że zostanie im przyklejona łatka puszczalskich.

Są niewidzialni.

W najlepszym razie jesteśmy niewidzialni, w najgorszym – jesteśmy postrzegani jako kryminaliści lub chorzy ludzie. Wiele osób w Azerbejdżanie wciąż wyznaje pogląd, że homoseksualizm to choroba, mimo że na świecie tę teorię obalono dekady temu. Z uwagi na kryzys systemu edukacyjnego i co za tym idzie medycznego brakuje nam psychiatrów i psychologów, którzy mogliby wyjaśnić ludziom w przystępnym języku, że homoseksualizm nie ma nic wspólnego z chorobą psychiczną.

Podczas zeszłorocznej nagonki ujawniono wiele osób. Kto był na celowniku policji?

Rząd szerzył dezinformację, twierdząc, że fala aresztowań dotyczyła tylko ulicznej prostytucji, głównie osób transpłciowych. Sporo naszych heteroseksualnych przyjaciół uwierzyło w ten mit. Ale to nie była prawda.

Policja przeszukiwała telefony osób LGBTI i zmuszała aresztowanych do ujawnienia, kim są i gdzie mieszkają inni geje. Powstała reakcja łańcuchowa. W rezultacie wtargnięto do domów wielu gejów, którzy wciąż mieszkają z rodzinami, przy okazji informując rodziców, że ich syn jest homoseksualistą. Słyszałem o przypadku kobiety, która zmarła na atak serca po tym, jak policja ujawniła prawdziwą orientację seksualną jej syna. Nawet w pracy nie można było czuć się bezpiecznie. Pewnego stylistę wyciągnęli z salonu fryzjerskiego w chwili, gdy obcinał włosy – wystarczyło podejrzenie,

eprasa.pl fc728fc9e1

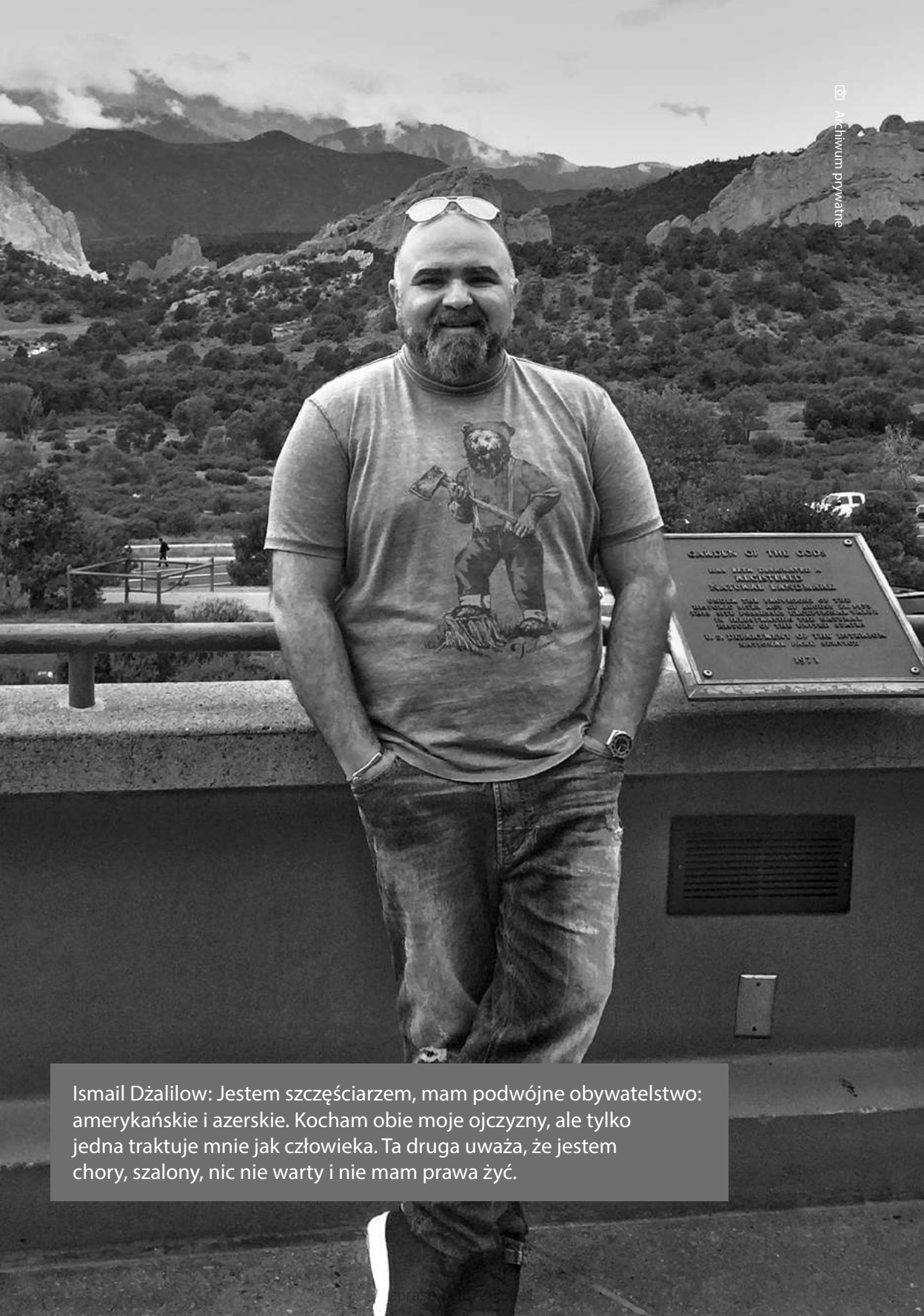

Archiwum prywatne

Ismail Dżalilow: Jestem szczęściarzem, mam podwójne obywatelstwo: amerykańskie i azerskie. Kocham obie moje ojczyzny, ale tylko jedna traktuje mnie jak człowieka. Ta druga uważa, że jestem chory, szalony, nic nie warty i nie mam prawa żyć.

że jest gejem. Celem nie byli jedynie ci, którzy uprawiali nielegalną prostytucję na ulicach.

Z drugiej strony ich również nie należy postrzegać jako najniższą kastę środowiska LGBTI. Transpłciowe osoby nie mają życia w Azerbejdżanie – wyrzuca się je z pracy, uniwersytetów, rodziny się ich wyrzekają. Nie znam ani jednej firmy azerskiej, która z otwartymi ramionami przyjęłaby transpłciowego pracownika. Więc gdzie ci biedni ludzie mają pójść? Trafiają na ulicę, bo żadnej innej opcji nie mają.

Jak przetrwać w takim systemie?

Nie wiem. Kto może, bierze nogi za pas. Każdy marzy o tym, by wyjechać, bo osoby LGBTI nie mają w kraju żadnych perspektyw. Wiele z nich nie decyduje się nawet na ujawnienie swojej tożsamości przed rodziną. Boją się, bo wiedzą, że mogą za to wylecieć z domu. Uważa się, że homoseksualista w rodzinie to wielki wstyd. Ale jak można nienawidzić ludzi za to, jakimi się urodzili? Bo kto wybrałby homoseksualną orientację w kraju muzułmańskim? W Arabii Saudyjskiej lub Iranie za homoseksualizm można stracić życie.

Tym, którzy tego nie pojmują, zadaję proste pytanie: pamiętasz dzień, w którym wstałeś rano z łóżka, podszedłeś do lustra i zdecydowałeś: od dziś będę heteroseksualny? Nie! Bo nie w naszej mocy jest dokonywanie takich wyborów. Nie możemy zdecydować, z jakim rodzimy się kolorem włosów czy oczu i tak samo nie możemy wybrać sobie swojej seksualnej orientacji.

Z jakimi problemami zmagają się osoby homoseksualne w życiu codziennym w Azerbejdżanie?

Przeciętny azerski gej zmaga się z depresją, żyje w ukryciu i najgłośniej ze wszystkich wykrzykuje homofobiczne hasła – aby tylko odwrócić od siebie uwagę. Wiele osób homoseksualnych jest zmuszanych do małżeństw z płcią przeciwną, byleby nie wyszło na jaw, kim naprawdę są. Znam przypadek lesbijki, której brat groził śmiercią, bo „przynosi wstyd rodzinie".

W Azerbejdżanie łatwo można również stracić pracę z powodu seksualnej orientacji. Nie są potrzebne żadne dowody, wystarczy podejrzenie. I jak już cię zwolnią, nie pójdziesz do sądu i nie poskarżysz się, że zwolnili cię, bo jesteś gejem. Jeszcze trudniejsza sytuacja jest w sektorze publicznym. Nie ma się więc co dziwić, że geje nie chcą się ujawniać.

Coming out wiąże się z jeszcze większymi konsekwencjami: społecznym ostracyzmem, a nawet utratą rodziny.

Jak wyglądała historia Twojego *coming out*'u? Mieszkasz w USA, ale wychowałeś się i urodziłeś w Azerbejdżanie.

Nie wyszedłem z szafy – zostałem z niej dosłownie wypchnięty. W Azerbejdżanie byłem popularnym radiowcem i prowadziłem własny program na żywo. Pewnego dnia zaczęły przychodzić tele-

eprasa.pl fc728fc9e1

fony od słuchaczy, w których, jeden po drugim, insynuowano, że jestem gejem i czas się ujawnić. Orientacja seksualna była wtedy moim sekretem, ale jak każdy dwudziestoparolatek chodziłem do klubów, pubów, na randki – byłem częścią homoseksualnego środowiska. Wreszcie powiedziałem „dość" i przyznałem się: macie rację, jestem gejem.

Przyznałeś się na antenie?
Tak.

Który to był rok?
1995.

Czyli pięć lat przed legalizacją związków homoseksualnych w Azerbejdżanie. Nie było to ryzykowne posunięcie?

To prawda, ale wiedziałem, że nie jestem jedyny i nikt nie będzie mnie ścigał. Byłem osobą publiczną, dziennikarzem. To były inne czasy, władza nie czuła się zagrożona i nie mieli potrzeby prześladować każdego niezależnego reportera.

Zresztą, już wcześniej były podejrzenia. Aby raz na zawsze uciąć plotki, mój pracodawca poprosił mnie, abym przyszedł na przyjęcie w towarzystwie dziewczyny. W przeciwnym razie mogą mnie zwolnić. Zrobiłem to, ale czułem się potem okropnie.

Jeśli chodzi o moją rodzinę, jest takie japońskie słowo *mokusatsu*, które doskonale oddaje ich reakcję. W wolnym tłumaczeniu: udawajmy, że nic się nie stało, nic się nie wydarzyło.

Wyjechałem na studia do USA i postanowiłem tam zostać. Przyszedł wtedy czas na rozmowę z mamą: chciałem, żeby zrozumiała, dlaczego nie mogę wrócić do kraju. Jej reakcja na mój *coming out* była bardzo emocjonalna, były krzyki, płacze. Ale w końcu powiedziała mi, że tak naprawdę to ona od zawsze wiedziała i uważa, że postępuję właściwie. I na tym się skończyło.

W Azerbejdżanie znane są również tragiczne historie publicznego *coming out*'u. W 2014 roku Isa Shahmarli, zaledwie dwudziestoletni aktywista organizacji LGBTI, powiesił się na tęczowej fladze. Zostawił notatkę, w której napisał: „Ten świat i ten kraj nie są dla mnie. Nigdy nie będę tu szczęśliwy. Społeczeństwo nie jest w stanie udźwignąć moich kolorów".

Mieszkałem wtedy tymczasowo w Baku. Dzień później wyjechałem na dobre.

Z powodu Isy?

Tak. Nie znałem go osobiście, ale wiedziałem, kim był. Obwiniałem się za jego śmierć. Myślałem: jestem starszy, wykształcony, doświadczony. Mogłem mu pomóc. Po tym samobójstwie całą noc spędziłem na facebookowej stronie Chadidży Ismajlowej, znanej dziennikarki i działaczki praw człowieka, gdzie walczyłem z trollami i odpowiadałem na nienawistne komentarze pod informacją o jego śmierci. Ludzie pisali, że wszystkich homoseksualistów należy zabić, spalić, zrzucić z wieżowców.

eprasa.pl fc728fc9e1

Próbowałem logicznych argumentów, ale z trollami nie da się rozmawiać. Pamiętam, że następnego ranka przyszedłem na umówioną wizytę u lekarza, ale nie mogłem mu nic powiedzieć. Ze stresu straciłem wtedy głos. Tak jakbym całą noc krzyczał, a przecież „tylko" pisałem na klawiaturze.

Tego wieczora siedziałem już w samolocie do Londynu. Jestem szczęściarzem, mam podwójne obywatelstwo: azerskie i amerykańskie. Kocham obie moje ojczyzny, ale tylko jedna traktuje mnie jak człowieka. Ta druga uważa, że jestem chory, szalony, nic nie warty i nie mam prawa żyć.

Nie myślałeś o tym, że bardziej przysłużyłbyś się środowisku LGBTI, gdybyś został w Azerbejdżanie? Jeśli tacy jak ty decydują się na emigrację, kto ma na miejscu walczyć o prawa gejów?

Oczywiście nikt. Dlatego tak bardzo podziwiam działaczy praw człowieka, dziennikarzy i wielu innych, którzy postanowili zostać. Podziwiam tych, którzy wyszli z więzienia niezłamani, jak Chadidża Ismajlowa, Ilgar Mammadow [lider opozycyjnego ruchu REAL – przyp. red.], Rasul Dżafarow [obrońca praw człowieka – przyp. red.], Intigam Alijew [prawnik i edukator – przyp. red.] czy Anar Mammadli [obrońca praw człowieka – przyp. red.].

Ale na razie nie jestem jednym z nich. Nie potrafię mieszkać w Azerbejdżanie. Kocham swój naród, ale jestem tam obiektem hejtu tylko za to, że oddycham, że żyję. Jeśli zostałbym i podjął tę walkę, obróciłbym się przeciwko niemu. Moje serce byłoby pełne nienawiści.

Może jestem daleko, ale rozmawiam z przyjaciółmi w Azerbejdżanie, śledzę wydarzenia w środowisku. To jednak nie to samo, co widzieć wszystko własnymi oczami. Tylko w ten sposób mogę zachować trochę miłości do swojego narodu. W zasadzie nie trochę, a całkiem sporo. Myślę, że to tłumaczy moją emocjonalną decyzję o wyjeździe z Azerbejdżanu po samobójstwie tego młodego chłopaka. Żaden ze mnie wojownik, ale mimo wszystko chyba jestem bardziej skuteczny, będąc gdzie jestem, bo mogę o tym wszystkim mówić otwarcie.

Jak w takim razie środowisko LGBTI może wpływać na nastroje społeczne?

Potrzebujemy do tego społeczeństwa obywatelskiego i dlatego byłem bardzo zawiedziony, że organizacje praw człowieka nie wstawiły się za nami w trakcie nagonki ubiegłej jesieni. Prawa gejów nie istnieją w próżni: musimy wywalczyć szacunek dla praw wszystkich obywateli. Prawa gejów to prawa człowieka, a prawa człowieka to prawa gejów. Niestety, tak długo jak Azerbejdżan pozostaje represywnym reżimem, nic się nie zmieni. Dopóki ludzie nie będą mogli swobodnie wyrażać swoich opinii, dopóty nie będziemy akceptowani.

Cieszę się, że są osoby ze środowisk religijnych, które rozumieją tę logikę. Wśród prawników, którzy podjęli się obrony

eprasa.pl fc728fc9e1

osób LGBTI podczas policyjnej nagonki, były głęboko religijne i konserwatywne osoby. Bardzo ich za to szanuję i podziwiam. Wiedzą, że dziś atakują nas, zaś jutro mogą przyjść po nich samych. I kto wtedy się za nimi ujmie, jeśli my będziemy w więzieniu?

Zatem w Azerbejdżanie mamy problem z tym, że nie tylko środowisku LGBTI nie przysługują żadne prawa. Nikomu nie przysługują.

Ale demokratyczny system wcale nie gwarantuje sympatii narodu do środowisk LGBTI. W Polsce, po transformacji ustrojowej, przez wiele lat słyszeliśmy, że polskie społeczeństwo nie jest gotowe na prawa dla gejów.

To jest właśnie argument azerskiego społeczeństwa obywatelskiego. Nie ma o czym mówić, bo ludzie nie są gotowi. Ale nie są gotowi, bo nikt o tym nie mówi. Kto był gotowy na upadek muru berlińskiego? Obowiązkiem społeczeństwa obywatelskiego, intelektualistów i myślicieli jest przygotowywanie reszty społeczeństwa na nowy dyskurs.

Problem w tym, że mało kto ma odwagę stanąć i powiedzieć, że mowa nienawiści wobec osób LGBTI jest zła. Kiedy sam o tym mówię, wywołuję powszechne zdziwienie, bo nikt nie spodziewa się, że geje podniosą głos w swojej sprawie.

Myślisz, że więcej odważnych decyzji o wyjściu z szafy mogłoby pomóc w normalizacji dyskursu?

Tak, to jest dobry kierunek. Ale nie mogę nikogo do tego przymuszać, nie chcę być hipokrytą. Powiedzą wtedy: tobie to łatwo mówić, żyjesz sobie w bezpiecznej Ameryce i masz podwójne obywatelstwo.

Ale ostateczne rozwiązanie znajduje się w nas samych. Musimy znaleźć w sobie odwagę i przeciwstawić się homofobicznej retoryce. Musimy wyjść z szafy, pokazać, że homoseksualiści to nie jakiś efemeryczny twór czy szaleńcy. Homoseksualiści to nasi bracia, siostry. To piosenkarze, historycy, kierowcy autobusów, sprzedawcy. Normalni ludzie, którzy chcą wieść normalne życie. Też jesteśmy obywatelami tego kraju, mamy prawa i obowiązki, jak każdy inny.

Niedawno w USA wziąłeś ślub ze swoim partnerem. Zdjęcia wyciekły do prasy w Azerbejdżanie i wywołały lokalną burzę. Opowiesz, co się stało?

Jedna z moich bliskich przyjaciółek zapytała, czy może podzielić się zdjęciem z ceremonii ślubnej na swoim Facebooku. Odpowiedziałem, że oczywiście. Nie spodziewałem się takich konsekwencji. Następnego dnia rano dostałem SMS od koleżanki z pytaniem, czy widziałem już newsy z Azerbejdżanu. Zajrzałem na strony internetowe i pomyślałem, że śnię. Siedemnaście portali opublikowało tekst o moim ślubie, a pod nimi przerażające komentarze. Do tego tekst pełny był dezinformacji: pisano, że poślubiłem Amerykanina po to, aby dostać amerykańskie obywatelstwo. Nikt nie raczył zweryfikować, że byłem już obywate-

eprasa.pl fc728fc9e1

lem USA od dekady. Zagroziłem jednemu z portali pozwem sądowym i w końcu zdjęli newsa, ale informacja już dawno poleciała w świat i wiele stron przekopiowało tekst.

W rzeczywistości poślubiłem partnera z Azerbejdżanu, którego kocham. I niestety cała sytuacja zmusiła go do *coming out*'u wobec własnej rodziny, zanim był do tego gotowy.

Ujawniono w końcu jego tożsamość w mediach?

W pewnym momencie chyba tak, ale potem informacja zniknęła. Nie wiem, co się stało, bo postanowiłem tego wszystkiego nie czytać. Baku jest niby dużym miastem, ale w rzeczywistości to bardzo mały świat. Wielu przyjaciół i znajomych mojego męża zobaczyło tekst i od słowa do słowa wiadomość dotarła w końcu do jego rodziny.

Jak zareagowali?

Wielu znajomych wiedziało, że jest gejem, i byli poinformowani, dlaczego i po co wyjechał do USA. Ale dla rodziny był to szok. Uciekli w *mokusatsu*: postanowili udawać, że nic nie wiedzą i nic się nie stało.

Jak zatem widzisz przyszłość gejów w Azerbejdżanie? Będzie lepiej czy gorzej?

Azerbejdżan wciąż jest zorientowany na Europę i ma nadal sporo do stracenia, jeśli obierze bardziej represywny kurs w stosunku do naszego środowiska. Jednak, jeśli jutro rządzący obudzą się i zdecydują, że występujemy z Rady Europy, zmieniamy kierunek polityki i nawiążemy bliższe relacje z Rosją, Iranem czy Chinami, wtedy sytuacja może znacznie się pogorszyć.

Osobiście jestem optymistą. Nadejdą lepsze dni dla osób LGBTI w Azerbejdżanie. Może już nie za mojego życia, ale kiedyś na pewno będzie lepiej.

Ismail Dżalilow jest azerskim dziennikarzem, aktywistą LGBTI. W Azerbejdżanie pracował dla niezależnej rozgłośni radiowej i telewizji, ANS FM, zamkniętej w późniejszym okresie przez władze. Aktualnie mieszka i pracuje w USA. Więcej informacji: www.ismaidjalilov.com.

eprasa.pl fc728fc9e1

W klatce ideologii

Marcin Kaczmarski

Instytut Dalekiego Wschodu zatrzymał się w czasie. Wśród jego badaczy dominuje niechęć do krytycznego spojrzenia na politykę Kremla wobec Chin i tendencje do powtarzania rządowej narracji. Po raz kolejny polityka wskazuje drogę ekspertyzie.

Sowiecka polityka wobec Chin była serią porażek. W dużej mierze wynikało to z ograniczeń narzucanych na zajmujących się Chinami ekspertów. Chiny regularnie zaskakiwały Rosję od początku minionego stulecia. Sowiecka Rosja postawiła na Kuomintang (KMT) jeszcze we wczesnych latach dwudziestych ubiegłego wieku. Dwadzieścia lat później zmiana frontu okazała się niezbędna i Moskwa przeniosła swoje poparcie na Komunistyczną Partię Chin (KPCh). Bliskość ideologiczna miała zagwarantować „odwieczny sojusz". Nie zdołał on jednak przetrwać nawet pierwszej dekady swojego istnienia po podpisaniu go w 1950 roku. Na początku lat siedemdziesiątych XX wieku Kreml został zaskoczony zbliżeniem chińsko-amerykańskim, które wydawało się nieprawdopodobne z uwagi na różnice ideologiczne pomiędzy oboma państwami. Dekadę później zaaferowani pierestrojką sowieccy liberałowie nie dostrzegli i nie uwierzyli w sukces chińskich reform gospodarczych.

Po upadku Związku Sowieckiego niewiele się zmieniło. W XXI wieku kryzys gospodarczy dotknął Rosję najciężej, podczas gdy Chiny wyszły zeń obronną ręką. Stopniowe zacieśnianie stosunków dwustronnych, które obserwujemy na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, uczyniło z Kremla „młodszego partnera", w coraz większym stopniu zależnego od rezydujących w ich pekińskim odpowiedniku, Zhongnanhai, liderów Chińskiej Republiki Ludowej na czele z Xi Jinpingiem. Kogo należy winić za słabości i porażki sowieckiej, a potem rosyjskiej polityki wobec Chin? Czy zawiedli politycy, czy eksperci?

Między wiedzą i ideologią

Zwycięstwo bolszewików w wojnie domowej i próba budowy systemu komunistycznego w nowo powstałym Związku Sowieckim zasadniczo zmieniła relacje między nauką i polityką. Ideologia marksizmu-leninizmu była wszechogarniająca, pretendując do tłumaczenia otaczającej rzeczywistości społeczno-politycznej w spo-

eprasa.pl fc728fc9e1

sób obiektywny i naukowy zarazem. Jednocześnie Związek Sowiecki znajdował się w izolacji i niewiele wskazywało na to, że uda się przenieść płomień rewolucji na Zachód. Nic zatem dziwnego, że rosnącym zainteresowaniem zaczęła cieszyć się Azja. Chiny były szczególnym przypadkiem. Formalnie nieskolonizowane, faktycznie podporządkowane państwom zachodnim, od 1911 roku eksperymentowały z republikańską formą rządów. Bolszewicy stali wobec trudnego dylematu „teoretycznego": czy powinni popierać antykolonialne ruchy wyzwoleńcze w krajach Azji, nawet jeśli nie miały one programu komunistycznego?

Podstawowym ośrodkiem badawczym dla nowej władzy stał się Instytut Wschodoznawstwa (*Institut Wostokowiedienija*) Akademii Nauk. Kontynuował on tradycje badań sięgające czasów carskich, kiedy to w 1899 roku we Władywostoku otwarto Instytut Wschodni, pierwszy ośrodek mający studiować Chiny. Jednak rosnąca ideologizacja nauki szybko znalazła odbicie w pojawieniu się żądań stworzenia „marksistowskiej" sinologii, którą przeciwstawiano sinologii „burżuazyjnej". Tendencje te narastały w latach trzydziestych XX wieku wraz ze zwiększaniem się zakresu władzy Stalina i postępującym ideologicznym usztywnieniem sytuacji w państwie. Sowiecka sinologia miała porzucić „burżuazyjne" tematy w swoich badaniach, takie jak handel czy relacje międzyrządowe, a skupić się na walce rewolucyjnej.

Pierwsze ośrodki, które miały stworzyć nową naukę o Chinach, powstały przy instytucjach organizowanych przez Komintern, komunistyczną międzynarodówkę, w rzeczywistości narzędzie sowieckiej polityki zagranicznej. Już w 1925 roku grupa do badania historii krajów azjatyckich została utworzona przy Komunistycznym Uniwersytecie Pracujących Wschodu (KUTW). W 1927 roku powstał Naukowo-Badawczy Instytut ds. Chin (NIIK), afiliowany przy Komunistycznym Uniwersytecie Pracujących Chin (KUTK), kolejnej placówce Kominternu. Miał realizować praktyczne zadania dla Kominternu, innymi słowy, zapewniać rewolucyjną analizę polityczną. Sam instytut nie przetrwał jednak długo. Został zamknięty po dziesięciu latach istnienia. Stalinowskie czystki lat trzydziestych mocno osłabiły sowiecką sinologię, niezależnie od stopnia jej „czystości ideologicznej". Zarazem los instytutu był symptomatyczny dla kolejnych prób ustanowienia placówek analitycznych, które byłyby w stanie połączyć badania akademickie z oceną polityczną.

Zacieśnianie stosunków Pekin–Moskwa, które obserwujemy na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat, uczyniło z Kremla „młodszego partnera".

Kolejnymi wcieleniami stały się Instytut Pacyficzny (1942–1950) oraz Instytut Studiów Chińskich (1956–1960), oba utworzone w ramach Akademii Nauk Związku Radzieckiego. Instytut Pacyficzny powstał krótko po rozpoczęciu wojny japońsko-

eprasa.pl fc728fc9e1

-amerykańskiej i miał na celu przede wszystkim zapewnić analizę imperium japońskiego ze szczególnym uwzględnieniem polityki Tokio w okupowanej części Chin. Jednym z zadań było rozpoznanie zasobów okupowanych przez Japonię terenów, co zdaje się sugerować przygotowanie gruntu pod przyszłą obecność sowiecką w regionie. Po zakończeniu II wojny światowej działalność instytutu uległa rozszerzeniu i objęła Indie, Koreę oraz kraje takie jak Indonezja. Jednak nie uratowało go to przed kolejnym kaprysem władz i likwidacją.

Instytut Studiów Chińskich powstał równie nagle. W 1956 roku z wciąż istniejącego Instytutu Wschodoznawstwa zabrano departament studiów chińskich. Zdaniem niektórych badaczy, powstanie instytutu było podyktowane wydarzeniami na VIII Zjeździe KPCh, przede wszystkim podważeniem sowieckiego przywództwa w świecie socjalistycznym. Instytut publikował „biuletyn informacyjny", który miał informować sowiecką biurokrację o rozwoju sytuacji w Chinach na bazie wiadomości w lokalnej i zagranicznej prasie. Przeszkody na drodze badawczej były podobne jak w poprzednich dekadach. Analiza miała być marksistowska, a zarazem uwzględniać chińską specyfikę. W praktyce badacze mieli stać się recenzentami chińskiej polityki i jej zgodności z socjalistycznym ideałem. Nic dziwnego, że strona chińska jednoznacznie odebrała to jako ingerencję w sprawy wewnętrzne. Instytut stał się narzędziem sowieckiej polityki, od tejże polityki zależnym. Przez dwa lata wstrzymywano publikację instytutowego czasopisma, licząc na to, że w chińskim kierownictwie zwycięży frakcja uznająca zwierzchność Moskwy.

Rosyjskie elity patrzyły na Chiny przez pryzmat geopolityki, nie próbując zrozumieć przemian zachodzących po drugiej stronie Amuru.

Konieczność utrzymywania ideologicznej poprawności nie pozwalała sowieckim orientalistom na rzetelną ocenę sytuacji w Chinach. Nie byli w stanie zrozumieć motywacji kierujących chińskim przywództwem. Niechęć do akceptacji przywództwa Moskwy, coraz wyraźniejsza w kierownictwie ChRL, wykraczała poza ramy marksizmu-leninizmu i jako taka nie mogła pojawić się w ocenach wysyłanych do przywódców Związku Sowieckiego. Klimat nieuchronnej przyjaźni pomiędzy bratnimi państwami socjalistycznymi wykluczał krytyczne oceny i prowadził sowieckich badaczy do afirmacji działań podejmowanych przez ówczesne chińskie kierownictwo, poczynając od tak zwanego wielkiego skoku, który przyczynił się do śmierci milionów ludzi w wyniku powstałego głodu.

Granica między światem rozważań naukowych o stosunkach międzynarodowych i polityką w Związku Sowieckim była bardzo cienka. Liderzy partii komunistycznej uważali się za teoretyków marksizmu i jego czołowych interpretatorów. Pogłębiają-

eprasa.pl fc728fc9e1

ce się od początku lat sześćdziesiątych XX wieku napięcia w stosunkach sowiecko-chińskich nie znalazły odzwierciedlenia w wypowiedziach sowieckich sinologów. Dopiero oficjalna krytyka ze strony czołowego ideologa KPZR Michaiła Susłowa w 1964 roku spowodowała odmrożenie studiów nad Chinami. Badacze odważyli się na bardziej sceptyczny stosunek do osiągnięć chińskiego socjalizmu i stanu przyjaźni między ZSRS i ChRL.

Instytut Dalekiego Wschodu

Na fali napięć sowiecko-chińskich po raz kolejny – tym razem na dobre – odrodził się ośrodek badawczy skoncentrowany na Chinach. Wyłonił się na końcu długiego procesu, w którego trakcie poszczególne ośrodki poświęcone studiowaniu Chin na potrzeby partii komunistycznej zmieniały się niczym w kalejdoskopie. Jednak w przeciwieństwie do poprzedników, przetrwał do czasów dzisiejszych.

Mówimy o Instytucie Dalekiego Wschodu Akademii Nauk ZSRR (IDW), powołanym do życia w 1966 roku. Jedną z przyczyn stał się pogłębiający się w Chinach chaos i rozpoczynająca się tak zwana rewolucja kulturalna. Zadania instytutu leżały na pograniczu propagandy, analizy i wywiadu. Jego pracownicy musieli uzyskać specjalne poświadczenia bezpieczeństwa. Jednocześnie głównym zadaniem wyznaczonym instytutowi była „walka z maoizmem", co trudno uznać za chęć rzetelnego badania zmian w chińskim państwie i społeczeństwie. Również w tym przypadku upłynęło ponad pięć lat, zanim zaczęto publikować „Problemy Dalekiego Wschodu", oficjalne czasopismo instytutu ukazujące się do dziś.

Zmiany wewnątrz Chin oraz ewolucja chińskiej polityki zagranicznej, zwłaszcza po śmierci Mao Zedonga, nieco zdynamizowały sowieckie studia. Według oceny Gilberta Rozmana, na początku lat osiemdziesiątych XX wieku społeczność sinologów sięgała około tysiąca badaczy. Niemniej jednak tych, którzy zajmowali się współczesnymi relacjami między oboma państwami, ograniczał paradygmat ideologiczny, poza który nie byli w stanie wyjść. Nie potrafiono docenić wagi chińskich reform, uznając je za antysocjalistyczne. Drugim nurtem krytyki był rzekomy chiński nacjonalizm określany jako szowinizm Hanów. Podobnie jak dwie dekady wcześniej, nauka podążała za polityką. Dopiero kiedy Leonid Breżniew w 1982 roku zasugerował możliwość poprawy sowiecko-chińskich relacji, „kitaiści" przybrali bardziej optymistyczny ton w swoich ocenach stosunków dwustronnych.

Michaił Gorbaczow przyczynił się do dalszej poprawy stosunków z Chinami. Jednak pierestrojka była przede wszystkim reformą polityczną. Kierownictwo sowieckie – w przeciwieństwie do swojego chińskiego odpowiednika – nie potrafiło zmienić gospodarki. Jednocześnie nie chciano uczyć się od Chin. Gorbaczow, a także

eprasa.pl fc728fc9e1

jego doradcy uznawali, że ChRL jest zbyt różna i dużo mniej rozwinięta w porównaniu z ZSRS, by móc doświadczenia chińskie przenieść na grunt sowiecki. Wobec takiego stanowiska eksperci nie byli w stanie przeforsować alternatywnego punktu widzenia.

Posowieckie załamanie

Sowieckie badania nad Chinami nie odbiegały od wzorca obserwowanego w innych sferach studiów międzynarodowych. Słowo *mieżdunarodnik*, którym określamy obserwatorów rzeczywistości międzynarodowej miało podwójne znaczenie. Z jednej strony rzeczywiście określało specjalistę od polityki międzynarodowej. Z drugiej jednak oznaczało agitatora partyjnego, którego zadaniem było tłumaczenie społeczeństwu aktualnej linii partii w polityce zagranicznej. Okres pierestrojki i jednoczesnej normalizacji stosunków sowiecko-chińskich wydawał się kończyć okres dominacji ideologii w studiach nad Chinami. Jednak wraz z upadkiem ZSRS przyszło kolejne załamanie. Rosyjska nauka okazała się skompromitowana zarówno przez ideologiczny kaganiec i zależność od państwa sowieckiego, jak i przez całkowite niedofinansowanie oraz materialny upadek. Rosja dokonywała zwrotu ku Zachodowi, transformacji w kierunku gospodarki wolnorynkowej i demokracji. Zwłaszcza po stłumieniu przez władze chińskie protestów na placu Tiananmen uznano, że nowe państwo nie ma czego uczyć się od sąsiada. Pod tym względem Borys Jelcyn w pierwszym okresie swoich rządów okazał się kontynuatorem linii Gorbaczowa. Nawet po rozczarowaniu Zachodem rosyjskie elity patrzyły na Chiny przez pryzmat geopolityki, nie próbując zrozumieć przemian zachodzących po drugiej stronie Amuru. Dopiero kiedy naprzeciwko upadającego od dwóch dekad Błagowieszczeńska wyrosło półtoramilionowe miasto Heihe, a Chiny znalazły się na drodze do supermocarstwowości, rosyjskie elity zaczęły bliżej przyglądać się południowemu sąsiadowi.

Wśród obserwatorów rosyjskiej polityki zagranicznej i stosunków między Moskwą i Pekinem największym uznaniem cieszy się nie instytucja, ale pojedyncza osoba.

Ilustracją słabości rosyjskiej ekspertyzy na temat Chin jest to, że „twarzą" rosyjskiej kitaistyki jest Instytut Dalekiego Wschodu Rosyjskiej Akademii Nauk. Instytut, mieszczący się w nie najładniejszym wieżowcu RAN, grupuje ponad stu badaczy. Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że taka skala gwarantuje porządne zaplecze analityczne. Jednak Instytut Dalekiego Wschodu zatrzymał się w czasie. Wśród jego badaczy dominuje niechęć do krytycznego spojrzenia na politykę Krem-

eprasa.pl fc728fc9e1

la wobec Chin i tendencje do powtarzania rządowej narracji. Po raz kolejny polityka wskazuje drogę ekspertyzie. Nic więc dziwnego, że wśród zachodnich obserwatorów rosyjskiej polityki zagranicznej i stosunków między Moskwą i Pekinem największym uznaniem cieszy się nie instytucja, ale pojedyncza osoba – Aleksander Gabujew, sinolog młodego pokolenia i były dziennikarz gazety „Kommiersant", pracujący w moskiewskim oddziale Carnegie. Trudno jednak wyobrazić sobie, by we współczesnym państwie można było prowadzić politykę w danej sferze, polegając na jednej osobie. Możemy się spodziewać, że Chiny jeszcze nieraz zaskoczą Moskwę.

Marcin Kaczmarski jest wykładowcą akademickim i analitykiem. Zajmuje się stosunkami rosyjsko-chińskimi i rosyjską polityką zagraniczną.

eprasa.pl fc728fc9e1

Ukraina–Węgry: ile znaczy Zakarpacie?

Z Dmytrem Tużańskim, ukraińskim politologiem, rozmawia Tadeusz Iwański

TADEUSZ IWAŃSKI: Zacznijmy od krążącego w internecie wideo ukazującego składanie przysięgi na wierność Węgrom przez obywateli Ukrainy w węgierskim konsulacie w Berehowie na Zakarpaciu. Ono jest skandaliczne czy jedynie skandalizujące? Czy wrzucenie go do sieci przez państwową agencję Ukrinform można oceniać jako próbę przekonania świata oraz własnego społeczeństwa, że Budapeszt prowadzi politykę agresywną, wręcz rewanżystowską?

DMYTRO TUŻAŃSKI: Przestrzegałbym przed oceną, że wideo dowodzi, iż Kijów prowadzi jakąś dalekosiężną, przemyślaną politykę. Oczywiście, do nagrania są potrzebne specjalne środki i jasne, że nie zrobili tego przypadkowi ludzie.

Służba Bezpieczeństwa Ukrainy na przykład?

To mogłaby być którakolwiek służba specjalna dysponująca takimi środkami. Choć z drugiej strony kamerę może kupić każdy, to nie problem. Pytanie jest inne: po co ktoś to zrobił? Z moich obserwacji wynika, że nie jest to pierwszy raz, gdy w publicznym dostępie ukazują się materiały czy dane o obywatelstwie węgierskim. Kilka miesięcy temu na Facebooku pojawiła się lista kilkudziesięciu nazwisk obywateli Ukrainy, wraz z ich danymi osobowymi, będących właścicielami węgierskiego paszportu. Przeważnie byli to deputowani rad rejonowych lub miejskich na Zakarpaciu. A i wcześniej pojawiały się w internecie dane, że ten lub inny urzędnik może mieć drugi paszport. Wówczas przeszło to bez większego echa. Tak więc to nie był pierwszy raz i to wideo nie świadczy o jakimś wielkim planie ukraińskich władz. Nazwałbym to raczej wyjątkiem potwierdzającym regułę.

Z drugiej strony mamy szczególny kontekst: ponad rok napiętych relacji, ostrych oświadczeń, skandali, prowokacji zarówno ze strony węgierskiej, jak i ukraińskiej. Tak więc zamieszczenie wspomnianego nagrania można oceniać jako kolejny element procesu zaostrzania wzajemnych stosunków...

Rzeczywiście, w ciągu ostatniego roku stosunki ukraińsko-węgierskie stały się tak napięte, że każda rzecz prowokuje kolejny skandal. A tym bardziej wideo,

eprasa.pl fc728fc9e1

na którym obywatele Ukrainy przysięgają wierność państwu węgierskiemu. Byłoby dziwne, gdyby coś takiego się nie wydarzyło. Poza tym tu zadziałał, jakby to powiedzieli specjaliści od PR, tak zwany *wow effect*, bo ludzie zobaczyli, a nie tylko przeczytali, jak to się w rzeczywistości odbywa. Choć tak naprawdę o tym procederze wiedzą dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi.

Oczywiście, choć jest jeszcze jeden ważny kontekst. Na Ukrainie od 2014 roku paszportyzacja kojarzy się jednoznacznie negatywnie. Oto Moskwa rozdawała przez wiele lat paszporty na Krymie, po czym dokonała jego aneksji. A więc ludzie mogą myśleć, że to samo może się wydarzyć na Zakarpaciu…

Tak, skojarzenie z paszportyzacją jest pierwszym, jakie się nasuwa na Ukrainie. I jest to dodatkowy powód, dlaczego ujawnione wideo zyskało taki oddźwięk…

Czy to możliwe, że komuś, kto zamieścił film, zależy właśnie na stworzeniu skojarzenia, że premier Viktor Orbán działa i ma takie same cele jak prezydent Władimir Putin? Takie opinie są już suflowane w niektórych ukraińskich mediach. Jeśli tak jest, to po co się to robi?

Warto tu powiedzieć, że na Węgrzech znacznie częściej porównują Orbána do Putina niż na Ukrainie. W ukraińskich mediach o Węgrzech pisze się i mówi bardzo mało, tym większy więc rozgłos zyskało to wideo. Ale faktycznie, tylko w tym roku do września Putin i Orbán spotkali się już trzy razy. Poza tym jest wiele podobnych elementów w ich polityce zagranicznej. I na Ukrainie, która jest w stanie wojny i która jakiekolwiek wydarzenia ocenia przez ten pryzmat, rzeczywiście politykę Budapesztu porównuje się do polityki Kremla. Lecz na Węgrzech tego nie rozumieją. Bo gdyby rozumieli i dążyli do pragmatycznego rozwoju stosunków z Ukrainą, to postępowaliby inaczej. Gdyby rozumieli, że od paszportów zaczęła się aneksja Krymu, a potem agresja na Donbasie, to Budapeszt działałby inaczej.

Naprawdę uważasz, że nie rozumieją? A może po prostu mają swoje cele w polityce wewnętrznej i zagranicznej i dlatego eskalują? Myślę, że dla każdego analityka na Węgrzech powinno być oczywiste, jak skojarzenie: paszporty rosyjskie na Krymie i paszporty węgierskie na Zakarpaciu, będzie odebrane na Ukrainie. Wiem, że na Węgrzech jest mało specjalistów od Ukrainy, ale to jest podstawa podstaw…

W tym tkwi największa zagwozdka – dla mnie też. Gdy przeprowadzałem wywiad z Péterem Szijjártó, on był naprawdę szczerze oburzony, że w kontekście sporu z Kijowem wokół ustawy oświatowej Ukraina nieustannie argumentowała, że Budapeszt działa w interesach Kremla. On nie tylko się oburzał, on się wręcz obrażał. Często można zaobserwować,

eprasa.pl fc728fc9e1

że bieżąca polityka Budapesztu przesłania długoterminowe interesy tego kraju. Bo węgierski paszport, podwójne obywatelstwo, temat autonomii – czyli to, co się kojarzy na Ukrainie z Krymem, Donbasem, federalizacją według putinowskiego scenariusza – wszystko to stanowi o fundamentach węgierskiej polityki zagranicznej wobec Węgrów mieszkających poza granicami kraju. Orbán powiedział to wprost w 2015 roku, a Zsolt Semjén, odpowiedzialny w rządzie za zagranicznych Węgrów, niejednokrotnie to powtórzył. Taka jest polityka Budapesztu we wszystkich krajach basenu karpackiego: w rumuńskim Siedmiogrodzie, serbskiej Wojwodinie i na Słowacji. I choć wydaje mi się, że Węgrzy zaczynają pomału rozumieć ukraińską specyfikę, to na poziomie praktycznym polityka ta nie podlega korektom. Co prawda w odpowiedzi na apele Kijowa Budapeszt zgodził się zmienić nazwę stanowiska Ištvana Greży – w oficjalnym opisie jego zadań wskazano, że minister będzie zajmował się rozwojem obwodu zakarpackiego, a więc części innego kraju – ale jak na razie do faktycznej zmiany nie doszło.

Zobaczymy, czy spowoduje ją pojawienie się tego wideo…

Mamy teraz krytyczny moment, bo o ile wcześniej Budapeszt nawet wygładzał niektóre kanty, o tyle teraz nastąpiła kumulacja. I Budapeszt powinien zdawać sobie sprawę, że ci analitycy, dziennikarze czy politycy, którzy mówią że Orbán prowadzi bliźniaczą politykę do Putina, mają w ręku już nie pojedynczy argument, na przykład tylko paszporty czy tylko ustawę oświatową. Teraz argumentacja będzie skumulowana, a więc jeszcze silniejsza, i obraz Orbána jako węgierskiego Putina już nie tyle będzie się kształtował, ile raczej utrwalał.

Może o to chodzi, może to cyniczna gra Kijowa przed wyborami: stworzyć wroga zewnętrznego i konsolidować wokół tego zagrożenia wyborców?

To jedna z wersji. I są argumenty na jej poparcie, bo wydaje się to logiczne z punktu widzenia tych polityków czy partii, które grają na nacjonalistycznej nucie. Myślę, że kilka punktów na takiej retoryce można zdobyć, choć chyba jednak nie aż tak wiele. Z drugiej strony, według mnie, w stosunkach ukraińsko-węgierskich mącą także siły rosyjskie i prorosyjskie. One mają inny interes – nie zdobycie poparcia, a destabilizację! Chcą pokazać, że pomajdanowe władze to faszyści i szowiniści, a Ukraina jest krajem upadłym, państwem teoretycznym nie tylko na Donbasie czy Krymie, ale i przy granicach zachodnich. Doskonale widać taki przekaz w rosyjskich mediach. Dodatkowym problemem jest to, że także niektóre siły węgierskie prezentują destruktywne stanowisko. To na przykład Jobbik, ale i pewni gracze lokalni, zakarpaccy, w tym niektórzy przedstawiciele węgierskiej mniejszości, dla których sytuacja „im gorzej, tym lepiej" jest najlepsza. W eskalowaniu konfliktu węgiersko-ukraińskiego, jak się wydaje, interes mają

eprasa.pl fc728fc9e1



Zakarpacie niewiele znaczy w ukraińskiej polityce, a tematyka węgierska ma słaby potencjał wpływu na wyborców, bo jest dla nich mało zrozumiała. Na zdjęciu węgiersko-ukraiński festiwal we wsi Jaroszi pod Berehowem.

Tadeusz Iwański

wszystkie siły: i patriotyczne, i prorosyjskie, i gracze regionalni, i politycy poziomu centralnego. Wszyscy zorientowani są na upolitycznienie konfliktu i korzyści z takiego upolitycznienia wypływające. Tacy ludzie stanowią większość nie tylko wśród polityków, ale także wśród urzędników, w tym ministrów, którzy powinni być skoncentrowani na wypracowaniu konstruktywnych działań, a nie na robieniu polityki. Brakuje osób, które mają wpływ na decyzję i działają na rzecz konstruktywnych rozwiązań. Są wyjątki, na przykład Lilia Hrynewycz, ukraińska minister oświaty, czy Josyp Borto z KMKSZ [główna węgierska partia na Ukrainie, mocno związana z Fidesem – przyp. TI], ale to naprawdę krótka lista.

Porozmawiajmy o Węgrzech, które ostatnimi czasy dodatkowo eskalują konflikt. Prócz prób blokowania zbliżenia Ukrainy z NATO i Unią Europejską atmosferę podgrzewają antyukraińskie i prorosyjskie wystąpienia Orbána, opis stanowiska Ištvana Greży czy upór, z jakim kandydat na nowego węgierskiego ambasadora na Ukrainie nie chce zmienić w dokumentach przesłanych do kijowskiego MSZ nazwy miejsca swojego urodzenia z węgierskiego Beregszász na oficjalne ukraińskie Berehowo. To z jednej strony nie są poważne rzeczy, ale z drugiej mogą one być symptomem niebezpiecznych tendencji na Węgrzech. Jaki jest według Ciebie cel Budapesztu?

Na pewno te tendencje są niebezpieczne. I najważniejsze pytanie brzmi, czy jest to ze strony Budapesztu świadoma, rewanżystowska polityka, czy tylko gra. Odpowiedzi na nie szukają analitycy i dziennikarze, nie tylko zresztą na Węgrzech. To *reality check* dla Orbána: czy jest on patriotą, swego czasu antykomunistą, który wprowadził Węgry do Unii Europejskiej, NATO i pozostaje wierny tym wartościom, czy też nie? Elementy polityki, którą rzeczywiście można nazwać rewanżystowską, są widoczne. Orbán balansuje na czerwonej linii i jeśli ją przekroczy, to według mnie będzie oznaczać koniec jego reżimu. Być może ta polityka jest rewanżystowska tylko na pierwszy rzut oka, ot, taka sublimacja traumy Trianon, jakiś imperialistyczny odruch, czysto retoryczny – nie wiemy tego. Ale Orbán stąpa po cienkim lodzie. Na razie działają bezpieczniki – Unia, NATO, ONZ, cała architektura światowego bezpieczeństwa, lecz jeśli zacznie się ona sypać…

…wówczas kwestia Zakarpacia będzie trzeciorzędna.

Tak, ale i uwaga Węgier będzie zwrócona raczej na Siedmiogród, znacznie dla Budapesztu ważniejszy.

Wróćmy z niejasnej przyszłości do udokumentowanej przeszłości. Otwarty kryzys w stosunkach ukraińsko-węgierskich przecież rozpoczął się ponad rok temu, od przyjęcia przez Ukrainę ustawy oświatowej. W konflikcie wokół tej ustawy

eprasa.pl fc728fc9e1

jedna i druga strona ma swoje racje. Ustawa może realnie ograniczyć prawa językowe węgierskiej mniejszości na Ukrainie, ale też te prawa są na tyle szerokie, że prowadzi to do sytuacji, gdy często węgierscy obywatele Ukrainy po prostu nie znają języka państwowego.

Nie mówią w języku państwowym, tak chyba będzie precyzyjniej, ale rzeczywiście tak jest. Kluczowy problem ustawy językowej polega na tym, że wprowadzono do niej zmiany w ostatniej chwili, już w sali plenarnej podczas głosowania, nawet z miejsca, a nie z trybuny. Deputowani trzy razy zmieniali dokument, a najbardziej kontrowersyjny artykuł 7, zawierający obostrzenia stosowania języków mniejszości w szkolnictwie, pisali na kolanie. Jedna z wersji mówi zresztą, że nie był to przypadek. Miało to być celowe działanie władz, bo inicjatorka takiego brzmienia tego artykułu Oksana Biłozir reprezentuje Blok Petra Poroszenki, a i prywatnie jest blisko prezydenta. Potem tekst ustawy nie był przez dłuższy czas publikowany i nikt nie mógł sprawdzić, co się tam w końcu znalazło. To naprawdę był skandal, bo ustawa dotyczyła nie tylko wewnętrznych ukraińskich spraw, choć niestety na Ukrainie to nic nowego. Reforma jest potrzebna, jestem co do tego przekonany, ale taki tryb jej uchwalania woła o pomstę do nieba.

Zgoda, ale wątpliwości budzi nie cała reforma, a właśnie artykuł 7, który zawęża prawa mniejszości narodowych do nauczania w języku ojczystym.

Tak, i trzeba przypomnieć, że przeciwko artykułowi 7 protestowali nie tylko Węgrzy, a także Rumuni i Polacy. I protesty te były różne, bo artykuł 7 nie tyle zawęża stosowanie języków mniejszości w oświacie, ile może zawęzić. Dość specyficzne jego stosowanie może w praktyce również oznaczać utrzymanie *status quo* od czwartej klasy w górę. Ale na Ukrainie jest konsensus: w przypadku mniejszości węgierskiej w największym stopniu, rumuńskiej częściowo, a polskiej chyba w najmniejszym zakresie, że nic nie może pozostać tak, jak było. Przecież na niektórych wsiach Zakarpacia zachowały się enklawy językowe. Nie w Berehowie, ale na wsi, gdzie rzeczywiście mieszkają ludzie nieznający języka ukraińskiego, a wśród osób starszych takie przypadki nie są jednostkowe. Ci ludzie ukraińskiego nigdy się nie uczyli i niektórych słów po prostu nie rozumieją. Są też tacy, którzy nie mówią po ukraińsku, bo nie mają takiej potrzeby. Większość z nich komunikuje się tylko wewnątrz swojej zamkniętej, homogenicznej wspólnoty etnicznej, a część w ogóle myśli o wyjeździe.

Czy są jakieś dane liczbowe na ten temat?

Niestety nie. I choć można generalizować, że głównie chodzi o ludzi starszych z terenów wiejskich, to są też skrajności. Są choćby młodzi Węgrzy, którzy posługują się piękną, literacką ukraińszczyzną wyuczoną w szkole, a nie wy-

eprasa.pl fc728fc9e1

niesioną z domu, rzadko w ogóle spotykaną na Zakarpaciu. A to dlatego, że uczyli się tego języka jak obcego i zdecydowali, iż chcą żyć na Ukrainie. Są też młodzi ludzie, którzy w ogóle nie uczą się ukraińskiego, bo nie widzą dla siebie miejsca w tym kraju, i studiują raczej niemiecki czy angielski, żeby wyjechać. Są więc różne sytuacje i strategie, natomiast w ukraińskich mediach, aby udowodnić tezę o kulturowej i językowej homogeniczności mniejszości węgierskiej, przytacza się wyniki matury. Jest to podejście błędne, bo nawet na Zakarpaciu są przykłady, gdy uczniowie węgierskich szkół lub szkół z przeważającym węgierskim jako językiem nauczania, mają lepsze wyniki z ukraińskiego niż uczniowie placówek ukraińskich. Poza tym, w rankingach matur obwód zakarpacki plasuje się na ostatnim miejscu, nie tylko jeśli chodzi o wyniki z języka ukraińskiego, ale też pod względem wyników z innych przedmiotów. Zaś kolejnym obwodem od końca jest tarnopolski, gdzie prawie nie ma mniejszości narodowych. Inny powód, dlaczego Węgrzy nie uczą się ukraińskiego, to problem z metodykami i z nauczycielami w regionach wiejskich.

Tu powstaje pytanie, w jakim stopniu w ogóle ta ustawa jest możliwa do zastosowania, choćby z braku kadr.

Właśnie. Jej implementacja zależy od finansów, od metodologii i od wcześniejszego przygotowania. Choćby z tego powodu zarówno Kijów, jak i Budapeszt powinny wygasić spory i podążać drogą wskazaną przez Komisję Wenecką. Propozycje komisji, można by rzec: jak nigdy wcześniej, są konkretne i precyzyjne.

Strona ukraińska zrobiła pierwszy krok w tym kierunku.

Powiedzmy, że pół kroku. Bo decyzję rządu o przeniesieniu terminu implementacji artykułu 7 do 2023 roku oraz wyjęcie spod działania ustawy szkół prywatnych musi jeszcze uchwalić parlament. Co ważne, ustawa oświatowa nie wyczerpuje ukraińsko-węgierskich sporów. Dowodem na to są wypowiedzi tutejszych węgierskich nauczycieli, reprezentowanych przez fachowe Węgierskie Towarzystwo Pedagogiczne, którzy chwalili ustawę oświatową. Prócz artykułu 7 oczywiście. Bo wszyscy wiedzą, że reforma ukraińskiego systemu edukacji jest konieczna. Problemem jest więc artykuł 7, a ogólnie polityka Budapesztu wobec węgierskich mniejszości w krajach basenu karpackiego. Poza tym, ze wszystkich mniejszości na Ukrainie właśnie węgierska jest najbardziej zorientowana na autonomizację – nie w sensie uzyskania autonomii terytorialnej, a choćby autonomizacji szkolnictwa. Żadna inna mniejszość na Ukrainie nie ma w zasadzie zamkniętego cyklu edukacji – od przedszkola do uniwersytetu – w języku narodowym. Węgrzy nie chcą tego przywileju tracić i można ich zrozumieć. Dlatego tak potrzebny jest kompromis.

A czy to w ogóle jest możliwe, biorąc pod uwagę temperaturę sporu po-

eprasa.pl fc728fc9e1

litycznego oraz kalendarz wyborczy zarówno na Ukrainie (podwójne wybory prezydenckie i parlamentarne w 2019 roku), jak i na Węgrzech (wybory do Parlamentu Europejskiego wiosną 2019 roku)?

Rzeczywiście. Była szansa, lecz tradycyjnie ją zmarnowaliśmy. Spór wokół ustawy oświatowej można było wygasić do końca ubiegłego roku, nie angażując weń kwestii NATO, OBWE, i obejść się bez eskalacji, bomb pod siedzibą KMKSZ i tak dalej. Dużo czasu zmitrężono na spór wskutek braku zaufania między Węgrami i Ukrainą oraz obopólnej niewiedzy o sobie. Na przykład z Polską Ukraina porozumiała się w kwestii ustawy oświatowej stosunkowo szybko.

To sytuacje nieporównywalne.

Zgoda, ale między Kijowem i Budapesztem nie było komunikacji, dialogu, żadnych spotkań nawet na poziomie ministrów. Szijjártó sam przyjeżdżał na Zakapracie, a Klimkin nie mógł wjechać na Węgry, były tylko emocjonalne oświadczenia i nic więcej. Dlatego przegapiliśmy tę szansę i teraz największym problemem będzie to, gdy spór ten stanie się elementem kampanii wyborczej.

Trudno sobie wyobrazić, by było inaczej.

Niestety tak, choć mała szansa jest. Tkwi ona w tym, że Zakarpacie niewiele znaczy w ukraińskiej polityce, a tematyka węgierska ma słaby potencjał wpływu na wyborców, bo jest dla nich mało zrozumiała. Ci, którzy rzeczywiście dobrze rozumieją tę tematykę, nierzadko nawet lepiej od ukraińskich polityków czy technologów politycznych, to rosyjskie służby specjalne. I mam nadzieję, że choćby z tego powodu ukraińscy spin doktorzy i ich kandydaci będą świadomi, że lepiej nie zagłębiać się w te tematy. Ukraińska polityka jest jednak nieprzewidywalna, a ukraińscy politycy wcale nie są tacy mądrzy, jak się czasami wydaje.

Z jednej strony tak, a z drugiej jest logika kampanii. A na Ukrainie na porządku dziennym są przynajmniej dwie ustawy: o języku państwowym i o obywatelstwie, które mogą jeszcze bardziej rozpalić spory z Węgrami.

Zgadzam się w stu procentach. Jeśli tylko te ustawy będą uchwalane w toku kampanii, to jest to ryzyko numer jeden. Jestem optymistą, bo na Ukrainie bycie realistą oznacza bycie pesymistą. Niestety.

Dmytro Tużański jest ukraińskim politologiem i publicystą. Ekspert do spraw stosunków ukraińsko-węgierskich, analityk Komitetu Wyborców Ukrainy.

eprasa.pl fc728fc9e1

Polska nie wybuchła

Z Andrzejem Leonem Sową, historykiem, rozmawia Sonia Knapczyk

SONIA KNAPCZYK: Nadchodzi listopad 1918 roku, kończy się I wojna światowa. Jaka atmosfera panuje na ziemiach polskich? Jak tworzy się nowe państwo?

ANDRZEJ LEON SOWA: Polacy w końcu XIX wieku mieli różne wizje przyszłego państwa. Zdawano sobie sprawę, że Polska w granicach etnograficznych byłaby państwem o terytorium stosunkowo niewielkim i ludności liczącej nie więcej niż dwadzieścia kilka milionów. Toteż tylko jedna koncepcja, Marii i Bolesława Wysłouchów, zakładała powstanie państwa polskiego w granicach etnograficznych, z włączeniem do niego terenów zamieszkałych przez Polaków na ziemiach położonych na północ i zachód od obszaru zaboru pruskiego, czyli głównie Śląska Opolskiego i Prus Wschodnich. Jednak generalnie przeważały koncepcje terytorialnie nawiązujące do Rzeczpospolitej szlacheckiej, obejmujące ziemie sprzed pierwszego rozbioru, w przeważającym stopniu zamieszkałe przez Ukraińców i Białorusinów. Wśród tych pomysłów projekt endecki zakładał polonizację zamieszkujących tam narodowości. Kolejna wizja nawiązywała do doświadczeń powstania styczniowego i postulowała utworzenie sfederalizowanego państwa polsko-litewsko-ruskiego. Elity z wymienionych terenów były różnego pochodzenia, ale mocno spolonizowane, język polski na terenach dawnej Rzeczpospolitej był niczym angielski w Brytyjskiej Wspólnocie Narodów.

Państwo polskie kształtuje się już w 1917 roku, kiedy zostaje powołane Królestwo Polskie z woli Berlina i Wiednia. Chętnie powtarzano, że „Polska wybuchła w listopadzie 1918 roku", ale trzeba przyznać, że pośrednio Niemcy przyczynili się do powstania naszego państwa. Całe kadry urzędnicze, instytucje (sądownictwo, szkolnictwo polskie) tworzyły się na terenach okupowanego przez wojska niemieckie i austriackie Królestwa Kongresowego i okupanci temu sprzyjali. Niemcy przyczynili się też do pobudzenia narodowego Ukraińców (uznanie ich państwowości w pokoju brzeskim w marcu 1918 roku), ale przede wszystkim Białorusinów (utworzenie szkolnictwa białoruskiego na Wileńszczyźnie). Jeszcze przed końcem I wojny światowej w Warszawie czy w Krakowie wiedziano, że jakaś Polska powstanie, nie było wiadomo tylko, w jakim kształcie i formule. Na przykład początkowo postulowano przekształcenie monarchii austriackiej w państwo austriacko-węgiersko-polskie, ale ta koncepcja upadła. Wiedeń zraził sobie Polaków, oddając Ukraińcom w pokoju brzeskim

eprasa.pl fc728fc9e1

Chełmszczyznę i obiecując im Galicję Wschodnią. W 1918 roku długo jeszcze nie było wiadomo, czy wojna skończy się korzystnie dla Polaków. Niemniej zdarzył się swego rodzaju cud polegający na tym, że wszystkie państwa zaborcze przegrały wojnę, mimo iż walczyły po przeciwnych stronach. Rosję ostatecznie z grona państw zwycięskich wyeliminowała rewolucja bolszewicka.

Oczywiście 11 listopada 1918 roku jako dzień odzyskania przez Polskę niepodległości to data umowna. Było to tylko przekazanie władzy nad wojskiem przez Radę Regencyjną Józefowi Piłsudskiemu. Natomiast proces państwowotwórczy trwał stosunkowo długo. Wcześniej zawiązała się w Krakowie Polska Komisja Likwidacyjna, kierowana przez Wincentego Witosa, w Lublinie działał rząd kierowany przez Ignacego Daszyńskiego, a od początku listopada toczyły się walki o Lwów i Galicję Wschodnią z Ukraińcami. Od samego początku doszło do konfliktu zbrojnego między tymi dwoma narodami, co odbiło się później na dalszych stosunkach. Doprowadzenie do sytuacji, aby Ukraińcy dobrze się czuli w granicach państwa polskiego, okazało się bardzo trudne, w rzeczywistości niemożliwe.

Jak wygląda sytuacja międzynarodowa Polski u progu niepodległości?

Istotne było to, że sami walczyliśmy o niepodległość, ale staraliśmy się uzyskać poparcie, zarówno strony austriackiej i niemieckiej – początkowo Józef Piłsudski i Legiony Polskie związane były z państwami centralnymi – jak i zachodniej, między innymi we Francji działał Roman Dmowski. W Stanach Zjednoczonych uaktywnił się znakomity pianista Ignacy Jan Paderewski, który przekonał prezydenta Wilsona do poparcia powstania niepodległej Polski z dostępem do morza. Koniec I wojny światowej to czas, kiedy Amerykanie prowadzą aktywną politykę liczącą się na świecie. Najpóźniej do koncepcji powstania niepodległej Polski przekonali się Francuzi i Anglicy, gdyż bardzo długo w tej kwestii liczyli się ze stanowiskiem carskiej Rosji. Zaniepokojeni możliwością powstania niepodległego państwa polskiego byli żyjący na terenie ziem polskich Żydzi, gdyż obawiali się polskiego nacjonalizmu. Już w okresie przed I wojną światową na terenie Warszawy dochodziło do pogromów. Dmowski i jego liczni zwolennicy reprezentowali poglądy zdecydowanie antysemickie. Lobby żydowskie w Wielkiej Brytanii informowało o tych sprawach polityków brytyjskich, nastawiając ich co najmniej nieufnie do polskich aspiracji. Walki o polską niepodległość w pierwszej połowie XIX wieku przyniosły Polakom uznanie i sławę w Europie. Po powstaniu listopadowym byliśmy niezwykle pozytywnie odbierani między innymi w Niemczech, a studenci tamtejszych uniwersytetów powoływali się w swojej walce o zjednoczenie Niemiec na przykład Polaków. Sytuacja zmieniła się, kiedy w drugiej połowie XIX wieku niemal w całej Europie do głosu doszli nacjonaliści.

eprasa.pl fc728fc9e1

Niestety w latach 1918–1919 na terenie ziem polskich nastąpiła seria pogromów antysemickich, między innymi we Lwowie, w Krakowie, Kielcach i w wielu innych miejscowościach. Ten problem był podnoszony w prasie europejskiej, a to nie pomagało w pozyskiwaniu sympatii dla nowo formującego się państwa polskiego.

Problem cały czas tkwił w terytorium nowej Polski. Jak kształtowały się polskie granice, a szczególnie te wschodnie?

To, co było możliwe do uzyskania w kwestii przebiegu zachodnich granic państwa polskiego, mogliśmy osiągnąć tylko w ramach ustaleń konferencji pokojowej mocarstw zachodnich z Niemcami. W konferencji tej, obradującej w Wersalu, brała udział polska delegacja, na czele z Romanem Dmowskim. Wysunął on tam ambitny program powstania Polski w granicach sprzed pierwszego rozbioru, poszerzonego na zachodzie o Gdańsk i ziemie zamieszkałe przez ludność polskojęzyczną. Projekt ten był od początku kontestowany przez polityków brytyjskich. Widoczna była walka między Francuzami a Anglikami. Francuzi nam sprzyjali, bojąc się rewizjonizmu niemieckiego. Francja poniosła olbrzymie straty w I wojnie światowej, co pogłębiło występujący tam już przed wojną kryzys demograficzny, stąd też dążyła do maksymalnego osłabienia Niemiec. Natomiast Wielka Brytania w ramach swojej polityki równowagi starała się nie osłabiać zbytnio Niemiec, żeby ich naturalna w tej sytuacji chęć odwetu nie doprowadziła do kolejnego konfliktu wojennego w Europie, w którym Londyn nie mógł już nic zyskać, a mógł wiele stracić.

Nawet w walce zbrojnej o Wielkopolskę Polska nie była w stanie stawić czoła Niemcom, więc byliśmy zdani na ustalenia konferencyjne. Natomiast sytuacja na Wschodzie wyglądała inaczej. Do lutego 1919 roku wojska niemieckie pozostawały na terenach państwa rosyjskiego, wzdłuż linii Dniepru, skąd wycofywali się w porozumieniu z Polakami do Prus Wschodnich. To ułatwiło władzom polskim w Warszawie wystawienie wojska w celu wsparcia Polaków walczących w Galicji Wschodniej z Ukraińcami, przygotowywano się też do walki z bolszewikami. Przypominam, że plany Piłsudskiego nawiązywały do wizji współpracy Polaków z Litwinami i Rusinami (czyli Ukraińcami i Białorusinami) z czasów powstania styczniowego, były to plany federacyjne, a państwo polskie miało obejmować możliwie największe terytoria na wschodzie. Wówczas siła państwa była liczona wielkością terytorium i liczbą ludności. Niestety tereny, do których aspirowaliśmy, były w większości słabo rozwinięte gospodarczo.

Na Polesiu w lutym 1919 roku doszło do zetknięcia wojsk polskich z bolszewickimi. Rozpoczęło się wypieranie bolszewików na wschód. W kwietniu 1919 roku zajęto Wilno, następnie Mińsk i Kamieniec Podolski. W połowie tego roku kończy się wojna polsko-ukraińska o Galicję

eprasa.pl fc728fc9e1

Wschodnią, a siły ukraińskie zostają wyparte za Zbrucz, gdzie łączą się z wojskami Symona Petlury, przywódcy Ukraińskiej Republiki Ludowej ze stolicą w Kijowie. Petlura w tym czasie toczy też wojnę z Polską, ale jest zainteresowany porozumieniem z Warszawą, wychodząc z założenia, że głównym wrogiem Ukraińców jest Rosja. Piłsudski próbował odtwarzać Wielkie Księstwo Litewskie, sfederowane z Polską, ale tu pojawił się problem, bo Litwini tego nie chcieli, szczególnie ci zamieszkujący Żmudź i władający językiem litewskim, gdyż obawiali się zmajoryzowania przez Polaków i utraty swojej tożsamości narodowej.

Litwini kwestionują historię w wersji polskiej, unię lubelską traktują jako klęskę narodu litewskiego. Mają po części rację, bo po unii nastąpiła polonizacja miejscowego rycerstwa, ale już wcześniej na terenie ich państwa najsilniejszym elementem była ludność rusińska (białoruska), a nie litewska. Nie bez przyczyny do Wilna aspirowali też Białorusini, dla których to miasto było również stolicą narodową i kulturalną. Piłsudski myślał o utworzeniu Litwy kantonalnej. Południowa część miałaby być białoruska, środkowa z Wilnem – polska, a północna, kowieńska – litewska.

Nikt poza Polakami tej federacji nie chciał, dla Białorusinów i Litwinów oznaczałoby to dalszą polonizację, a tymczasem marzyły się im już własne państwa narodowe. Stopniowo rozbrat polsko-litewski był coraz większy, z czym nie mogli pogodzić się Polacy, dla których Litwa była po prostu częścią Polski. W tym czasie dla bolszewickiej Moskwy wojna z Polską miała charakter drugorzędny, najważniejsze dla niej było uzyskanie zwycięstwa w niezwykle krwawej wojnie domowej, w której wojska „białych" były wspierane przez Francuzów i Brytyjczyków. Próbował wykorzystać to Piłsudski, gdyż miał świadomość, że tylko trwała zmiana sytuacji geopolitycznej w tej części Europy może zapewnić pomyślną egzystencję państwa polskiego. Pomiędzy silnymi Niemcami i potężną Rosją – państwami zmierzającymi do trwałego utrzymania polskich ziem etnicznych – na niepodległą Polskę miejsca nie było. Piłsudski jako naczelnik państwa polskiego uważał, że należy jak najbardziej osłabić Rosję: przez wydarcie jej terenów zamieszkałych przez Ukraińców i Białorusinów oraz wspieranie ruchów odśrodkowych zmierzających do oderwania Zakaukazia od Rosji w wyniku utworzenia tam niepodległej Gruzji, Armenii i Azerbejdżanu.

Plan oderwania narodów zakaukaskich od Sowietów jako tak zwaną ideę prometejską próbowano realizować także w II RP za pośrednictwem wywiadu wojskowego. Ostatecznie nic z tych planów nie wyszło. Także popierany przez Polaków Petlura w 1920 roku nie był w stanie utrzymać się na Kijowszczyźnie, gdyż chłopi ukraińscy między innymi obawiali się powrotu na te tereny znienawidzonych polskich właścicieli ziemskich. Wkrótce po zajęciu przez Polaków Kijowa w maju 1920 roku skoncentrowane wojska bolszewickie przerwały polski front,

eprasa.pl fc728fc9e1

a w sierpniu tegoż roku o mało nie zdobyły Warszawy i nie położyły kresu istnieniu niepodległego państwa polskiego.

Prócz walki o terytorium pojawiają się też problemy wewnętrzne z mniejszościami narodowymi, które znalazły się w granicach Polski.

Polska odtworzyła się jako państwo o bardzo licznych mniejszościach narodowych i próba zasymilowania tychże mniejszości okazała się kwadraturą koła. W 1938 roku Polska liczyła około 35 milionów mieszkańców, z czego co najmniej 10 milionów stanowili nie-Polacy –Ukraińcy, Żydzi, Białorusini, Niemcy, Litwini i inni. Wobec każdej z tych grup prowadzono odmienną politykę. Kwestia mniejszości narodowych była problemem nierozwiązywalnym i wcześniej czy później rozsadziłyby one ówczesne państwo polskie, ale mówiąc szczerze, niemal wszystkie problemy międzywojennej Polski były nie do rozwiązania. Historycy nie chcą o tym pamiętać i idealizują II Rzeczpospolitą. Niestety problemy narastały. Brakowało funduszy na modernizację kraju. Gospodarczo państwo polskie było bardzo słabe, porównywalne do Rumunii pozostającej pod względem gospodarczym na jednym z ostatnich miejsc w Europie. Tymczasem eksplozja demograficzna powodowała, że rok w rok należało młodemu pokoleniu Polaków zapewnić 300 tysięcy nowych miejsc pracy. Jeszcze w 1939 roku Warszawa nie miała porządnego połączenia drogowego ani z Krakowem, ani z Poznaniem, ani z Wilnem. Stąd też wierzono, że niemieckie czołgi utkną na polskich bezdrożach, ale polscy wojskowi się przeliczyli…

Jak postrzegana była Polska w Europie po wojnie z bolszewikami? Polacy mówią o zatrzymaniu fali bolszewizmu, która miała zalać kolejne kraje. Czy to przesadzone stwierdzenie?

To oczywiście w jakimś stopniu mit, stworzony i wykorzystany świetnie przez Polskę, ugruntowany przez angielską książkę o decydujących bitwach w dziejach świata, do których autor zaliczył bitwę Polaków z bolszewikami w 1920 roku. Tak naprawdę w ówczesnej Europie mało kto bolszewików się obawiał. Nikt Polakom za tę wojnę nie dziękował, a wręcz przeciwnie. W Czechosłowacji robotnicy byli rusofilami, w Niemczech i nawet we Francji również sympatie prorosyjskie były silne. Pamiętajmy, że pierwsze porozumienie niemiecko-sowieckie to rok 1920. Po bitwie warszawskiej oddziały sowieckie, które znalazły się na terenie Prus Wschodnich, były przepuszczane przez Niemców, a powinny być internowane. Rosjanie nigdy nie pogodzili się z klęską poniesioną w 1920 roku pod Warszawą, a problem Polski był dla nich sprawą wewnętrzną. Bez względu na komunizm i hasła internacjonalizmu dążono do odtworzenia imperium rosyjskiego, z Polską jako jego częścią składową, oczywiście później łączono to z hasłem niesienia rewolucji w głąb Europy. Lenin i Stalin byli ideowymi marksistami, ale nie w wydaniu klasycznym. Marksizm

eprasa.pl fc728fc9e1

był związany z krajami wysokorozwiniętymi. Marks wyobrażał sobie rewolucję w krajach, gdzie rozwój i modernizacja będą zaawansowane, a dobrobyt robotniczy będzie elementem naturalnym. W przypadku Rosji dokonano przewrotu i następnie rewolucji w jednym z najuboższych krajów świata, dlatego potem modernizacja pochłonęła milionowe ofiary, a państwo i społeczeństwo sowieckie stały się parodią klasycznych ideałów marksizmu.

W rzeczywistości wojna polsko-bolszewicka spowodowała ożywienie niechęci w stosunku do Polski na arenie międzynarodowej. Polska ofensywa na Kijów została świetnie wykorzystana przez Rosjan propagandowo i została przedstawiona jako przykład polskiego imperializmu, wypad szlachty w celu odzyskania utraconych posiadłości. W 1920 i 1921 roku w Europie mało kto wiedział o rewolucji bolszewickiej, o tym, że w Rosji tworzy się zbrodniczy reżim. Dopiero można to było ocenić z perspektywy czasu. To wszystko spowodowało, że Polska miała realne kłopoty w pozyskaniu pomocy politycznej i wojskowej w okresie wojny z Rosją sowiecką. Polska była biednym krajem, potrzebowała sprzętu i amunicji, a realną pomoc uzyskała tylko od Węgrów. Węgrzy darzyli Polaków tradycyjną przyjaźnią, datującą się od czasów Polski szlacheckiej. Także w XIX i w pierwszej połowie XX wieku oba narody – polski i węgierski – miały podobną strukturę społeczną, z silną rolą ziemiaństwa. Oba też łączyło dążenie do przymusowego narodowego zasymilowania mniejszości zamieszkujących te kraje.

Dość szybko, bo już w styczniu 1919 roku, w Polsce odbyły się wybory parlamentarne. Jak przebiegały?

Warto wspomnieć, że przyjęto wówczas demokratyczną, pięcioprzymiotnikową ordynację wyborczą. Żeby zgłosić posła, wystarczyło zebrać na liście pięćdziesiąt podpisów, a więc bardzo niewiele. Jedynym kryterium udziału w wyborach dla wszystkich mieszkańców terenów nimi objętych był wiek – trzeba było mieć ukończone dwadzieścia jeden lat.

Także kobiety w 1918 roku otrzymały prawa wyborcze. To dość zaskakujące, bo w wielu państwach europejskich stało się to dużo później. Jak do tego doszło?

Proszę pamiętać, że koncepcja ordynacji wyborczej przygotowywana była przez sprawujących wówczas rządy w Polsce socjalistów, zwolenników szeroko rozbudowanych reform demokratycznych i społecznych. Kobiety były także mocno zaangażowane w walkę o niepodległość, co miało istotne znaczenie. Wokół Piłsudskiego było dużo kobiet łączniczek, obie jego żony związane były z niepodległościowym ruchem socjalistycznym. Tworząc nowy ustrój, uznano, że kobiety powinny mieć prawa wyborcze.

Wybory były prowadzone wszędzie tam, gdzie sięgała władza polska, a więc głównie na terenie dawnej Kongresówki i w zachodniej Galicji. Nie odbyły się

eprasa.pl fc728fc9e1

one w Wielkopolsce ze względu na oczekiwanie na wynik konferencji pokojowej z Niemcami, która miała zadecydować formalnie o przyłączeniu tego terytorium do Polski, co nastąpiło dopiero w końcu czerwca 1919 roku, oraz w Galicji Wschodniej z powodu trwającej tam wojny polsko-ukraińskiej. Same wybory przebiegły bardzo sprawnie, frekwencja była wysoka, nie było ograniczeń dla mniejszości, które głosowały na swoich kandydatów. W pierwszym sejmie działał duży klub mniejszości narodowych, głównie żydowskiej. Na tych terenach, gdzie nie udało się przeprowadzić uzupełniających wyborów, przyjmowano osoby, które w parlamentach państw zaborczych reprezentowały Polaków. Sejm był podzielony, co prawda zwyciężyła prawica, ale silnie reprezentowane było też centrum polityczne i lewica. Zadaniem pierwszego sejmu było uchwalenie konstytucji określającej zasady ustrojowe państwa. Od początku ustalono, że w Polsce obowiązywać będzie system parlamentarno-gabinetowy, co spowodowało ograniczenie dotąd dyktatorskiej władzy Piłsudskiego jako naczelnika państwa.

Międzywojenna arena polityczna była barwna i burzliwa. Czy jesteśmy w stanie porównać ówczesnych polityków z dzisiejszymi?

Trudno ich porównywać, gdyż ówcześni politycy działali w zupełnie odmiennych warunkach, niż istnieją współcześnie. Musieli oni zbudować państwo polskie całkowicie od podstaw, ponadto przez pierwsze lata działali w okresie wojen o granice państwa i utrzymanie niepodległości, a następnie starali się na terenie dawnych zaborów, różniących się od siebie stopniem rozwoju cywilizacyjnego, stworzyć jednolity dla całego państwa system gospodarczy i instytucjonalny. Przyjęta w marcu 1921 roku konstytucja wzorowana była na rozwiązaniach francuskich. Wcześniej pojawiały się też pomysły powołania monarchii, ale monarchie odchodziły wówczas w przeszłość, na znaczeniu zyskały państwa demokratyczne, które wygrały I wojnę światową. Ówczesna polska konstytucja była bardzo nowoczesna i demokratyczna, przypominała naszą współczesną ustawę zasadniczą. Tyle że obecnie władza wykonawcza jest o wiele silniejsza, niż była opisana w konstytucji marcowej.

Zawarty w konstytucji pakiet wolności – osobistych, politycznych i wyznaniowych – był olbrzymi, co nie podobało się prawicy związanej z Kościołem katolickim. Władza kościelna francuskie wzory ustrojowe uważała za wykwit zwalczanej przez nią myśli masońskiej odpowiedzialnej za rewolucję francuską, która zniszczyła we Francji polityczne wpływy Kościoła. Później podobne poglądy będą głosili piłsudczycy. Jednak spory wokół konstytucji rozgorzały dopiero po wojnie z bolszewikami, która jednak wprowadzała do polityki pewną dyscyplinę i odpowiedzialność. Po kolejnych wyborach sejmowych w 1922 roku zaczęła się zażarta, niesłychanie ostra walka między posłami reprezentującymi

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

NAJNOWSZE REPORTAŻE

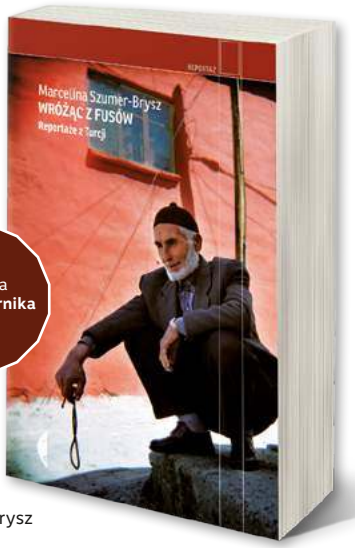

Premiera **10 października**

Marcelina Szumer-Brysz
WRÓŻĄC Z FUSÓW
Reportaże z Turcji

Marcelina Szumer-Brysz opisuje wielką politykę i osobiste historie, mężów stanu i teściowe, pucze wojskowe i słynne tureckie seriale.

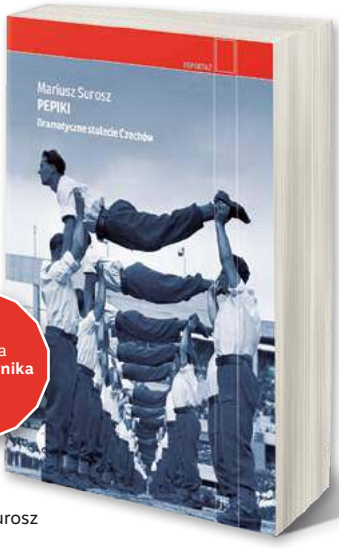

Premiera **17 października**

Mariusz Surosz
PEPIKI
Dramatyczne stulecie Czechów

Błyskotliwe reportaże o Czechach, pozwalające otrząsnąć się ze stereotypów i uważniej spojrzeć na naszych południowych sąsiadów.



Premiera **7 listopada**

Anna Smółka, Agnieszka Rybak
WIEŻA EIFFLA NAD PINĄ
Kresowe marzenia II RP

Opowieść o nowoczesnych domach, radiostacji i eksperymentalnych słuchowiskach, porcie marynarki wojennej i fabrykach, bezzałogowcach i samolotach, wakacjach na polskiej Riwierze i pionierskim uzdrowisku.



Premiera **31 października**

Wojciech Górecki
BURAN
Kirgiz wraca na koń

W 1968 ukazały się reportaże Ryszarda Kapuścińskiego *Kirgiz schodzi z konia*. Jak Azja Centralna i Kaukaz wyglądają dziś?

PRZEGLĄD POLITYCZNY · HISTMAG · Nowa Europa Wschodnia · CPA · OSW · Czeskie Klimaty · Czeskie Centrum České centrum

CZARNE.COM.PL

SERIA REPORTAŻ

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

RETENCJA sp. z o.o.

WYKONAWSTWO ROBÓT W ZAKRESIE
BUDOWY SYSTEMÓW WODNYCH

- Odbudowa i renowacja zbiorników
- Biologiczne zabudowy zbiorników i cieków wodnych
- Odwodnienia, nawodnienia, drenaże
- Budowle obiektów wodnych – przepusty, mostki, zastawki
- Nietypowe rozwiązania regulujące poziom wód gruntowych
- Urządzenia retencji wodnej – zbiorniki skrzynkowe, rurowe, otwarte







TELEFON: **730 103 386**

E-MAIL: **retencja@gmail.com**

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

ŚWIADECTWA POLSKA XX WIEK

MICHAŁ RÖMER

Dzienniki 1911–1945

Świadectwo imponujące – wiele tysięcy stron pokrytych gęstym maczkiem – powstawało codziennie przez 34 lata. A w nim utrwalona wspólna historia Polaków i Litwinów. Autor dzienników, Michał Römer (prawnik, publicysta, działacz społeczny i polityczny, wolnomularz) był postacią znakomitą. Wyprzedzał swój czas, umiał wyjątkowo celnie uchwycić istotę otaczającej go rzeczywistości. Dzięki niemu dziś można zrozumieć polsko-litewskie doświadczenie XX wieku.

6-tomowa edycja dzienników Michała Römera, obejmująca lata 1911–45, przedstawia – obok spraw największej wagi – także codzienność epoki, kwestie społeczne i obyczajowe.

Edycja naukowa ze wstępem dr. hab. Rimantasa Miknysa i prof. dr. hab. Leszka Zasztowta.

TOM 1 *1911–1913*



TOM 2 *1914–1915*



TOM 3 *1916–1919*



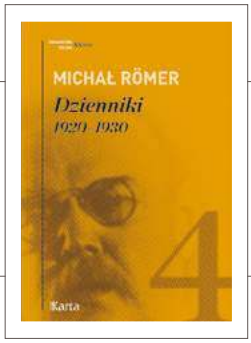

TOM 5 *1931–1938*

XI 2018



TOM 6 *1939–1945*

II 2019

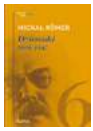

Książki do nabycia w Ośrodku KARTA i księgarni internetowej z 20% rabatem | ksiegarnia.karta.org.pl

E-booki dostępne na portalach ibuk.pl, publio.pl, woblink.pl, virtualo.pl

WYDAWCA

Ośrodek Karta

PUBLIKACJA FINANSOWANA ZE ŚRODKÓW

NARODOWY PROGRAM ROZWOJU HUMANISTYKI

PZU FUNDACJA

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

oferta specjalna prenumeraty

10 na 10!



Z okazji **10-lecia** „Nowej Europy Wschodniej”
każdy numer pisma w prenumeracie rocznej
i dwuletniej za jedyne **10 złotych!***

Oferta ważna do końca roku 2018

*Koszt rocznej prenumeraty: 50 złotych, dwuletniej: 100 złotych



Nowa Europa Wschodnia

Szczegóły na: www.new.org.pl

eprasa.pl fc728fc9e1

w sejmie prawicę i lewicę. Śmierć prezydenta Gabriela Narutowicza z ręki prawicowca jest momentem kulminacyjnym tego sporu, nienawiść między prawicą, lewicą i mniejszościami wylała się na warszawskie ulice.

Wydarzenia te wywarły także negatywny wpływ na samego Piłsudskiego. Właściwie nigdy nie był on demokratą, a od tego czasu będzie coraz wyraźniej dążył do narzucenia Polsce dyktatorskiego systemu rządów. W tym okresie dochodziło w kraju do częstych zmian rządów, ale pewne działania polityczne prowadzone były w zasadzie w sposób ciągły. Taki charakter miała polityka wobec słowiańskich mniejszości narodowych, zmierzająca konsekwentnie do ich polonizacji. W marcu 1923 roku mocarstwa zachodnie zgodziły się na uznanie wszystkich granic polskich, ale w zamian za autonomię dla Galicji Wschodniej. Polacy ją wcześniej obiecali, ale nigdy nie zrealizowali, gdyż panicznie się bali dynamizmu i siły mieszkającej tam społeczności ukraińskiej. Toteż już reformy szkolnictwa przyjęte przez sejm w 1924 roku uderzały mocno w mniejszości narodowe. Ukraińcy mieli wówczas kilkaset szkół powszechnych, z ukraińskim językiem nauczania, jeszcze z czasów monarchii austro-węgierskiej. W ich miejsce utworzono tak zwane szkoły utrakwistyczne, w których część przedmiotów nauczano w języku ukraińskim, a część w języku polskim. W praktyce starano się także i te placówki zamieniać na prowadzące naukę wyłącznie w języku polskim.

Rządy w Polsce ustabilizowały się po zamachu wojskowym dokonanym przez Piłsudskiego w maju 1926 roku. Uważam, że konsekwencje tego zamachu były dla społeczeństwa zdecydowanie niekorzystne. Za czasów dyktatury Piłsudskiego zniszczone zostały rządy prawa, a grupa osób w różny sposób represjonowanych z przyczyn politycznych była nieporównywalnie większa niż w okresie Polski Ludowej pod rządami Władysława Gomułki czy Edwarda Gierka.

Czy można krótko scharakteryzować politykę mniejszościową okresu międzywojennego? Jak rozwijała się ona od 1918 roku do wybuchu II wojny światowej?

Przez cały okres istnienia II RP władze nie prowadziły jednej polityki narodowościowej w stosunku do mniejszości. Wobec każdej mniejszości stosowano nieco inną politykę, dostosowaną do tego, co sobą reprezentowała dana grupa etniczna. Przykładem może być stosunek władz państwowych do Ukraińców. Po pierwsze, znaczna część Polaków, szczególnie narodowców, nie uznawała odrębności narodowej Ukraińców, uważając ich za rusińską grupę etniczną, mieszczącą się w ramach narodu polskiego. Po drugie, mimo że nie wszyscy się na to godzili, prowadzono wobec Ukraińców politykę regionalizacji, czyli inną na terenie Wołynia, a inną na terenie dawnej Galicji Wschodniej. Jeszcze inną politykę stosowano na Łemkowszczyźnie, gdzie nie dopuszczano do funkcjonowania jakich-

eprasa.pl fc728fc9e1

kolwiek instytucji ukraińskich. Odrębnością cieszył się tam tylko Kościół prawosławny i greckokatolicki.

Władze polskie nigdy nie wypracowały jednolitej, systematycznie realizowanej koncepcji rozwiązania kwestii słowiańskich mniejszości. Najbardziej konsekwentnie stosowano asymilację narodową, czyli polonizację. Drugą strategią była asymilacja państwowa, zakładająca między innymi dopuszczenie przedstawicieli mniejszości narodowych do piastowania urzędów w administracji państwowej, chociaż to nigdy nie zostało zrealizowane. Na pewne odstępstwa od polityki asymilacji narodowej pozwolił po zamachu majowym Piłsudski, który jednak nie miał wyraźnie sprecyzowanych poglądów w sprawach narodowościowych. Sam opowiadał się za używaniem w urzędach, samorządach i szkołach publicznych tylko języka polskiego jako państwowego oraz za rozwijaniem na Kresach Wschodnich polskiego osadnictwa wojskowego.

Ostrożna forma asymilacji państwowej realizowana była na Wołyniu, gdzie wojewoda Henryk Józewski, niegdyś minister w rządzie Symona Petlury, próbował pozyskać dla państwa polskiego miejscową ludnością ukraińską. Jednak tamtejsza inteligencja ukraińska ciążyła w stronę stronnictw ukraińskich działających na terenie Galicji Wschodniej. Józewski starał się uniemożliwić partiom i ukraińskim instytucjom społecznym oraz gospodarczym z Galicji Wschodniej prowadzenie działalności na terenie Wołynia. Utworzono tam nawet osobną partię polityczną pod nazwą Wołyńskie Zjednoczenie Ukraińskie, a jej przedstawicieli wprowadzono do polskiego sejmu. Polityka Józewskiego zakończyła się niepowodzeniem, bo za przeciwników miał on nie tylko Ukraińców, ale także większość nastrojonych nacjonalistycznie miejscowych Polaków.

Oceniając polską politykę wobec różnych narodowości już po klęsce wrześniowej 1939 roku, wybitny publicysta ukraiński, redaktor dziennika „Diła" Iwan Kedryn-Rudnyćkyj uznał, że najgorszy był w jej stosowaniu brak konsekwencji. Nie było wiadomo, czego się spodziewać, bo najczęściej z kolejną zmianą rządu zmieniała się też polityka, a raczej taktyka administracji państwowej wobec mniejszości narodowych.

W czerwcu 1934 roku na ulicy Foksal w Warszawie zginął polityk sanacyjny, minister spraw wewnętrznych Bronisław Pieracki. Strzelił do niego członek Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów (OUN) Hryhorij Maciejka. Co zmieniło się po zabójstwie Pierackiego?

Z jednej strony bezpośrednim skutkiem tego mordu było rozbudowanie systemu represji za działania antypaństwowe. Władze państwowe, cyniczne łamiąc gwarancje przestrzegania praw obywatelskich zawarte w teoretycznie obowiązującej nadal konstytucji marcowej, utworzyły w Berezie Kartuskiej na Polesiu obóz koncentracyjny, oficjalnie nazwa-

eprasa.pl fc728fc9e1

ny miejscem odosobnienia. W konstytucji bowiem unormowane były prawa ludzi uwięzionych lub aresztowanych, stąd trzeba było wymyślić inną kategorię osób represjonowanych. W obozie stosowano wymyślne tortury fizyczne i psychiczne. Początkowo w Berezie Kartuskiej przetrzymywano polskich nacjonalistów, bo sądzono, że to oni stali za zabójstwem Pierackiego, później masowo trafiali tam Ukraińcy, wreszcie członkowie lub sympatycy partii komunistycznej i tych było najwięcej. Niemniej w kwestii osadzania w obozie panowała pełna dowolność. Do obozu mógł praktycznie trafić każdy, kto w jakiś sposób naraził się chociażby władzy powiatowej.

Z drugiej strony władze państwowe w 1935 roku podjęły próbę porozumienia się z najsilniejszym politycznym ugrupowaniem społeczności ukraińskiej, jakim było UNDO (Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne). Jego prezes poseł Wasyl Mudryj został wówczas wicemarszałkiem sejmu. Godność tę sprawował aż do upadku państwa polskiego w 1939 roku. W 1938 roku strona ukraińska uznała, że władze nie realizują zobowiązań przyjętych w porozumieniu, i wówczas kierownictwo UNDO zażądało daleko idącej autonomii dla terenów zamieszkanych przez Ukraińców w granicach państwa polskiego, z własnym parlamentem i wojskiem, co było dla Polaków nie do przyjęcia. W tym czasie władze polskie znacznie zaostrzyły swoją politykę tak narodowościową, jak i wyznaniową. Szczególne oburzenie międzynarodowej opinii publicznej wywołało masowe likwidowanie cerkwi prawosławnych na Podlasiu i Chełmszczyźnie oraz zmuszanie do przechodzenia na katolicyzm ludności prawosławnej, uznanej za potomków Polaków. Podobną politykę jak wobec Ukraińców stosowano także w stosunku do Białorusinów zamieszkujących północno-wschodnie tereny państwa polskiego. Białorusini mieli znacznie słabiej rozwinięte instytucje społeczne niż Ukraińcy, więc byli wobec polityki asymilacyjnej praktycznie bezbronni. Najlepszym dowodem na potwierdzenie tej tezy jest fakt, że w 1939 roku nie było w Polsce ani jednej białoruskiej szkoły powszechnej. Mimo to Białorusini nie przeprowadzili w okresie II wojny światowej na terenach przez nich zamieszkanych akcji antypolskiej analogicznej do ukraińskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej. Zaprzecza to tezie forsowanej przez ukraińskiego historyka profesora Bohdana Huda, że antypolskie wystąpienia na Wołyniu w 1943 roku miały charakter spontaniczny. Bo skoro wrogość Białorusinów i Ukraińców do Polaków była podobna, warunki do antypolskich wystąpień sprzyjające, to dlaczego reakcje Białorusinów były inne niż Ukraińców? Prawdopodobnie, gdyby wśród Białorusinów działało terrorystyczne ugrupowanie podobne do Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów sytuacja Polaków na terenach zamieszkanych przez większość białoruską byłaby równie tragiczna jak na Wołyniu.

Ważnym odniesieniem dla władz polskich była również polityka sowiecka sto-

eprasa.pl fc728fc9e1

sowana wobec Ukraińców i Białorusinów, bo największa część tych narodowości zamieszkiwała tereny Związku Sowieckiego. Można uznać, że to Moskwa przyczyniła się do rozwoju narodu ukraińskiego i białoruskiego, bo przed 1930 rokiem popierała rozkwit szkolnictwa i kultury ukraińskiej i białoruskiej, a nawet instytucje partii komunistycznej w tych sowieckich republikach miały obowiązek używania języków narodowych. W latach trzydziestych XX wieku nastąpił gwałtowny odwrót od tej polityki ma rzecz rusyfikacji, a sowieckie elity ukraińskie i białoruskie zostały wymordowane. W tej sytuacji także Warszawa mogła wobec mniejszości słowiańskich przyjąć kurs bardziej restrykcyjny, nie obawiając się, że będą one szukały oparcia w Kijowie czy Mińsku.

Jak wyglądała polska polityka zagraniczna skierowana na Wschód?

Z Litwą Polacy mieli ciągły kłopot, nie mogli się pogodzić z niepodległością tego państwa. Stronnictwo Narodowe chciało całkowitego wcielenia Litwy do Polski, piłsudczycy chcieli federacji, ale dla Litwy oznaczałoby to uzależnienie od Polski. Dlatego Litwa odmawiała nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską, a władze litewskie starały się maksymalnie osłabiać państwo polskie przez podsycanie antypolskich ruchów białoruskich i ukraińskich oraz uprawianie antypolskiej propagandy na arenie międzynarodowej. Dla Litwy wygodne było pozostawanie Polski w ciągłym antagonizmie ze Związkiem Sowieckim i Niemcami. Jednak Piłsudskiemu udało się to zmienić. Korzystając z narastających sprzeczności pomiędzy Moskwą i Berlinem, marszałek doprowadził do zawarcia paktów o nieagresji – w 1932 roku ze Związkiem Sowieckim, a w 1934 roku z Niemcami. Zapoczątkowało to tak zwaną politykę równowagi, bo teoretycznie Warszawa miała prowadzić taką samą politykę wobec Berlina i Moskwy.

W rzeczywistości stosunki polsko-niemieckie były o wiele cieplejsze niż relacje polsko-sowieckie i na arenie międzynarodowej Polska była postrzegana do wiosny 1939 roku jako sojusznik niemiecki. W marcu 1938 roku Polacy do uregulowania stosunków z Litwą wykorzystali kryzys międzynarodowy wywołany włączeniem Austrii do hitlerowskich Niemiec. Kiedy doszło do kolejnego incydentu na granicy polsko-litewskiej, w wyniku którego zginął żołnierz polski, Warszawa wystąpiła wobec Kowna z ultimatum, zmuszając Litwę do nawiązania stosunków dyplomatycznych. Było to racjonalne posunięcie, ale negatywnie przyjęte przez państwa europejskie, gdyż pogłębiało kryzys międzynarodowy wywołany przez Hitlera. Jednak późniejsze relacje polsko-litewskie układały się dobrze mimo wzajemnej nieufności, poza tym także Litwa była zagrożona ze strony Niemiec i Rosji, co miało wpływ na jej stosunek do Polski. Podczas II wojny światowej Polacy w obozach jenieckich na terenie Litwy byli traktowani przyzwoicie.

Oczywiście na Wileńszczyźnie lituanizacja po włączeniu tego obszaru w 1939

eprasa.pl fc728fc9e1

roku do Litwy była konsekwentna, odbierano Polakom majątki, w miejsce języka polskiego wprowadzono do kościołów język litewski. Jak już wspominałem stosunki polsko-sowieckie po krótkim okresie poprawy w 1932 roku formalnie były dobre, ale w rzeczywistości wrogie i odpowiedzialne były za to obie strony. Warszawa ponadto nic nie wiedziała o wymordowaniu w końcu lat trzydziestych XX wieku na terenie ZSRS ponad 100 tysięcy Polaków, obywateli sowieckich. Wskutek tych represji Polska utraciła jakiekolwiek możliwości pozyskiwania stamtąd informacji wywiadowczych. Stosunek władz II RP do mniejszości polskich zamieszkujących kraje sąsiednie był zróżnicowany i instrumentalny. Najczęściej występowano z interwencjami w obronie polskiej mniejszości na Litwie oraz w Czechosłowacji, mimo że w praktyce w tym ostatnim kraju los Polaków był nieporównanie lepszy niż na przykład na Łotwie. Tyle że dla Warszawy problem Polaków na Zaolziu był stosunkowo łatwy do wygrywania przeciwko Pradze, oskarżanej o prowadzenie polityki sprzecznej z polskimi interesami.

Zatrzymajmy się przy Zaolziu, którego zajęcie nie przysporzyło Polakom dobrej sławy. Jak ten manewr został odebrany w Europie?

Na całym świecie został zapamiętany bardzo źle. Polacy byli prezentowani w niekorzystnym świetle i to wszystko – powiedzmy sobie szczerze – na własne życzenie. Potraktowano nas jako sojuszników Hitlera. Szefowi polskiej dyplomacji Józefowi Beckowi chodziło o rozbicie Czechosłowacji, bo tego chciał zmarły Piłsudski, a rozkazy marszałka nadal były dla niego święte. Beck zabiegał o poparcie Niemców, dążył do uzyskania przez Polskę pozycji mocarstwowej w Europie. Minister uważał, że Polska, mając dobre stosunki z Włochami i Niemcami, będzie traktowana na równi z mocarstwami europejskimi i że żadne sprawy dotyczące polskich interesów nie będą rozpatrywane bez jej udziału. Dlatego wielkim szokiem było dla niego pominięcie Polski na konferencji w Monachium we wrześniu 1938 roku, gdzie regulowano sprawy żywotnie obchodzące Warszawę. W jakimś sensie wymuszenie oddania Polsce Zaolzia miało być protestem przeciwko ustaleniom monachijskim i pokazaniem, że Warszawa potrafi sama rozwiązywać dotyczące ją problemy międzynarodowe. Tyle tylko, że Polska znalazła się w końcu 1938 roku *de facto* w całkowitej izolacji na arenie międzynarodowej.

Późniejszy sojusz Polski z Wielką Brytanią to nie tyle wynik zabiegów Józefa Becka, ile skutek działań Hitlera, który łamiąc postanowienia konferencji w Monachium, w marcu 1939 roku zlikwidował Czechosłowację jako państwo i tym samym podważył mocarstwowy prestiż Wielkiej Brytanii, na co Londyn musiał jakoś zareagować. Gdyby nie ten fakt, Polska prawdopodobnie pozostałaby samotna wobec Rzeszy Niemieckiej, bo żądania włączenia Gdańska do Niemiec i przeprowadzenia eksterytorialnej autostrady

eprasa.pl fc728fc9e1

przez polskie Pomorze do Prus Wschodnich były na Zachodzie powszechnie traktowane jako postulaty możliwe do akceptacji.

W Polsce lansowano także wizję Międzymorza, czyli sojuszu państw położonych między morzami Bałtyckim, Czarnym i Adriatyckim, jako swoistej przeciwwagi wobec Niemiec i Sowietów. Wyobrażano sobie, że Polska będzie przewodzić takiemu sojuszowi. Nie chciano jednak przy tym pamiętać o niemal zerowym potencjale gospodarczym Polski i o tym, że posiadanie licznej armii prezentowanej jako czynnik siły to było zbyt mało, aby przyciągnąć do siebie inne kraje regionu. Zwłaszcza że polityka prześladowania Cerkwi w Polsce wywołała wielkie oburzenie wśród prawosławnych państw regionu, takich jak Jugosławia, Rumunia czy Bułgaria, mających przecież razem z Polską i Węgrami tworzyć Międzymorze. Czechosłowacja cieszyła się dużymi sympatiami w tym rejonie, poza Węgrami oczywiście, toteż rozbiór tego kraju, a także zajęcie przez wojsko polskie Zaolzia, zostały przyjęte z wielkim oburzeniem. W Indiach, gdzie w 1939 roku przebywał wybitny polski publicysta Aleksander Janta-Połczyński, jego rozmówcy traktowali Polskę jako sojusznika Hitlera, uczestniczącego w rozbiorze Czechosłowacji. Tak więc nawet w tak odległym kraju sprawa Zaolzia wywołała wrogość stosunku do Polski, nie wspominając już o bliższym sąsiedztwie.

To mit, że wszyscy Polacy z Zaolzia entuzjastycznie domagali się przyłączenia do Polski. Przeczą temu wspomnienia Wincentego Witosa przebywającego na tym terenie w latach 1930–1939. Polacy żyli tam na wysokim poziomie i słusznie obawiali się utraty dobrobytu, kiedy znajdą się w Polsce pozostającej na znacznie niższym poziomie rozwoju cywilizacyjnego niż Czechy. Oczywiście były grupy Polaków, którym się gorzej powodziło, i na nich władze polskie się opierały. Jednak to tylko polska propaganda państwowa głosiła, że Polacy zaolziańscy gremialnie z wielką radością przyjęli inkorporację do Polski terenów, które zamieszkiwali. „Spontaniczne" powitania polskich dostojników przybywających na Zaolzie były umiejętnie organizowane przez administrację polską, kierowaną przez wojewodę śląskiego Michała Grażyńskiego. Zaolzie było znacznie lepiej rozwinięte niż Wielkopolska, jeździły tam nawet wycieczki z całej Polski podziwiać poziom cywilizacyjny widoczny nie tylko w miastach, ale także na wsiach, których zabudowania jawiły się zszokowanym Polakom jako wille bogaczy. Po zajęciu przez Polaków Zaolzia dla miejscowych zaczął się tragiczny rok. W Polsce panował autorytaryzm, gdy mimo wszystko Czechosłowacja pozostawała krajem demokratycznym, warunki życia się pogorszyły, bo zerwano kooperacje przemysłowe i nie było gdzie sprzedawać koksującego węgla zaolziańskiego; zaczęły się masowe zwolnienia w pracy, a także prześladowania polityczne, a nawet religijne; zlikwidowano także całą polską prasę wydawaną na Zaolziu przed włączeniem go do Pol-

eprasa.pl fc728fc9e1

ski. Informacje o tych sprawach można znaleźć nawet w przedwojennych polskich gazetach.

Jestem przekonany, że to rok przynależności do państwa polskiego spowodował, że czechizacja Polaków na Zaolziu po II wojnie światowej osiągnęła tak wielkie i szybkie postępy. Zadajmy sobie pytanie, kto przed II wojną światową, poza Węgrami, lubił Polaków. Sympatią darzyli nas w zasadzie tylko Słowacy, ale im też zabraliśmy w 1938 roku pewne terytoria i dziwiliśmy się, że także oni zaczęli nas nienawidzić, a powinni żywić wobec nas wdzięczność, bo – jak argumentowano w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym" – przecież zabraliśmy im tak mało, a mogliśmy znacznie więcej. Witos zapisał w tym czasie w dzienniku, że w Żylinie bał się rozmawiać publicznie po polsku, bo spotykał się z agresją ze strony Słowaków.

Pytanie na koniec: jaki jest panteon ojców niepodległości?

Bardzo szeroki, od prawa do lewa. Bez wątpienia Piłsudski, ale i Daszyński, Dmowski, Witos, Wojciech Korfanty. Najbliżej byłoby mi do Ignacego Daszyńskiego, reprezentującego kierunek demokratycznego socjalizmu. Przy odzyskiwaniu niepodległości dopisało nam szczęście, najpierw fakt upadku trzech państw zaborczych, który był ewenementem, a następnie odcięcie nas od rewolucji bolszewickiej przez pozostające jeszcze na terenie Rosji wojska niemieckie. To wszystko dało nam niezbędny czas na organizowanie armii i budowę państwa. Ukraińcy wówczas takiego szczęścia nie mieli.

Andrzej Leon Sowa jest historykiem. Profesor nauk humanistycznych, wieloletni wykładowca akademicki Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie; zajmuje się dziejami I Rzeczpospolitej (wiek XVIII) oraz historią XX wieku; współautor i autor kilku podręczników do historii najnowszej. Ostatnia jego publikacja to książka *Kto wydał wyrok na miasto? Plany operacyjne ZWZ AK (1940–1944) i sposoby ich realizacji* (Kraków 2016).

eprasa.pl fc728fc9e1

Radziecki Sinatra

Magdalena Lejman

Josif Kobzon był twarzą i głosem rosyjskiej estrady. Ponad dwadzieścia lat aktywnego artystycznego i politycznego życia w Federacji Rosyjskiej nie zmieniło jego wizerunku jako człowieka radzieckiej epoki. W ostatniej drodze towarzyszyły mu tysiące wielbicieli i przedstawiciele władz państwowych kraju. Czy jego odejście jest też pożegnaniem z kulturą byłego systemu?

Josif Kobzon urodził się w 1937 roku w okręgu donieckim na Ukrainie. Pochodził z ideologicznie zaangażowanej rodziny żydowskiej. Matka była ludowym sędzią, ojciec w czasie wojny pełnił funkcję oficera politycznego. W wieku dziewięciu lat młody Josif wygrał konkurs talentów w Doniecku, a niedługo potem wystąpił na Kremlu przed Stalinem. Przez resztę życia śpiewał przed każdym kolejnym przywódcą Związku Radzieckiego, a potem Federacji Rosyjskiej.

Wychowany w górniczym Doniecku, początkowo swoją przyszłość wiązał z pracą w kopalni. Uprawiał boks, wygrał mistrzostwa Ukrainy. O karierze wokalnej zaczął na poważnie myśleć w wojsku. Po zakończeniu służby w 1959 roku występował w duecie z Wiktorem Kochno, a od 1962 roku prowadził już karierę solową. Piosenką, dzięki której zaczął być rozpoznawany, była transmitowana przez ogólnozwiązkową telewizję *Kuba – moja miłość* (muzyka: Aleksandra Pachmutowa, słowa: Siergiej Griebiennikow, Nikołaj Dobronrawow), wykonywana przez artystę ucharakteryzowanego na Fidela Castro, z automatem w ręku.

Z oficjalnym nurtem

Prawdziwa sława przyszła niedługo potem, w 1964 roku, dzięki emitowanej w radio piosence *A u nas na podwórzu* (muzyka: Arkadij Ostrowski, słowa: Lew Oszanin). Przez kolejne lata Kobzon został laureatem serii krajowych i międzynarodowych festiwali, w tym Ogólnorosyjskiego Konkursu Artystów Estradowych, konkursu w Sopocie, w Budapeszcie i Sofii. Pracował jako solista Ogólnozwiązkowego Radia, Państwowego Związku Koncertowego Związku Radzieckiego (Goskoncert), a następnie (aż do 1989 roku) Państwowego Instytutu Kultury Miasta Moskwy (Moskoncert). Do emitowanego w latach siedemdziesiątych popularnego serialu o radzieckim szpiegu Stirlitzu *Siedemnaście mgnień wiosny* zaśpiewał piosenkę przewodnią

eprasa.pl fc728fc9e1

Nie myśl z góry o sekundach (muzyka: Mikael Tariwierdijew, słowa: Robiert Rożdiestwienskij). W 1986 roku uzyskał najwyższy tytuł artystyczny – Ludowego Artysty Związku Radzieckiego.

Droga artystyczna Kobzona była ściśle związana z oficjalnym nurtem kulturalnego życia kraju. Choć w jego repertuarze znalazło się ponad trzy tysiące utworów, w tym klasyczne romanse, arie operowe i operetkowe, ludowe pieśni rosyjskie, żydowskie i ukraińskie, a nawet piosenki Bułata Okudżawy i Władimira Wysockiego, najlepiej wypadał w utworach patriotycznych, uroczystych, podniosłych. Dysponował lirycznym barytonem o jasnej barwie, z wyśmienitą dykcją. Z jego głosem i osobowością dobrze rezonowały wielkie przestrzenie koncertowe, takie jak sala kolumnowa Domu Związkowego czy Pałac Kremlowski. Krzepka sylwetka i charakterystyczna peruka, którą nosił od trzydziestego piątego roku życia, budowały wizerunek człowieka niezmiennego i solidnego. Po upadku Związku Radzieckiego Kobzon nie zmienił swojego *image*'u. Trwał, odporny na zachodzące wokół przeobrażenia – swoisty symbol minionej epoki.

Scena polityczna

W 1975 roku Josif Kobzon skończył Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu Moskiewskiego Miejskiego Komitetu Partii. Członkiem KPZR pozostał do końca jej istnienia. Aktywną działalność polityczną jako deputowany ludowy zaczął pod koniec funkcjonowania ZSRR. W chwili geopolitycznego przełomu wchodził w skład grupy polityków opowiadających się za zachowaniem Związku Radzieckiego jako państwa federacyjnego.

Po rozpadzie imperium stosunkowo szybko odnalazł się w życiu politycznym nowego systemu. Od 1997 roku był deputowanym Dumy Państwowej. W latach 2003–2011 pełnił funkcję przewodniczącego Komitetu Dumy do spraw kultury, a od 2012 roku – pierwszego zastępcy przewodniczącego Komitetu. Mimo deklaracji, że pozostanie bezpartyjnym, w 2007 roku dołączył do ugrupowania władzy Jedna Rosja.

Po upadku ZSRR Kobzon nie zmienił swojego *image*'u. Trwał, odporny na zachodzące wokół przeobrażenia – swoisty symbol minionej epoki.

Był politykiem wyraźnie prosystemowym. W 2013 roku znalazł się w grupie osób, które zgłosiły nominację Władimira Putina do Pokojowej Nagrody Nobla. W 2014 roku napisał list otwarty do prezydenta, w którym wyrażał swoją radość z okazji przyłączenia Krymu do Rosji. W czasie konfliktu na wschodzie Ukrainy dawał bezpłatne koncerty i dostarczał pomoc humanitarną do samozwańczych republik Doniecka

eprasa.pl fc728fc9e1

i Ługańska, a od 2014 roku pełnił funkcję honorowego konsula Donieckiej Republiki Ludowej w Rosji. W 2016 roku został odznaczony przez prezydenta Putina medalem Bohatera Pracy za wkład w społeczno-ekonomiczny rozwój kraju.

Jego poglądy polityczne w ostatnich latach, szczególnie dotyczące wydarzeń na Ukrainie, budziły spore kontrowersje. Od 2014 roku łotewskie i ukraińskie służby bezpieczeństwa wpisały jego nazwisko na listę osób współdziałających na szkodę suwerenności Ukrainy, którym zabroniony jest wjazd na ich terytorium. Kobzon odpowiedział demonstracyjną wizytą w rodzinnym Doniecku, stolicy samozwańczej republiki. Władzę w Kijowie określał mianem faszystowskiego reżimu. W kolejnych latach większość ukraińskich miast, w których mieszkał, pozbawiła go statusu honorowego obywatela (między innymi Kramatorsk, Słowiańsk, Dniepr [dawny Dniepropietrowsk] i Połtawa). W 2015 roku Unia Europejska włączyła nazwisko Kobzona na listę osób odpowiedzialnych za destabilizację sytuacji na wschodzie Ukrainy z zakazem wjazdu na terytorium wspólnotowe. W odpowiedzi na sankcje unijne artysta stwierdził, że nie czuje się ograniczony brakiem możliwości wyjazdów do Europy, mogąc odwiedzać Soczi, Bajkał, Kisłowodzk czy Mineralne Wody. W maju 2016 roku Kobzon przyjął paszport samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej. Dwa lata później dekretem prezydenta Petra Poroszenki pozbawiony został oficjalnych ukraińskich nagród państwowych.

Kobzon miał niezwykłą umiejętność pozostawania w łaskach niezależnie od zmian władzy.

Piosenkarz minionego kraju

Kobzon pozostawał artystą głęboko radzieckim nie tylko w zakresie swoich poglądów politycznych. Wierność zachował także charakterystycznym dla poprzedniego systemu wartościom, budzącym dziś często nostalgię. Bodaj największe znaczenie w jego życiu miała praca. Lubił ją i nie bał się nowych wyzwań. Mimo wieku i postępującej choroby na scenie wydawał się nie do zniszczenia. W trakcie swojej kariery odwiedził z koncertami w sumie ponad sto krajów. W przeddzień swoich siedemdziesiątych urodzin odbył serię jubileuszowych koncertów we wszystkich stolicach republik byłego Związku Radzieckiego. W czasie forum kulturalnego w Astanie w 2010 roku dwukrotnie tracił przytomność i był poddawany resuscytacji bezpośrednio na podium. Choć w 2012 roku, w dniu swoich siedemdziesiątych piątych urodzin, zapowiedział koniec kariery, nie przestał wychodzić na scenę.

Był typem społecznika chętnie podejmującego nowe wyzwania. W czasach radzieckich brał udział w kampanii na rzecz światowego pokoju, odwiedzał obozy

eprasa.pl fc728fc9e1


Presidential Press and Information Office, licencja CC BY 4.0

Bezdyskusyjne poparcie dla działań władzy, budzące w ostatnich latach polemiki, nie wpłynęło na ogólną opinię o Kobzonie jako o wysokiej klasy profesjonaliście i prawdziwym patriocie.

pionierskie, przodujące budowy komsomolskie, wchodził w skład międzynarodowych delegacji pokojowych, występował dla radzieckiego wojska w Afganistanie. Po 1991 roku zajmował się działalnością charytatywną. W czasach wojny rosyjsko-czeczeńskiej występował jako ambasador pokojowego rozwiązania kryzysu. W 2002 roku podjął się negocjacji z grupą terrorystów, która zajęła teatr na Dubrowce, wyprowadzając z budynku kilkoro dzieci.

W czasach ekonomicznej destabilizacji po rozpadzie Związku Radzieckiego Kobzon umiał zadbać o swoje interesy. Uważany był za ojca rosyjskiego show-biznesu. Jego dochody osiągały wartość półtora miliona dolarów (w 2015 roku), był właścicielem kilku domów, apartamentów i luksusowych samochodów. Znajomość z bossami świata kryminalnego przyczyniła się do powstania podejrzeń o jego związki z mafią. W rezultacie od 1995 roku Kobzon miał zakaz wjazdu na terytorium USA.

Był państwowcem, nie narodowcem. Z pochodzenia Żyd, wychowany na Ukrainie, większość swojego życia spędził w Rosji. Zyskał honorowe obywatelstwo kilkudziesięciu poradzieckich miast i tytuł zasłużonego artysty piętnastu oddzielnych podmiotów (jedenaście z nich już po rozpadzie Związku Radzieckiego). Był wielokrotnie nagradzany, zarówno wyróżnieniami państwowymi, jak i odznaczeniami instytucji

eprasa.pl fc728fc9e1

religijnych – Rosyjskiej Cerkwii Prawosławnej, Ukraińskiej Cerkwii Prawosławnej, Rady Muftich Rosji. Bezdyskusyjne poparcie dla działań władzy, budzące w ostatnich latach polemiki, nie wpłynęło na ogólną opinię o Kobzonie jako o wysokiej klasy profesjonaliście i prawdziwym patriocie – oddanym swojemu krajowi i wrażliwym na drugiego człowieka.

Pożegnanie z legendą

Zmarł 30 sierpnia 2018 roku w wieku osiemdziesięciu lat. 2 września 2018 roku w moskiewskiej sali koncertowej imienia Czajkowskiego artystę żegnało kilka tysięcy osób – przedstawicieli kultury, sztuki, biznesu i polityki oraz zwykłych obywateli. Wśród żałobników znaleźli się prezydent Władimir Putin i premier Dmitrij Miedwiediew. Kobzon pochowany został z honorami, wyjątkowymi na tle pozostałych przedstawicieli rodzimej kultury.

Zaledwie miesiąc wcześniej w Moskwie żegnano innego człowieka radzieckiej epoki – Władimira Wojnowicza, jednego z najważniejszych współczesnych rosyjskich prozaików, autora *Życia i niezwykłych przygód żołnierza Iwana Czonkina*. Na jego pogrzebie nie było jednak ani przedstawicieli władz, ani nawet kondolencji od prezydenta lub premiera. Wojnowicz, inaczej niż Kobzon, daleki był od apologii radzieckiej epoki. Po publikacji na Zachodzie swoich książek, w których opisywał absurdy życia w Związku Radzieckim, został zmuszony do emigracji i pozbawiony radzieckiego obywatelstwa. Do Rosji powrócił w latach dziewięćdziesiątych XX wieku; potem nierzadko zajmował postawę krytyczną wobec władz.

Kobzon umiał zadbać o swoje interesy. Uważany był za ojca rosyjskiego show-biznesu.

Kobzon miał niezwykłą umiejętność pozostawania w łaskach niezależnie od zmiany władzy. Udało mu się przejść w okres poradziecki w stosunkowo łagodny sposób, potrafił zająć korzystną dla siebie pozycję, gdy Putin zaczął konsolidować władzę. Był w stanie odpowiednio zgrać się z politycznymi tendencjami, nie rezygnując z przeniesionych z poprzedniego systemu wartości. Gdy z sali imienia Czajkowskiego wynoszono trumnę z ciałem Kobzona, wśród oklaskującego po raz ostatni artystę tłumu nieprzypadkowo zabrzmiała piosenka Franka Sinatry *My way*, którą zmarły lubił wykonywać w ostatnich latach.

Połączenie aktywnego życia publicznego i wierności zasadom wypracowanym w czasach młodości okazało się dla artysty stosunkowo łatwe dzięki faktycznemu, choć nieoficjalnemu zaimplementowaniu wartości cenionych w okresie radzieckim do współczesnego społeczno-politycznego życia Rosji. Patriotyzm Josifa Kobzona,

eprasa.pl fc728fc9e1

charakteryzujący się lojalnością wobec władzy, poparciem dla wizerunku silnego państwa, gotowego realizować swoje interesy niezależnie od suwerenności innych podmiotów (szczególnie w poradzieckiej przestrzeni) oraz gotowością do obywatelskiego zaangażowania, był na rękę rządzącym. Definiowana w ten sposób miłość do kraju, która w dzisiejszej Rosji coraz wyraźniej wydaje się stanowić kryterium estetyczne w dziedzinie kultury, jest niewątpliwie spadkiem po czasach radzieckich.

Po śmierci Franka Sinatry, z którym nieraz porównywano Josifa Kobzona, „The New York Times" stwierdził, że zakończył się wiek XX. Głosy o końcu epoki radzieckiej kultury wraz z odejściem Kobzona w tym kontekście wydają się na wyrost. W wywiadzie udzielonym gazecie „Trud" w 2007 roku artysta mówił: „Jeździłem na syberyjskie budowy, na ziemie celinne, nad Samotlor, jako pierwszy z artystów poleciałem na Wyspę Damanskij [Zhenbao – przyp. red.], gdy doszło do konfliktu z Chińczykami, pierwszy byłem w Afganistanie, w Czarnobylu. Zawsze uważałem, że piosenkarz w Związku Radzieckim jest kimś więcej niż tylko piosenkarzem".

Patrząc ze smutkiem na pożegnanie legendy, jaką niewątpliwie był Josif Kobzon, z niepokojem należy stwierdzić, że w dzisiejszej Rosji od artysty także wydaje się oczekiwać więcej niż bycia tylko artystą.

Magdalena Lejman jest historyczką, kulturoznawczynią, specjalistką w zakresie kultury radzieckiej. W przygotowaniu jest jej książka poświęcona radzieckiemu kinu epoki stalinowskiej.

eprasa.pl fc728fc9e1

Cień rosyjskich szpiegów nad Krainą Jezior

Grzegorz Skrukwa

Wątki szpiegowskie w nowej ekranizacji *Swallows and Amazons* niewątpliwie mają na celu podniesienie dynamiki i atrakcyjności akcji. Mają jednak też głębsze tło: wpisują się we współczesny klimat zagrożenia dla Wysp Brytyjskich. Rosyjscy szpiedzy zakłócają spokój w pięknej i sielskiej Krainie Jezior.

W 2016 roku odbyła się premiera familijnego filmu przygodowego BBC *Swallows and Amazons*, w reżyserii Philippy Lowthorpe. W 2017 wszedł on do dystrybucji na płytach DVD. Jest to trzecia, a druga pełnometrażowa, ekranizacja klasycznej powieści przygodowej Arthura Ransome'a z 1930 roku. Jej akcja rozgrywa się w okresie międzywojennym w północnoangielskiej Krainie Jezior (Lake District). Treścią są przygody grupy dzieci („Jaskółki" – rodzeństwo Walker i „Amazonki" – rodzeństwo Blackett), które podczas letnich wakacji biwakują na wyspie, żeglują i odgrywają rolę odkrywców oraz piratów. W najnowszej wersji filmowej dołączono wątek szpiegowski, a akcję przeniesiono z roku 1930 do 1935, z wyraźnym widmem nadciągającej wojny. Główny dorosły bohater, James Turner, *porte parole* Ransome'a, który w powieści jest podróżnikiem spisującym relację z podróży po Azji, teraz jest agentem brytyjskiego wywiadu, zajmującym się zdobywaniem informacji o sowieckich zbrojeniach morskich.

O ile w powieści zagrażali mu tylko nieudolni lokalni włamywacze, o tyle teraz jest tropiony przez mężczyzn w trenczach i kapeluszach fedora, którzy zamierzają go porwać i wywieźć do Rosji. W filmie pojawia się nieobecne w oryginale i wcześniejszych ekranizacjach *real danger*: rewolwery, pościgi na dachu pociągu, dramatyczny start wodnopłatowca z porwanym Turnerem na pokładzie.

Kim pan był, panie Ransome?

Nowe wątki w ekranizacji Philippy Lowthorpe niewątpliwie mają na celu podniesienie dynamiki i atrakcyjności akcji. Mają jednak też głębsze tło. Wątek szpiegowski wpisuje się we współczesny klimat zagrożenia dla Wysp Brytyjskich. Rosyjscy

eprasa.pl fc728fc9e1

szpiedzy – w filmie kilkakrotnie pada słowo „Russia", ani razu zaś „Soviet Union" – zakłócają spokój w pięknej i sielskiej Krainie Jezior, wykradają telegramy z poczty, preparują fałszywe dowody obciążające niewinnych Anglików, wreszcie poważają się na próbę porwania. I choć akcja rozgrywa się w 1935 roku, to nietrudno odczuć aluzję do spraw bardzo aktualnych. Jest jednak jeszcze coś więcej: kontrowersje dotyczące biografii Ransome'a. Był on dziennikarzem w Rosji w latach 1914–1919 i uwikłał się w dwuznaczne relacje z reżimem bolszewickim i wywiadem brytyjskim. Nowe publikacje wydane w XXI wieku rzuciły pewien cień na pisarza. Dotąd był on postrzegany jako jowialny wąsaty żeglarz i wędkarz, ktoś w rodzaju dobrodusznego wujka. Teraz pojawiło się pytanie: kim pan był, panie Ransome? Brytyjskim szpiegiem infiltrującym sowieckie kierownictwo, pierwszym „pożytecznym idiotą" Moskwy, czy może jednym i drugim naraz?

Arthur Ransome urodził się w 1884 roku w Leeds. Ukończył elitarną szkołę średnią Rugby, po czym po niecałym roku studiowania chemii w Leeds wyjechał do Londynu z zamiarem zostania pisarzem. Przebył drogę od chłopca na posyłki w wydawnictwie, przez redaktora podrzędnych komercyjnych publikacji, do pozycji znanego krytyka literackiego, biografisty i członka londyńskiej bohemy literackiej. Sławę przyniosło mu studium krytycznoliterackie na temat Oskara Wilde'a i zwycięstwo w procesie o oszczerstwo, który wytoczył mu były kochanek Wilde'a, lord Alfred Douglas.

Cykl *Swallows and Amazons* w angielskiej literaturze ma status klasyczny i zarazem kultowy, do dziś jest wznawiany.

W 1913 roku Ransome wyjechał do Rosji, być może dlatego, że zawarte niedługo przedtem małżeństwo okazało się nieudane, a małżonka niezrównoważona umysłowo. Lata 1914–1918 spędził w Piotrogrodzie jako korespondent prasy brytyjskiej. Pracował dla „Daily News", lewicowo-reformistycznej gazety wydawanej przez magnata czekoladowego, kwakra i pacyfistę George'a Cadbury'ego. Od 1916 roku był też członkiem International News Agency – Anglo-Russian Bureau. Oficjalnie była to agencja prasowa, a w rzeczywistości brytyjska komórka propagandowa, założona przez Roberta Bruce'a Lockharta, zajmująca się zamieszczaniem probrytyjskich treści w rosyjskich gazetach. Mimo znacznych trudności stwarzanych przez władze carskie zagranicznym dziennikarzom Ransome kilkakrotnie odwiedził front, był między innymi w Galicji podczas ofensywy generała Aleksieja Brusiłowa w 1916 roku.

Rewolucję lutową i październikową powitał z wielkim entuzjazmem. Po krótkim pobycie w Anglii, w grudniu 1917 roku wrócił do Rosji z listem polecającym od Theodore'a Rothsteina, działacza międzynarodowej skrajnej lewicy, późniejszego współzałożyciela Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii i akademika Akademii

eprasa.pl fc728fc9e1

Nauk ZSRS. Nawiązał osobiście przyjacielskie stosunki z Karolem Radkiem, Wacławem Worowskim, Lwem Trockim i co najważniejsze, z sekretarką tego ostatniego. Jewgenia Szelepina, ładna i wysportowana młoda kobieta, była profesjonalną stenografką po kursach zawodowych, przed rewolucją pracowała jako urzędniczka w ministerstwach i sympatyzowała z bolszewizmem. Znajomość służbowa Ransome'a szybko stała się miłością i kontaktem wywiadowczym.

Szachy z Leninem

Gdy w „Daily News" 31 grudnia 1917 roku ukazał się entuzjastyczny wywiad z Trockim, minister spraw zagranicznych Arthur Balfour polecił pozyskanie Ransome'a jako nieoficjalnego współpracownika, gdyż żaden inny Brytyjczyk nie miał tak dobrego dostępu do nowej elity rządzącej Rosją. Dziennikarz się zgodził i od tej pory przekazywał do brytyjskiej ambasady materiały z biurka Trockiego pozyskane dzięki Szelepinie. Jednocześnie zaś publikował teksty, które współczesny biograf Roland Chambers ocenia jako „różniące się od bolszewickiej propagandy jedynie stylem".

Ransome był przekonany, że bolszewicy utrzymają się u władzy, a brytyjska interwencja w Rosji jest bezcelowa. Wiosną 1918 roku w amerykańskim liberalno-progresywnym magazynie „The New Republic" opublikował pamflet *On Behalf of Russia. An Open Letter to America*, napisany prawdopodobnie we współautorstwie z Radkiem, w którym usprawiedliwiał pokój brzeski oraz przekonywał, że rządy sowieckie są autentyczną reprezentacją ludu Rosji, a sami bolszewicy – idealistami o czystych sercach. Z Leninem grał w szachy i pisał o nim jako o „rosyjskim Cromwellu". Zażyłość z kierownictwem bolszewickim była tak daleka, że Ransome razem z Lockhartem towarzyszyli Feliksowi Dzierżyńskiemu i Jakowowi Petersowi podczas akcji Czeka przeciw anarchistom okupującym luksusowe wille i rezydencje w Moskwie. W 1919 roku Ransome wydał w Anglii stukilkudziesięciostronicowy reportaż *Six Weeks in Russia* – szeroką, choć mocno tendencyjną panoramę polityki i gospodarki Rosji sowieckiej.

Do Krainy Jezior, opiewanej nie tylko przez Ransome'a, ale i przez całą plejadę poetów romantycznych, przenikali z Rosji porywacze w trenczach.

W latach 1918–1919 Ransome krążył między Moskwą i Londynem *via* Tallin, Sztokholm i Oslo. W 1919 roku zmienił pracodawcę na „Manchester Guardian". Każda podróż wymagała załatwiania wiz wyjazdowych, tranzytowych i wjazdowych, zwłaszcza że podróżował *with a lady* – z Jewgenią, która miała tylko rosyjski paszport. Brytyjski wywiad MI6 monitorował podróże i publikacje Ransome'a, ale

eprasa.pl fc728fc9e1

konsul w Moskwie i faktyczny szef operacji wywiadowczych Robert Bruce Lockhart cały czas mu sprzyjał. Latem 1918 roku sztokholmska placówka MI6 zwerbowała Ransome'a jako agenta i nadała mu kryptonim „S76". Kontrwywiad miał jednak wątpliwości i na początku kwietnia 1919 roku Ransome po przyjeździe do Anglii został aresztowany. Przesłuchiwał go osobiście Basil Thomson, zwierzchnik Sekcji Specjalnej Scotland Yardu, słynny wówczas „łowca szpiegów" i zagorzały antykomunista. Ransome, zapytany o to, jakie są właściwie jego poglądy polityczne, miał odpowiedzieć *„Fishing!"*. Ostatecznie został zwolniony.

Harry Potter lat trzydziestych

Według własnych twierdzeń, w październiku 1919 roku Ransome przekazał Leninowi i Trockiemu ustne przesłanie od rządu Estonii o gotowości zawarcia pokoju. W tym samym roku na stałe zamieszkał w Tallinie. Oficjalnie zajmował się wówczas głównie wędkowaniem oraz nauką żeglowania na morzu. Pierwszy rejs po Bałtyku na własnym jachcie uwiecznił w opowiadaniu *Racundra's First Cruise* zaliczanym do klasyki angielskiej prozy marynistycznej. Według Chambersa, rejs był także symboliczną podróżą od czerwieni rewolucyjnej Moskwy do błękitu blezerów Royal Cruising Club. Nie jest jednak jasne, skąd Ransome miał pieniądze na zakup jachtu – pojawiają się twierdzenia o diamentach i perłach przywiezionych z Rosji, najprawdopodobniej na potrzeby agentów Kominternu.

W 1924 roku Ransome uzyskał rozwód z pierwszą żoną, w Tallinie natychmiast ożenił się z Jewgenią i razem zamieszkali w północnoangielskiej Krainie Jezior. Cały czas pracował dla „Manchester Guardian", pisząc reportaże z Chin, Egiptu i Sudanu. W 1929 roku redakcja chciała go wysłać do Berlina w celu relacjonowania kryzysu Republiki Weimarskiej. Z powodu pogorszenia stanu zdrowia odrzucił tę propozycję i podjął ryzykowną decyzję zajęcia się pisarstwem dla młodzieży. Wydana w 1930 roku powieść *Swallows and Amazons* okazała się bestsellerem, Ransome do 1943 roku napisał kolejno jej jedenaście sequeli. Zapewniło mu to stabilizację finansową i sławę. Cykl *Swallows and Amazons* w angielskiej literaturze ma status klasyczny i zarazem kultowy, do dziś jest wznawiany i pozostaje motorem promocji turystyki w Krainie Jezior. Często dziś spotykane, najkrótsze podsumowanie jego rangi brzmi: „Harry Potter lat trzydziestych – ukształtował wrażliwość całej generacji".

Ransome wyjeżdżał jeszcze do Moskwy w 1924 roku, by relacjonować pogrzeb Lenina, i po raz ostatni w 1928 roku. Stalinizmu nigdy nie zaakceptował, Stalina uważał za faktycznego odnowiciela caratu i falsyfikatora historii rewolucji. Później nigdy już bliżej nie interesował się Związkiem Sowieckim, choć jakiś czas nosił się z zamiarem napisania historii rewolucji rosyjskiej. Nie angażował się w politykę ani

eprasa.pl fc728fc9e1

nie utrzymywał kontaktów z ruchem komunistycznym, ale do 1937 roku był monitorowany przez kontrwywiad brytyjski. W nieukończonej autobiografii, pisanej w latach 1949–1961, ze smutkiem pisał o wygnaniu Trockiego oraz o śmierci Kamieniewa, Zinowiewa i Bucharina w procesach moskiewskich. Zmarł w 1967 roku. Jewgenia przeżyła go o osiem lat. Oboje są pochowani w Krainie Jezior w wiosce Rusland, co bywa dziś wskazywane jako *nomen omen*, choć nazwa ta nie ma żadnego etymologicznego związku z Rosją.

Ostatni Anglik

Rosyjskie epizody życia Ransome'a były znane, ale do niedawna nie wywoływały większych kontrowersji. W 2005 roku odtajniono jego teczkę z archiwów służb specjalnych, dzięki czemu stało się wiadome, że był formalnym agentem wywiadu. Jednak obok sensacji „Ransome był szpiegiem!", pojawiło się pytanie: „po czyjej stronie naprawdę był?". W 2009 roku ukazała się książka Rolanda Chambersa *The Last Englishman: The Double Life of Arthur Ransome*, mocno wobec Ransome'a krytyczna. Tytułowy „ostatni Anglik" ma podwójne znaczenie – po pierwsze, bohater był w 1918 roku ostatnim brytyjskim dziennikarzem w Moskwie tolerowanym przez bolszewików. Po drugie, „ostatni Anglik" oznacza piewcę starej dobrej Anglii: wrzosowisk i jezior, wiejskich pubów, legend i dialektu Kumbrii, żeglowania i wędkowania oraz nienaruszonego porządku klasowego i morskiej chwały twórców imperium brytyjskiego. Ransome wszystko to unieśmiertelnił w cyklu *Swallows and Amazons*, choć kilka lat wcześniej sympatyzował z rewolucyjnym projektem Trockiego i Lenina oraz być może szmuglował na Zachód środki dla Kominternu.

W recenzjach prasowych książki Chambersa w głównych tytułach pojawiło się wiele cierpkich słów o Ransomie: „naiwny dziennikarz", „zmienny hipokryta" „samozwańczy ekspert od Rosji", „edwardiański awanturnik o pomieszanej politycznej przynależności i moralności", „piewca gry według zasad, sam nie grał według zasad", „otwiera paradę użytecznych idiotów Lenina".

Chambers sugeruje, że sympatia Ransome'a wobec bolszewików wynikała z traum młodości. Ransome miał surowego ojca, profesora historii, który wpoił mu miłość do gór, jezior i literatury, ale osierocił przyszłego pisarza w wieku trzynastu lat. Półsierota chodził do szkoły Rugby w okresie apogeum systemu *fagingu* – wymuszania posług na młodszych uczniach przez starszych. Był wrażliwym chłopcem z ogromną, ale niezdiagnozowaną krótkowzrocznością i kiepsko sobie radził w sportowych grach zespołowych, na których wychowanie w Rugby się opierało. Kulturowo należał do wyższej klasy średniej, ale jako syn wdowy po wykładowcy akademickim materialnie odstawał od synów posiadaczy ziemskich, ministrów, przemysłowców

eprasa.pl fc728fc9e1

i wyższych oficerów, którzy dominowali w środowisku. W rewolucyjnej Rosji marzł, chorował, pił herbatę z blaszanki i niewątpliwie ryzykował głowę. Jednocześnie spotkał miłość swego życia i miał poczucie towarzyszenia przełomowym wydarzeniom.

Dziewczyna, która klnie

Krytycyzm wobec caratu był wspólną cechą całego środowiska brytyjskich dziennikarzy i dyplomatów w Rosji – o ile jednak większość zatrzymała się na poparciu rosyjskiej demokracji doby Rządu Tymczasowego, o tyle Ransome poszedł krok dalej. Czy był romantykiem stającym zawsze po stronie słabszych, który wskutek politycznej naiwności nie dostrzegał zła i zbrodni bolszewizmu? Czy, jak twierdzą dziś niektórzy, był cynikiem, który „wiedział, z której strony jest chleb posmarowany masłem, i wiedział, jak sprawić, by był posmarowany z obu stron"? Kwestia jest trudna do rozstrzygnięcia. Najprawdopodobniej Ransome szczerze pracował dla obu stron, uważając się za pośrednika działającego na rzecz obopólnie korzystnego zrozumienia między Londynem i Moskwą.

Krytycyzm wobec caratu był cechą środowiska brytyjskich dziennikarzy i dyplomatów w Rosji – o ile jednak większość zatrzymała się na poparciu Rządu Tymczasowego, o tyle Ransome poszedł dalej.

Co więcej, współczesna brytyjska dyskusja o Ransomie ma nieraz pozamerytoryczne aspekty. Cykl *Swallows and Amazons* jest postrzegany jako apologia wartości wyższej klasy średniej i pewności siebie imperium brytyjskiego. Kto jest wobec tego krytyczny, ten bywa skłonny do ostrej krytyki także życiowej, politycznej i osobistej postawy pisarza. W istocie, twórczość Ransome'a wcale nie jest aż tak konserwatywna, jak się na pozór zdaje. Jedną z głównych bohaterek jest Nancy Blackett: dziewczyna, która klnie w stylu piratów z Karaibów, chodzi w krótkich spodniach, nie śpi nocą w domu, sama sobie wyznacza zasady i ma bardzo silne cechy przywódcze. Pod względem genderowym Ransome w 1930 roku był rewolucyjny i mocno za to krytykowany. Dziś jednak, gdy popkultura dla nastolatków pełna jest bohaterek typu Lara Croft czy Katniss z *Igrzysk śmierci*, łatwo tego nie zauważyć.

Rosjanie w trenczach

Film BBC z 2016 roku jednoznacznie staje po stronie Ransome'a i dyskretnie ostrzega. Wyraźnie nawiązuje do twórczości Johna Buchana, autora cyklu powieści o Johnie Hannayu – szpiegu w służbie imperium brytyjskiego. Buchan i Hannay

eprasa.pl fc728fc9e1

w pierwszej połowie XX wieku byli tymi, kim są Ian Fleming i James Bond dzisiaj. Filmowy James Turner ma kryptonim „S76", taki sam jak Ransome w 1918 roku, i jest bezdyskusyjnie „dobrym facetem". Mieszka na barce zakotwiczonej na jeziorze i udaje żeglarza z bogatej rodziny, uprawiającego jachting po Bałtyku. Na fotografiach, które gromadzi, są jednak okręty wojenne, baterie nadbrzeżne i doki stoczniowe. W 1935 roku zagrożeniem były ciężkie działa na okrętach Stalina, dziś – rakiety balistyczne na atomowych okrętach podwodnych Putina. W filmie do Krainy Jezior, opiewanej nie tylko przez Ransome'a, ale i przez całą plejadę poetów romantycznych, przenikali z Rosji porywacze w trenczach.

Ransome nigdy nie zaakceptował stalinizmu, a Stalina uważał za faktycznego odnowiciela caratu i falsyfikatora historii rewolucji.

W 2018 roku dwa przypadki użycia trucizny nowiczok miały miejsce wprawdzie nie w północnej Anglii, lecz w południowej, ale w miejscach równie lub jeszcze bardziej romantycznych i owianych historycznymi legendami: w Salisbury, sławnym z gotyckiej katedry, oraz w Amesbury, mieście, obok którego leży Stonehenge i które uważane jest za najstarsze nieprzerwanie zamieszkałe osiedle Anglii.

Rzeczywistość w zaskakujący sposób zbiegła się z filmem.

Grzegorz Skrukwa jest adiunktem w Instytucie Wschodnim Uniwersytetu Adama Mickiewicza.

eprasa.pl fc728fc9e1

Radio wileńskie

Agnieszka Rybak, Anna Smółka

Prezentujemy fragment książki Agnieszki Rybak i Anny Smółki *Wieża Eiffla nad Piną*, która w listopadzie ukaże się nakładem Wydawnictwa Czarne. Autorki przypominają historie zapomniane i zamiast opowieści o dworkach kreślą obraz Kresów nowoczesnych. A potem sprawdzają, co dziś z tej nowoczesności zostało...

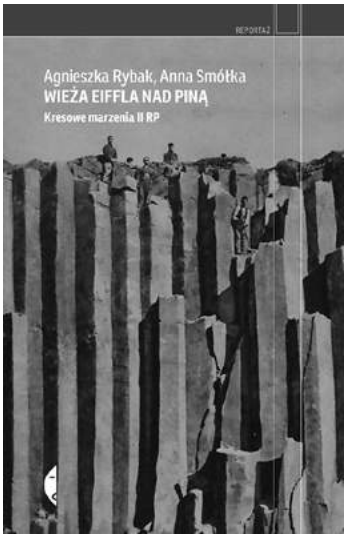

W roku 1927 Rada Zarządzająca Polskiego Radia podjęła decyzję o budowie w Wilnie piątej regionalnej stacji radiowej. Na sam nadajnik radiowy, i to o stosunkowo niewielkim zasięgu, potrzeba było, bagatela, miliona złotych! Całą inicjatywę prasa wileńska przyjęła z entuzjazmem, od lewa do prawa. „Słowo" z przyjemnością donosiło o ustaleniach komisji: „stacja nadawcza wileńska musi być o wiele silniejsza niż np. stacja Krakowska"[1]. Miasto poczuło, że ma do spełnienia misję, tym razem w eterze, i prężyło muskuły.

Polskie Radio zaczęło się rozglądać za kandydatami do zarządu. Dyrektorem technicznym stacji został Roman Pikiel – dotychczasowy dowódca radiostacji wojskowej w Wilnie. To on odpowiadał za całą logistyczną i techniczną stronę przedsięwzięcia. Kilka lat potem wspominał: „Wdrapaliśmy się na dach gmachu Braci Jabłkowskich. Widok cudowny, miejsca na dachu sporo, w sam raz, by postawić jeden maszt antenowy. Drugi umyśliliśmy ulokować w ogródku Sztrala po przeciwnej stronie ulicy". Jak pisze dalej, wszystko poszło błyskawicznie: „Urlop z wojska, wyjazd do Warszawy na przyjęcie aparatury przyszłej kukułki wileńskiej, próbne montowanie w Warszawie, dobór personel…"[2]. Ostatecznie z Domem Braci Jabłkowskich nic nie wyszło, więc znaleziono ładną willę na Zwierzyńcu, nad samym brzegiem Wilii przy ulicy Witoldowej 21. Mała Agnieszk-

[1] *Radjo nadawcze dla Wilna*, „Słowo", 28.04.1927.
[2] *Od 0,5 kw do 50 kw*, „Kurjer Wileński", 8.11.1936.

eprasa.pl fc728fc9e1

ka była rozczarowana, kiedy się dowiedziała od Babetki, że nazwę ulicy nadano na cześć wielkiego księcia Witolda, a nie jej ojca.

Na kierownika programowego szefowie Polskiego Radia wybrali Hulewicza. Oczytany erudyta z notesem pełnym sławnych nazwisk dał dowody, że jest świetnym organizatorem. Okazał się przy tym doskonałym PR-owcem. Stacja wileńska jeszcze nie nadawała, a już informowała publiczność o swoich pracach za pośrednictwem gazet. Radio fascynowało Hulewicza. Nareszcie „stworzenie poważnego organu dla Kresów i zaznajamianie Polski z Wileńszczyzną" stało się możliwe.

Z klepiącego biedę urzędnika literata zamienił się w potentata dysponującego najnowszą techniką i pieniędzmi. Wynajął duże mieszkanie w kamienicy na Antokolu naprzeciwko kościoła Świętych Piotra i Pawła. Trzeba się było wdrapywać aż na czwarte piętro, żeby się dostać do pięciu pokoi z łazienką i kuchnią. „Wybrali to mieszkanie, gdyż z okien roztacza się wspaniały widok na Wilię, na drugi brzeg, na panoramę miasta"[3] – wspominała Agnieszka. Wyciągnął z magazynów Reduty ukochany fortepian, sekretarzyki, biurka i ogromną, pamiętającą dzieciństwo w Kościankach, kunsztownie intarsjowaną gdańską szafę – dla Agnieszki „szafę zaczarowaną". Babetka przechowywała w niej wszystkie najważniejsze skarby: albumy ze zdjęciami, wianek ślubny, atłasowy pantofelek, kosmyk włosów nieżyjącego męża, ulubione książki, filiżanki i herbatniki… Hulewiczowie zaczęli w Wilnie zapuszczać korzenie.

Jesienią 1927 roku, kiedy nowy szef radia biegał jak w ukropie, żeby zdążyć z przygotowaniem programu, Tadeusz Łopalewski, siedząc za swoim biurkiem w pokoju z jednym oknem wychodzącym na katedrę, a drugim na ulicę Zamkową, napisał widowisko jasełkowe *Betlejem ostrobramskie*. Był przekonany, że oddał prawdziwy hołd królewskiej przeszłości miasta. „Przez scenę, której tło stanowiła architektura ulicy Ostrobramskiej, przesuwały się postaci historyczne, podniesione do rzędu symbolów, oraz typy współczesne"[4] – wspominał. Widowisko spodobało się Reducie i zostało wystawione w teatrze. Jednak składanie hołdu Wilnu to zadanie niebezpieczne, bo jak taki „pan przyjezdny" wlezie pomiędzy domowo-królewskie pamiątki miasta i niezręcznie się obróci, to zawsze jakąś odziedziczoną po przodkach filiżankę stłucze. Jasełka Łopalewskiego, zdaniem Czesława Jankowskiego, obrażały „ducha tutejszości". Hulewicz, niezrażony fumami „Słowa", postanowił zaprosić Redutę do studia i wykonać *Betlejem ostrobramskie* dla słuchaczy, zanim jeszcze radiostacja wileńska zaczęła oficjalnie działać. Co więcej – namówił szefów, żeby spektakl transmitować na kraj i pierwszy wileński utwór literacki puścił na całą

[3] A. Hulewicz-Feillowa, *Rodem z Kościanek*, dz. cyt., s. 104.
[4] T. Łopalewski, *Czasy dobre i złe*, dz. cyt., s. 131.

eprasa.pl fc728fc9e1

Polskę. Hulewicz zrobi z literatury znak firmowy Wilna w eterze, a z miasta drugą obok Warszawy kolebkę Teatru Polskiego Radia.

Do uruchomienia stacji przygotowywała się także prasa. „Słowo", zrobiwszy przegląd sygnałów dźwiękowych innych stacji regionalnych, oświadczyło: „Wobec tego i nam przychodzi obmyślić sobie sygnał radjostacji wileńskiej". I udzieliło wskazówek: „Powinien to być sygnał oryginalny, wyrażający naszą odrębność regjonalną"[5]. Poproszono czytelników o nadsyłanie pomysłów. A tych było co niemiara. Przeważali zwolennicy tradycji, którzy postulowali o róg myśliwski, śpiew wilgi, kuranty ze *Strasznego Dworu* – w końcu Moniuszko, obywatel z Mińszczyzny, mieszkał wiele lat w Wilnie i był traktowany jak swój. Ktoś wymyślił, by grać wojskową pobudkę Korpusu Ochrony Pogranicza. Znalazł się i zwolennik sztuki nowoczesnej – proponował chrzęst trzęsionej blachy. Ostatecznie wybrano głos kukułki „jako symbol borów i puszcz Wileńszczyzny"[6]. „Kurjer Wileński" opisywał czytelnikom pomieszczenia radiowe:

> noga tonie w miękkim dywanie koloru „fraise", którym wysłane jest całe studio; takiegoż koloru są kotary, układające się w gustowne fałdy, przyczem, jak nam wyjaśnił miły towarzysz, kotary zasłaniające poszczególne ściany, są ruchome, tak że w zależności od rodzaju audycji można część ścian odsłonić lub zasłonić, przez co zmieniać tłumienie i akustykę sali. Na specjalnej podstawie stoi malutki, milczący, ale tak napawający strachem dusze artystów… mikrofon[7].

Uroczysta inauguracja odbyła się w niedzielę, 15 stycznia 1928 roku, równo trzy lata po przybyciu Hulewicza do miasta. Zaczęła się od ogólnopolskiej transmisji mszy świętej z bazyliki wileńskiej. Po południu do otoczonej ogrodem miniaturowej willi na Witoldowej zjechały wszystkie znakomitości wileńskie: arcybiskup metropolita Romuald Jałbrzykowski, wojewoda Władysław Raczkiewicz, rektor uniwersytetu Marian Zdziechowski, profesorowie, generałowie. Na miękkich dywanach zrobiło się tłoczno, kiedy eminencje i magnificencje wypełniły malutkie pomieszczenia i zakamarki. Orkiestra odegrała hymn państwowy, zaśpiewał chór męski. Następnie goście przeszli do gabinetów dyrektorskich gdzie podejmowani byli herbatką przez dyrektorów Pikiela i Hulewicza. „Ogólnie biorąc, uroczystość udała się w zupełności" – podsumowało „Słowo"[8].

---

5 *O sygnał wileńskiej radiostacji*, „Słowo", 16.12.1927.
6 M.J. Kwiatkowski, *Narodziny Polskiego Radia. Radiofonia w Polsce w latach 1918–1929*, Warszawa 1972, s. 277.
7 *Wycieczka na radjostację wileńską*, „Kurjer Wileński", 8.12.1927.
8 *Uroczyste poświęcenie radiostacji wileńskiej*, „Słowo", 17.01.1928.

eprasa.pl fc728fc9e1

*

Wrzawa gazetowa wokół stacji wileńskiej zrodziła taką atmosferę oczekiwania, że jak donosiło „Słowo", ze sklepów zaczęły znikać odbiorniki radiowe. Nie wszyscy sprzedawcy nadążali za popytem i klientom zdarzało się odejść z kwitkiem[9]. Elektrit zaczął produkować proste i tanie radia własnej konstrukcji, mogące odbierać stacje znajdujące się w niewielkiej odległości. Na biednej Wileńszczyźnie świetnie się sprzedawały – w 1927 roku w regionie było zaledwie tysiąc siedmiuset abonentów radiowych, po trzech latach już siedmiokrotnie więcej. W tych liczbach zaklęty jest pierwszy sukces wileńskiej fabryki.

Przedsiębiorcy postanowili rozpocząć dodatkowo produkcję samych skrzynek do aparatów, które wkrótce stały się ich sztandarowym osiągnięciem. Pod koniec lat trzydziestych modny stawał się bakelit, z którego wykonywane były telefony, cygarniczki, kule bilardowe i obudowy radioodbiorników. Szefowie Elektritu wykazali się tradycyjnym wileńskim konserwatyzmem i uważali, że tylko drewniana skrzynka gwarantuje doskonały dźwięk. Bo czyż można sobie wyobrazić bakelitowe skrzypce Jaschy Heifetza?

Dzięki produkcji tanich aparatów Elektrit przez kilka lat rozwijał się błyskawicznie. Jednak żeby walczyć o pozycję lidera, musiał pomyśleć o zamożnych klientach, a ci są skłonni płacić wyłącznie za wysoką jakość. Młodziutka firma mierzyła się z zagraniczną konkurencją, przede wszystkim z holenderskim Philipsem i z niemieckim Telefunkenem. Oba zagraniczne koncerny miały w Polsce tylko montażownie i składały odbiorniki z gotowych części. Numerem jeden był Philips – najwięcej sprzedawał i najwięcej wydawał na reklamę. Elektrit musiał sięgać po zagraniczne licencje, żeby nie przegrać w tym wyścigu. Po krótkiej współpracy z firmami z Berlina, przerwanej dojściem Hitlera do władzy, podpisana została umowa z wiedeńską Minervą.

W latach 1934 i 1935 wybuchały strajki. Podczas jednego z nich zaczęła się palić stolarnia. Wywoływali je nie związkowcy z fabryki, ale komuniści z zewnątrz. Na plakatach atakowali oni i właścicieli, i związkowców: „Związek, w którem jesteście, nie przedsięwziął nic, aby odeprzeć atak kapitalisty! Towarzysze! Przełamcie swoją hańbiącą bierność!"[10] – apelowali bez większych sukcesów. Elektrit był największym wileńskim pracodawcą, a polski rynek chłonął coraz więcej radioodbiorników. W 1936 roku Polska plasowała się na dwudziestym pierwszym miejscu w Europie pod względem liczby słuchaczy, ale na szóstym, za Niemcami, Anglią, Francją,

[9] *Kronika radjowa*, „Słowo", 14.01.1928.
[10] H. Berezowski, *Towarzystwo Radiotechniczne Elektrit. Wilno 1925–1939*, Warszawa 2011, s. 55.

eprasa.pl fc728fc9e1

Włochami i ZSRR, pod względem liczby stacji nadawczych. Trend był jasny – wzrośnie liczba kupowanych aparatów.

Pomieszczenia na Wileńskiej zrobiły się za małe. Latem 1936 roku na obrzeżach Wilna przy ulicy Szeptyckiego pod numerem 6 wyrósł nowy budynek fabryki o trzech kondygnacjach. Na starym zdjęciu wygląda imponująco niczym nowoczesny pałac z ogromnymi skrzydłami. Tego roku Elektrit wypuścił pięćdziesiąt cztery tysiące aparatów, a wartość sprzedaży wyniosła milion dwieście tysięcy dolarów. Wkrótce w sezonie zespół liczył tysiąc dwieście osób, miał własną gazetkę i drużyny sportowe. Zakład pracował pełną parą od września do kwietnia, potem produkcja zamierała. Wiosną i latem dwudziestoosobowe laboratorium pod okiem szefa Pawła Szulkina wykuwało niepodległość Elektritu i tworzyło nowe modele na kolejny sezon. Musiały uwieść klientów świeżym fasonem niczym stroje u wytrawnego projektanta mody. Na początku z taśmy zjeżdżały bezosobowe B, S, czy Z z trzycyfrowymi numerami, których nie sposób zapamiętać. Od 1933 roku odbiorniki dostawały już imiona, które miały pomagać klientom w wyborze modelu. Opera z ciemnego drewna o miękko zaokrąglonych rogach jest „instrumentem muzycznym dla najwybredniejszych miłośników muzyki", a wysoki Majestic o wyglądzie bramy do egipskiej świątyni ma „zasięg światowy"[11]. Ich cena wahała się od dwustu do tysiąca złotych. Radia różniły się technicznie – te na baterie przeznaczone były dla dworków i miejscowości bez prądu.

Chwolesowie i Lewin nie skąpili pieniędzy i wysyłali swoich inżynierów na wystawy światowe, żeby byli na bieżąco z nowinkami technicznymi i przywozili literaturę. Od godziny trzynastej do piętnastej laboratorium przekształcało się w czytelnię. Elektrit dodał do produkcji aparaturę nagłaśniającą. Zimą nad wieloma polskimi ślizgawkami płynęła muzyka z Elektritowych głośników, na niejednej konferencji dyskusje przelewały się przez Elektritowe mikrofony.

Właścicielom firmy powodziło się dobrze, mieli własne mieszkania przy Kalwaryjskiej (Nachman pod numerem 11, Hirsz pod 29, a Samuel pod 37), samochody i telefony. Inżyniera Hirsza Chwolesa odnajdujemy na liście pasażerów wycieczkowego statku Polonia w sierpniu 1932 roku. Rozkład kajut, plan obiadów i kolacji przynoszą powiew luksusu i morskiej bryzy. Pływali po Morzu Północnym, a ster trzymał wilnianin Mamert Stankiewicz „Znaczy Kapitan". Berta, żona Samuela, popłynęła z synem Borysem na długi rejs po Morzu Śródziemnym. Chłopakowi szczególnie utkwił w pamięci Tanger w Maroku. Potem młody Chwoles został wysłany do Anglii, do gimnazjum. Musiał być trudnym chłopcem – może rozpieszczonym? – bo szkoły zmieniał często. Na koniec wylądował w college'u Frensham Heights, w któ-

[11] Tamże, s. 65 i 69.

eprasa.pl fc728fc9e1

rym panowały liberalne zasady, mocno kontrastujące z surową architekturą budynku w stylu Tudorów. Stąd poszedł na studia do Oksfordu. W 1939 roku poważnie zachorował. Złapał gruźlicę, na dodatek czekała go poważna operacja kręgosłupa. Rodzice kupili wtedy dom pod Oksfordem i spędzali w nim sporo czasu, by móc pielęgnować przebywającego w szpitalu syna.

Do firmy braci dołączył trzeci z Chwolesów, Aleksander. Na jego nazwisko na Wileńskiej 24 zarejestrowane zostało Towarzystwo Radiotechniczne „Eternit", zajmujące się handlem. W roku 1937 Elektrit rozpoczął międzynarodową ekspansję. Sukces na tym polu zaczął się od Wystawy Przemysłu Metalowego, Elektrotechnicznego i Radiowego w 1936 roku w Warszawie. W alejce prowadzącej do olbrzymiego pawilonu radiowego pod nogami zwiedzających chrzęścił żwir. Elektrit zajmował pierwsze stoisko. Z wielkich okien światło padało na ascetycznie białe ściany i proste stoliki ustawione na ciemnej podłodze. Drewniane obudowy radioodbiorników dyskretnie odbijały słońce. Z powodu zainteresowania publiczności wystawę przedłużono o tydzień. Elektrit dostał złoty medal.

Rok później na międzynarodowej wystawie w Paryżu w polskim pawilonie zaprezentowano tylko jeden odbiornik – Elektritu. We Francji zdobył wyróżnienie, a w greckich Salonikach rok później – Grand Prix. Wszystkie te nagrody torowały drogę eksportowi. Najpierw do krajów europejskich – Bułgarii, Litwy, Estonii, Finlandii, Szwecji, Rumunii, Grecji, Jugosławii, Turcji, Portugalii, Francji, Holandii, Malty. Do Austrii eksportowano z wileńskiej fabryki same skrzynki, dlatego wiedeńskie mieszkania zapełniały eleganckie, drewniane obudowy. Kres temu położył anszlus. Minerva zerwała kontrakt z żydowską firmą, ale Chwolesowie i Lewin mogli się już łatwo obyć bez Austriaków.

W tym szalonym tempie nie uniknęli wpadek. W 1938 roku Elektrit przygotował pięćset odbiorników dla Brazylii. Cały zespół włożył mnóstwo energii w to, żeby przygotować radio specjalnie do warunków tropikalnych – niestety po kilku miesiącach przestawały one działać. Inżynierowie nie poddawali się i laboratorium pracowało nad ulepszeniami. W tym samym roku Elektrit pokazywał swoje produkty w Ahmadabadzie w Indiach. „W czasie trwania wystawy w godzinach popołudniowych publiczność zwiedzająca słuchała audycyj radiowych indyjskich stacyi na odbiornikach »Elektrit«, które ze względu na wysoką sprawność techniczną i piękną formę zewnętrzną wzbudzały powszechny podziw"[12] – pisała z zachwytem „Codzienna Gazeta Handlowa" w styczniu 1938 roku.

[12] Tamże, s. 54.

eprasa.pl fc728fc9e1

Ukraiński rak

Piotr Pogorzelski

Wielu ukraińskich weteranów wojny z Rosją nie może znaleźć sobie miejsca w cywilu. Do tego dochodzą problemy psychiczne i psychosomatyczne: rozdrażnienie, bezsenność, agresja, czyli zespół stresu pourazowego. Żołnierze mają wrażenie, że przeszli przez takie piekło, że nikt z cywilów ich nie zrozumie. Matka, żona ani kolega z pracy.

W czasie siedmiu miesięcy, gdy Roman służył na ukraińsko-rosyjskim froncie, zdarzyły się dwa samobójstwa i dwa zabójstwa, w tym jedno okrutne, zakończone poćwiartowaniem zwłok. Kolega zabił kolegę śpiącego łóżko w łóżko. Dla wielu ukraińskich wojskowych piekło zaczyna się jednak nie w momencie przyjazdu do strefy zero, gdzie przeciwników widać bez lornetki, a po powrocie do cywilnego życia.

Statystyki Prokuratury Wojskowej mówią o kilku samobójstwach wśród żołnierzy tygodniowo, zarówno w jednostkach, jak i w okopach. Pod koniec lutego informowano ogółem o 518 wojskowych, którzy zabili się w czasie całego okresu konfrontacji na wschodzie.

– Chłopak był na warcie, jako oficer o północy zadzwoniłem do niego spytać, jak sytuacja. Powiedział, że nudy, pośmialiśmy się. Położyłem się spać – wspomina Roman, który służył pod Toreckiem. Dwie godziny później odebrał telefon: mamy „200", czyli zabitego. Nie było żadnego ostrzału, żadnej dywersji. Po prostu samobójstwo.

Trudno podliczyć tych, którzy zakończyli swoje życie samobójstwem już w cywilu. Czy jeśli wojskowy zabił się po powrocie, a w pożegnalnym liście jako powód podał konflikty z żoną, to trzeba to liczyć jako śmierć w wyniku wojny? Czy może te problemy i tak były wcześniej, a po powrocie z frontu pojawiły się z większą siłą, czy może w ogóle nie mają nic wspólnego z tym, że wcześniej walczył? Na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. Nie ma jednak wątpliwości, że wielu wojskowych potrzebuje pomocy.

Wojna wyostrza zmysły

– Po powrocie musiałem się leczyć u psychologa przez pół roku – mówi Roman. Gdy przyjechał do domu, nie mógł spać, pił. Zresztą na froncie są też alkohol i narkotyki. Nie tylko te słabe, jak marihuana, ale też mocniejsze. Giną leki przeciwbólowe.

eprasa.pl fc728fc9e1

Ludzie szukają ucieczki od tego, co widzieli. Wielu z byłych uzależnionych wraca do nałogu. Nikt z moich rozmówców nie mówi jednak o tym jako o masowym zjawisku. Nikt jednak nie zaprzecza, że ono istnieje. Wojsko walczy z tym, jak może, począwszy od kar finansowych przekraczających rozmiar miesięcznej pensji, aż do tłumaczenia: nie można pić alkoholu nie dlatego, że to jest złe, a dlatego, że 200 gramów wódki w przypadku ewentualnego ataku wroga oznacza mogiłę.

Roman nie brał na froncie, tak zresztą jak w życiu codziennym, za to z jego apteczki zniknął nalbufin, opioidowy lek przeciwbólowy. Po powrocie sięgnął jednak po alkohol. Do psychologa w przychodni rejonowej zaprowadziła go żona, która sama poszła tam wcześniej.

To dość typowa historia, mężczyźni rzadko zgłaszają się sami. Podobnie jest nie tylko na Ukrainie, ale też w Polsce, w Stanach Zjednoczonych czy w Danii. Wojskowi są takimi samymi ludźmi jak cywile, tylko z ostrzejszymi problemami.

Na froncie kontakt z psychologami jest ograniczony. Lepiej jest w bazach wojskowych. Do strefy zero psychologowie przyjeżdżają od czasu do czasu. Żołnierzy częściej za to odwiedzają duchowni. To dla wojskowych także wsparcie, choć zarówno psychologowie, jak i sami kapelani zapewniają, że jedni drugich nie zastąpią. Są tacy, którzy wybiorą duchownego, inni pójdą do psychologa. Nawzajem kierują do siebie potrzebujących. Część psychologów szkoliła kapelanów.

– Psychologowie i księża mają podobną pracę. Do nas ludzie nie chodzą się pochwalić nowym samochodem, a po to, żeby powiedzieć, że mają jakiś problem – podkreśla psycholog wojskowy Andrij Kozynczuk.

Zgadza się z tym kapelan 30. Samodzielnej Brygady Zmechanizowanej z Nowogrodu Wołyńskiego ojciec Serhij Dmitrijew z Ukraińskiej Prawosławnej Cerkwi Kijowskiego Patriarchatu. W kazaniach stara się mówić nie o wojnie, a o tym, jak ważny jest kontakt z bliskimi, jakby przygotowując wojskowych na wcześniejszy czy późniejszy powrót do domu.

– W Wielkanoc mówiłem im o tym, że dwa tysiące lat temu miłość pokonała śmierć, a teraz też widzą śmierć, ale ona zostanie pokonana przez miłość – wspomina.

Dla wielu wojskowych, którzy przez kilka miesięcy żyją na kilkudziesięciu metrach z tą samą grupą osób, ogromnie istotne jest pojawienie się kogoś nowego, dlatego kapelani często rozmawiają z żołnierzami o wszystkim, głównie o sprawach świeckich. Według Serhija Dmitrijewa, nie zawsze działa tu mechanizm „jak trwoga, to do Boga".

– Wojna wyostrza zmysły i odczucia. Jak ktoś kocha, to bardziej, jak nienawidzi, to mocniej. Jeżeli w człowieku jest wiara, to ona staje się mocniejsza. Jeśli są wątpliwości, to one się stają silniejsze – przyznaje kapelan.

eprasa.pl fc728fc9e1

Koledzy z batalionu bliżsi niż rodzina

Teraz Serhij Dmitrijew współpracuje ze wspomnianym wyżej Andrijem Kozynczukiem, z wykształcenia psychologiem, który sam też leczył się pół roku po powrocie z frontu. Do profesji wrócił po rewolucji godności, wcześniej zajmował się biznesem. Krępy trzydziestotrzylatek z wojskowym tatuażem na przedramieniu, ubrany, jakby dopiero wrócił z frontu, umawia się ze mną w restauracji prowadzonej przez weteranów. Na ścianach wiszą flagi poszczególnych oddziałów. Ta restauracja to też sposób zbiorowej terapii.

Mówi mi o tym, że wielu weteranów nie może znaleźć sobie miejsca w cywilu. Do tego dochodzą problemy psychiczne i psychosomatyczne: rozdrażnienie, bezsenność, agresja, co często określane jest ogólnie jako zespół stresu pourazowego (PTSD). Żołnierze mają wrażenie, że przeszli przez takie piekło, że nikt z cywilów ich nie rozumie. Niezależnie od tego, czy jest to matka, żona czy kolega z pracy.

– Wojna zmienia ciebie, a inni oczekują, że wrócisz taki, jaki byłeś wcześniej. I właśnie tutaj dochodzi do konfliktu – podkreśla Andrij Kozynczuk.

Wydaje się, że ktoś, kto wraca z wojny o niepodległość kraju, powinien cieszyć się powszechną atencją. Tak jednak nie jest. Stosunek do weteranów jest różny.

Na ten problem zwraca uwagę także Inna Muratowa, psycholożka z Charkowa, która w swojej pracy pomaga między innymi weteranom.

– Po powrocie to są inni ludzie, z innymi wartościami. Żony mówią, że chcą, żeby on był taki jak wcześniej. A on już nie będzie – mówi.

Co więcej, rodzina już nie jest dla nich „swoimi", bliżsi stają się koledzy z batalionu. Tymczasem trzeba się adaptować do zwykłego codziennego życia. W dodatku tracą oni coś, co moglibyśmy nazwać nieformalnym statusem bohatera, który zabijał, żeby przeżyć.

– Ludzie pytają siebie po powrocie, kim są, jaka jest ich rola. Na froncie dokładnie wiesz, co masz robić. Nawet jeśli nie strzelasz. Po prostu remontujesz swoją ciężarówkę i wiesz, że od tego zależy czyjeś życie. Tam jest jedna rola, a tu jest wiele, one się nakładają, każdy od ciebie czegoś chce – podkreśla Andrij Kozynczuk.

Lekarz psychiatra Andrij Hajdabrus dodaje, że podobne mechanizmy funkcjonują w naszym codziennym życiu, gdzie także rozdrażnienie i problemy psychiczne pojawiają się w momencie, gdy ktoś zmienia swój tradycyjny sposób życia. Podobnie jest w sferze wojskowej:

– Pojawiają się problemy, gdy cywil trafia do wojska, wojskowy trafia na front, później trafiają do cywila. Oni starają się adaptować do nowych form życia – podkreśla.

Ta adaptacja przebiega też na froncie. Paradoksalnie tam jest jednak łatwiej.

eprasa.pl fc728fc9e1

– Może być ostra reakcja na stres, zmęczenie wojną. Może ktoś mieć kłopoty ze snem, być wykończony. Ale tam ludzie muszą współpracować, żeby przeżyć. Nie ma czasu na przeżywanie bólu – mówi Andrij Kozynczuk.

Wiele traum wraca później. Gdy ginie twój kolega, wiesz, że jest ci źle, ale musisz dalej walczyć. Inni cię w tym wspierają. W cywilu pojawia się pustka, którą wypełniają wspomnienia. Pojawia się poczucie winy, że mogłeś coś zrobić, aby zapobiec śmierci. Mogłeś inaczej się odnosić do zabitego, może wcześniej nie dałeś mu papierosa, nie zrobiłeś kawy.

A co z nieformalnym statusem bohatera? Wydaje się, że ktoś, kto wraca z wojny o niepodległość swojego kraju, powinien cieszyć się powszechną atencją. Tak jednak nie jest. Moi rozmówcy w Charkowie podkreślają, że stosunek do weteranów jest różny. Na wschodzie Ukrainy silne są sympatie prorosyjskie (17 procent mieszkańców Wschodu uważa, że wojnę z Rosją rozpoczęły ukraińskie władze, 54 procent nie ma zdania – być może boją się je ujawnić, aby nie być oskarżonymi o prorosyjskość, a 29 procent wskazuje na separatystów i Moskwę), dlatego były wojskowy czy człowiek w mundurze może usłyszeć cierpkie dla niego słowa, może jednak, wręcz przeciwnie, spotkać się z tym, że ktoś podziękuje mu za to, że bronił Ukrainy, czy nawet wsunie do kieszeni banknot. To pierwsze podejście może mieć negatywne konsekwencje – mówi mi Oksana Mir'zajewa, młoda psychiatra, która pracuje w szpitalu w Charkowie.

– W społeczeństwie mamy podział: jedni uważają ich za bohaterów, a inni mówią: myśmy was tam nie wysyłali i nic wam nie jesteśmy winni. To cofa adaptację i może wywołać poważniejsze problemy, które później mogą spowodować chorobę wymagającą leczenia – opowiada.

Gdy wódka nie pomaga

Co zatem robić? Jak pomóc żołnierzom i byłym wojskowym? Szczególnie, że państwo pomaga w bardzo ograniczonym stopniu. Oksana Mir'zajewa pracuje w szpitalu wojskowym w Charkowie, ale działa też w organizacji o długiej nazwie, która jednak dość dobrze obrazuje to, czym się zajmuje: Kompleksowa Pomoc Psychologiczna Uczestnikom Operacji Antyterrorystycznej.

– Z jednej strony pracujemy jako specjaliści – lekarze – i pomagamy w leczeniu problemów psychicznych. Pracujemy z syndromami, symptomami i diagnozami. Z drugiej strony mamy lekarzy pierwszego kontaktu (internistów), którzy pracują z chorobami ciała. Są też psycholodzy, którzy pracują z następstwami bojowej traumy i pomagają przystosować się do nowych warunków życia cywilnego – tłumaczy mi, na czym polega kompleksowe podejście.

eprasa.pl fc728fc9e1

Organizacja istnieje formalnie od 2017 roku, choć tak naprawdę grupa pracowała niemal od początku wojny. Teraz jednak, po prawie pięciu latach jej trwania, następuje etap formalizacji. I jest to ogólna tendencja na Ukrainie. Coraz więcej wolontariuszy wykrusza się ze swoich działań, są wykończeni psychicznie, sami potrzebują pomocy psychologów, nie wszyscy także się sprawdzili, przez pewien okres było wiele osób, które miały dobre chęci, brak im było jednak umiejętności.

Wszyscy moi rozmówcy zgadzają się co do tego, że ogromną rolę odgrywa wzajemna pomoc samych weteranów. I dotyczy to nie tylko pomocy *stricte* psychologicznej, choć tutaj też to jest ważne. O tym, że można ją uzyskać, weterani dowiadują się często od swoich kolegów. Nie tylko się dowiadują, ale też przekonują, że to działa.

– Ktoś myśli, że u niego wszystko jest dobrze, ale dowiaduje się, że jego kolega poszedł do psychologa i jest mu lepiej. Kolega jest autorytetem i wtedy ten ktoś chce zwrócić się do nas – mówi Andrij Kozynczuk.

Są też tacy, którzy widzą, że otoczenie kompletnie ich nie rozumie, znajomi stawiają wódkę i przekonują, że to rozwiąże problemy. Tymczasem sami wojskowi widzą, że to niczego nie daje. Kolejna możliwość, a właściwie argument, to strach przed rozpadem rodziny, utratą pracy.

Są miejsca, gdzie weterani właściwie cały czas spędzają razem. Tak jest w budynku weterana w jednej z sypialnianych dzielnic Kijowa. Prowadzi go Stowarzyszenie Uczestników, Weteranów i Inwalidów Operacji Antyterrorystycznej i Działań Bojowych.

Rozmawiam z jego działaczką, młodą, nie więcej niż trzydziestoletnią historyczką z wykształcenia, Olgą Charkiną. Trudno uwierzyć, że ta niewysoka, delikatna brunetka ubrana w kurtkę dżinsową i co chwila poprawiająca długie czarne włosy pomaga twardym w powszechnej opinii mężczyznom, którzy walczyli na wschodzie kraju. Działała społecznie, jak zresztą wielu wolontariuszy, zaczynała jeszcze w czasie rewolucji godności, później pomagała tym, którzy walczyli na wschodzie. Organizacji, w której pracuje, wsparcia udzielają z kolei biznesmeni, miejscowe władze czy tak jak na początku Akademia Nauk Ukrainy. Państwo także ma programy grantowe, ale są one bardzo zbiurokratyzowane, a czasem rodzą się podejrzenia, że konkursy są ustawione pod konkretnego zwycięzcę.

Niszczyć czołgi, zrobić pizzę

Wróćmy jednak do tego, co najważniejsze, czyli do samej pomocy. W domu weterana są byli już wojskowi, którzy nie mają gdzie wrócić. Niektórzy stracili swoje domy na wschodzie kraju w wyniku działań wojskowych, część mieszkała na terytoriach kontrolowanych obecnie przez separatystów i powrót oznaczałby pewną śmierć.

eprasa.pl fc728fc9e1

Są też tacy ludzie jak Mykyta, biznesmen z Kijowa, który po powrocie z wojny nie mógł znaleźć sobie miejsca we własnym domu, a później odeszła od niego żona. Olga Charkina mówi, że często są to też osoby, które w swoim miejscu zamieszkania nie mają kontaktu z innymi żołnierzami i nie mają z kim porozmawiać o tym, co przeżyły. Wspomina też o tym samym, o czym mówiła mi Oksana Mir'zajewa z Charkowa – o konieczności kompleksowych działań.

– Nie ma sensu kogoś leczyć, gdy on nie ma co jeść i gdzie żyć. Żaden psycholog nie pomoże, jeżeli człowiek nie wie, gdzie będzie spać jutro. Dlatego mamy leczenie i adaptację społeczną na bazie domu weterana – podkreśla.

Istotna w adaptacji jest także wspólna praca. Dlatego na Ukrainie popularne są przedsiębiorstwa prowadzone przez weteranów. I bynajmniej nie chodzi tutaj o agencje ochrony czy działalność kryminalną, a o normalny, uczciwy biznes.

– Inicjatywy pracy pomagają przebywać w tym środowisku, do którego wojskowi się przyzwyczaili, i rozmawiać z ludźmi tym samym językiem, do którego się przyzwyczaili. Oni ich rozumieją i przyjmują takimi, jacy są – mówi psychiatra Andrij Hajdabruz.

Z kolei kwestię normalności tego rodzaju biznesu podkreśla Andrij Kozynczuk, z którym rozmawiam w restauracji prowadzonej przez byłych wojskowych. Weterani mają do siebie zaufanie, a ich klienci dobrze wiedzą, że idą na kawę czy pizzę właśnie do żołnierzy, którzy walczyli na froncie, bądź też kupują od nich konkretny produkt. To też zmienia podejście społeczeństwa do tej grupy.

– Przy czym tu działają prawa biznesu. Biznes upada, jeśli jest niesmaczne jedzenie czy jest za drogo. Niezależnie od tego, czy ktoś był dobrym żołnierzem, czy złym. Mogłeś niszczyć dziesiątki czołgów, a i tak pizza jest zła. I to jest metoda adaptacji do działającego systemu, do społeczeństwa. To jest miejsce spotkania społeczeństwa i weteranów – podkreśla Andrij Kozynczuk.

Olga Charkina z kolei zwraca uwagę na składnik społeczny tego rodzaju przedsiębiorczości. Jej zdaniem, mało kto wśród weteranów zaczyna swój biznes tylko po to, żeby zarobić.

– Raczej robią to, żeby pomóc komuś: dzieciom zabitych wojskowych, swoim towarzyszom, pomóc w rehabilitacji i wesprzeć inne organizacje weteranów. Chłopcy mówią, że muszą być silni, niezależni, w tym finansowo. Żeby nie prosić, a samemu zarobić. Zależy im też na tym, żeby zatrudniać kolegów z wojny – dodaje.

Piotr Pogorzelski jest redaktorem i dziennikarzem Polskiego Radia.
Stały współpracownik „Nowej Europy Wschodniej".

eprasa.pl fc728fc9e1

Naddniestrze w cieniu kołchozów

Magdalena Chodownik



Pomnik Lenina przed budynkiem rządowym w Tyraspolu, stolicy Naddniestrza. Naddniestrze jest miejscem, w którym zachowały się nie tylko widoczne ślady po dawnym Związku Radzieckim, ale też estetyka tamtej, minionej już epoki. Ta przetrwała w zaskakującym wymiarze. Nie brakuje tu też sowietonostalgów, którzy z tęsknotą patrzą w przeszłość i ze zmartwieniem w przyszłość.

...esa.pl fe728c9e1



Vladimir, Dubosary, Naddniestrze. Vladimirowi po rozpadzie ZSSR przyznano część ziemi byłego kołchozu. Kiedyś uprawiał ją z polecenia partii, która dbała o jego pensję. Dziś pozostał z nią sam i z kilkoma narzędziami, w zupełnie obcej mu rzeczywistości. „Nie stać mnie nawet na traktor" – mówi, wzruszając ramionami. „Kiedy dzielili to, co zostało z kołchozów, jednym przypadała ziemia, a innym sprzęt. I tak – ja dostałem ziemię i grabie, a ktoś inny traktor, ale bez ziemi".

eprasa.pl fc728fc9e1



Młodzież kąpie się w rzece, Tyraspol, Naddniestrze. Młodzi ludzie niechętnie zostają dziś na wsiach. Naddniestrze nie jest tu wyjątkiem. Najmłodsze pokolenia chcą żyć w wygodnych miastach i zarabiać tyle, by nie musieć martwić się o to, jak związać koniec z końcem. Naddniestrzańska wieś daleka jest od spokojnej i wesołej.

eprasa.pl fc728fc9e1

Igor, Dubosary, Naddniestrze. Igor dorobił się traktora, choć zaczynał podobnie jak Vladimir. Martwi się, bo nie ma komu przekazać ziemi ani traktora. „Życie rolnika jest bardzo ciężkie, szczególnie tu, w Naddniestrzu – bo jak sprzedawać, gdzie?"







Brama byłego kołchozu, Dubosary, Naddniestrze. Dziś „droga komunizmu", jak dawniej nazywał się kołchoz, wiedzie już tylko do starych, zaniedbanych budynków – po części opuszczonych, po części przekształconych w magazyny czy składy prywatnych firm. Kolektywne bytowanie powoli wypiera nowy ustrój, choć i ten nie pokonał jeszcze starych ruin.


КОЛХОЗ
КОММУНИЗМ



Obchody Dnia Niepodległości Naddniestrza, Tyraspol, Naddniestrze. W mieście młodych ludzi widać więcej niż na wsi, która ma im niewiele do zaoferowania. Tyraspol jest dla nich odskocznią, możliwością albo przystankiem na drodze do jeszcze większych zagranicznych miast.

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

oferta specjalna prenumeraty

10 na 10!



Z okazji **10-lecia** „Nowej Europy Wschodniej"
każdy numer pisma w prenumeracie rocznej
i dwuletniej za jedyne **10 złotych!***

Oferta ważna do końca roku 2018

*Koszt rocznej prenumeraty: 50 złotych, dwuletniej: 100 złotych



Nowa Europa Wschodnia

Szczegóły na: www.new.org.pl

eprasa.pl fc728fc9e1

Recenzje

Parapaństwo jak się patrzy!

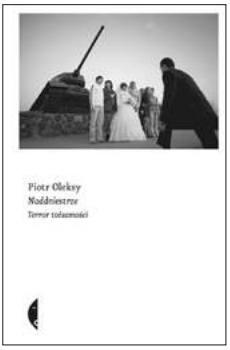

Piotr Oleksy, *Naddniestrze. Terror tożsamości*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Piotr Oleksy jest znany czytelnikom „Nowej Europy Wschodniej" z publikacji w dwumiesięczniku. Nie należy zapominać przy tym, że jest pracownikiem naukowym Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu zawodowo zajmującym się Mołdawią, a szczególnie naddniestrzańską tożsamością. Dlatego właśnie czasem ten naukowy i politologiczny język bierze górę. Choć trzeba przyznać, że autor bardzo stara się, aby opis był dostępny dla zwykłego czytelnika, niebędącego ekspertem w sprawach byłego Związku Radzieckiego. I nawet dla znawców tego obszaru książka Oleksego może być ciekawa, szczególnie że od kilku lat istnieją dwa nowe parapaństwa utworzone przez Moskwę, a ich przyszłość to teraźniejszość Naddniestrza. Właśnie o losach samozwańczych republik donieckiej i ługańskiej myślałem, czytając *Naddniestrze. Terror tożsamości*.

Co zatem możemy znaleźć w tej książce? Już na początku dowiadujemy się, że Naddniestrze jest znane w polskiej kulturze właściwie od wieków, pojawia się chociażby w *Panu Wołodyjowskim*, a połowa ziem tworzących nieuznaną samozwańczą republikę wchodziła przez kilka stuleci w skład I Rzeczpospolitej. I podobnie jak dla Henryka Sienkiewicza było ono „krainą dziwów", tak i dla nas oraz innych obserwatorów z Zachodu nadal nią jest. Tylko określenia są inne, teraz jest to „skansen ZSRR", a nawet „Korea Północna Europy". Akurat te dwie tezy Piotr Oleksy częściowo obala. Podobnie jak stwierdzenie rumuńskiego dyplomaty Sergiu Celaca o tym, że „Naddniestrze (…) to wymyślona przez Stalina baza logistyczna i wywiadowcza na wypadek rosyjskiego uderzenia na południe".

Piotr Oleksy opisuje zatem, jak powstało samozwańcze państewko, jaką rolę odegrała tutaj 14. Armia Rosyjska i miejscowa elita, czyli dyrektorzy fabryk oraz przedstawiciele władz rejonowych, którzy sprzeciwiali się procesom zachodzącym początkowo w radzieckiej, a potem już w niezależnej Mołdawii. Mimo że dla „czerwonych dyrektorów" kwestia polityki historycznej wydawała się fanaberią, to rządzący w Tyraspolu dość szybko

eprasa.pl fc728fc9e1

zdali sobie sprawę, jak ważne jest nakreślenie pewnych podstaw dających uzasadnienie dla istnienia ich parapaństwa. Na tyraspolskim uniwersytecie powołano laboratorium „Historia Naddniestrza". Korzenie parapaństwa były poszukiwane nie tylko w czasach radzieckich, ale we wcześniejszych latach, czyli w XIX wieku, gdy przybyło tam Imperium Rosyjskie. „Moskwa wypromowała w XX wieku ideę narodu mołdawskiego – odrębnego od Rumunów i blisko związanego z Rosją. Drugim, mniej spodziewanym dzieckiem tego sporu jest właśnie Naddniestrze. Gdyby ziemie leżące na lewym brzegu Dniestru nie weszły po II wojnie światowej w skład radzieckiej Mołdawii, lecz stały się częścią Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej, naddniestrzański separatyzm prawdopodobnie nigdy by się nie narodził" – do takich wniosków dochodzi Oleksy. Czy na pewno? Podsycane przez Rosjan nastroje separatystyczne pojawiły się jednak w Zagłębiu Donieckim, części Ukrainy, która ma i miała jeszcze mniejsze podstawy do własnej państwowości niż Naddniestrze. Trudno tam mówić o jakiejkolwiek odrębnej tożsamości poza radziecką czy tą opartą na „ruskim mirze".

Historycy z Naddniestrza odwołują się też do radzieckiej doktryny mówiącej o tym, że Mołdawianie są narodem starszym niż Rumuni oraz że pod względem kulturowym są nierozerwalnie związani z Rosją. „W Tyraspolu podkreśla się wręcz, że to Naddniestrze jest jedynym miejscem na świecie, gdzie zachowała się prawdziwa mołdawska kultura" – czytamy. Jej podstawą ma być rosyjskie prawosławie, a język mołdawski, zupełnie odmienny od rumuńskiego, powinien być zapisywany tylko w cyrylicy. Największym zagrożeniem dla mołdawskiej kultury ma być bowiem jej rumunizacja.

Autor krytycznie podchodzi do tez naddniestrzańskich historyków, zwracając uwagę, że pomijają oni choćby fakt, że struktura narodowościowa regionu nie ukształtowała się w czasach Imperium Rosyjskiego, lecz w drugiej połowie XX wieku, i to właśnie wtedy doszło do rusyfikacji, czy może lepiej powiedzieć: „słowianizacji" tego terytorium. Naddniestrze było bowiem tą częścią Mołdawii, gdzie rozwijał się przemysł, a Mołdawianie byli w mniejszości. Tam rozwijała się tożsamość radziecka, a mołdawskie ruchy patriotyczne były czymś całkowicie obcym. Jeśli jeszcze do tego dochodziły czasem apele o połączenie z Rumunią, budziły one zgrozę w Tyraspolu. Piotr Oleksy trafnie zauważa, że paradoksalnie występujący pod narodowymi hasłami reformatorzy mogli liczyć na wsparcie kierownictwa ZSRR, czyli Michaiła Gorbaczowa, natomiast zachowawcza opozycja, reprezentowana przede wszystkim przez Naddniestrze, mogła opierać się głównie na jego przeciwnikach.

Po krótkiej wojnie w 1992 roku miejscowym władzom udaje się utrzymać w państwowych rękach wielki przemysł. Dzięki temu sytuacja w tym nieuznawanym na świecie parapaństwie była o wiele lepsza niż wówczas na Ukrainie czy w Rosji.

eprasa.pl fc728fc9e1

Piotr Oleksy opisuje też tworzenie się potęgi firmy Sheriff, która faktycznie stopniowo sprywatyzowała państwo, opanowując usługi oraz handel papierosami, alkoholem, paliwem czy produktami spożywczymi. Później jednak dochodziło do sporów między politycznymi reprezentantami Sheriffa i władzami w osobie prezydenta Igora Smirnowa. Co jednak zaskakuje, i autor wyraźnie to podkreśla, w Naddniestrzu jest miejsce na wybory powszechne, w których tak naprawdę nie wiadomo, kto wygra. W pewnym momencie było nawet miejsce na pojawienie się, choć na krótko, organizacji pozarządowych.

Po 2014 roku sytuacja gospodarcza Naddniestrza się pogorszyła. Władze w Kijowie realnie obawiały się, że Rosja wykorzysta nieuznawaną republikę jako przyczółek do ataku na południowe obwody, przede wszystkim odeski. Na szczęście do tego nie doszło, choć Tyraspol przyjął rosyjską retorykę określającą rewolucję godności mianem „przewrotu, na czele którego stała banderowska (ew. neonazistowska) junta". Kijów za to przestał przymykać oko na przemyt płynący z Naddniestrza. Sytuację nieuznawanej republiki pogorszył też ogólny kryzys w regionie. Co więcej, Moskwa przestała tak chętnie wspierać parapaństwo, przekazując zapewne środki na wsparcie separatystów w Zagłębiu Donieckim.

Jak wspominałem, książkę czytałem z perspektywy osoby zajmującej się głównie Ukrainą i właśnie przyszłych losów pseudopaństewek w Doniecku i Ługańsku. Piotr Oleksy dużo pisze o powiązaniach Kiszyniowa i Tyraspola oraz licznych paradoksach. Na przykład Naddniestrze nie płaci za gaz, robi to Mołdawia, po czym wykorzystując ten surowiec, Tyraspol wytwarza prąd, który Kiszyniów kupuje. O absurd zakrawa też przykład drużyny piłkarskiej Sheriff Tyraspol grającej w lidze mołdawskiej. Trudno, przynajmniej w obecnych warunkach, wyobrazić sobie takie powiązania Kijowa z separatystami ze wschodu. Sytuacja tam znacznie się różni, choćby ze względu na to, że bilans ofiar rozpoczętej przez Moskwę wojny sięgnął już 10 tysięcy. To liczba nieporównywalnie większa od tej w Mołdawii. Znając jednak ogromną miłość ukraińskich oligarchów do pieniędzy, nie wykluczam, że w przyszłości współpraca gospodarcza będzie możliwa i że Ługańsk czy Donieck będzie mógł równie swobodnie korzystać z umowy o wolnym handlu między Ukrainą i Unią Europejską, jak obecnie Tyraspol z umowy zawartej między Mołdawią a Wspólnotą.

Wydaje się też, że separatyści z samozwańczych republik donieckiej i ługańskiej nie mogą sobie pozwolić na tak dużą samodzielność w stosunku do Moskwy, jak Naddniestrze – przynajmniej takie wrażenie można odnieść, czytając książkę Oleksego. Choćby ze względu na brak dobrze funkcjonujących zakładów przemysłowych. Nie należy zapominać, że Zagłębie Donieckie było przed wojną regionem dotacyjnym. Można też złośliwie dodać, że takim jest też obecnie, tylko dotacje płyną nie z Kijowa, a z Moskwy.

eprasa.pl fc728fc9e1

Mocny wspólny mianownik w przypadku Naddniestrza i separatystów ze wschodu Ukrainy stanowi los społeczeństw w parapaństwach rządzonych przez polityczno-biznesowe klany, których właściwie jedynym celem jest wzbogacenie się, głównie kosztem własnych obywateli. Piotr Oleksy opisuje, wydawałoby się, banalną, ale dość wymowną historię pieluch, które choć są produkowane w Unii Europejskiej, to po wejściu umowy o wolnym handlu Wspólnoty z Mołdawią wcale nie staniały, a wręcz przeciwnie. Po prostu teraz rządzący w Naddniestrzu postanowili, że będą one wwożone nie z Zachodu, a z Ukrainy, czyli nie będą objęte unijną strefą wolnego handlu. Według autora, pazerność Tyraspola budzi już odrazę nawet w Moskwie, która corocznie przekazywała Naddniestrzu kwotę od 90 milionów do 150 milionów dolarów na pokrycie deficytu budżetowego. Pieniądze dawała do 2017 roku.

W książce też nie zabrakło opisu polskiej mniejszości zamieszkującej Naddniestrze. Choć autor sam przyznaje, że „miejscowi Bułgarzy czy Polacy, ze swoim językiem i odrębnymi obyczajami, pełnią tylko funkcję wieloetnicznego kwiatka do kożucha rosyjskości". Co więcej: „w Naddniestrzu każdy ma prawo do pielęgnowania własnej tożsamości etnicznej… Jeśli tylko nie zaprzecza ona »rosyjskiej tożsamości cywilizacyjnej«".

O tym, jak krucha jest naddniestrzańska tożsamość, świadczy to, że w 2006 roku mieszkańcy tego nieuznawanego na świecie państwa opowiedzieli się w referendum za niepodległością i jednoczesnym dążeniem do połączenia z Rosją. *À propos*, jak przyznaje sam autor: „Naddniestrze jest potrzebne Rosji w tej formie, w jakiej istnieje, lub jako część mołdawskiej federacji". I nie ma tu mowy o dołączeniu do Federacji Rosyjskiej. Paradoksalnie głównym partnerem handlowym Naddniestrza jest nie Rosja, a Unia Europejska.

Zastanawiam się, czy uzasadnione jest używanie terminu „Naddniestrzanie", ale w przypadku Piotra Oleksego może to być konsekwencją uznania, że mają oni własną tożsamość, odmienną od mołdawskiej. Choć jednocześnie autor wydaje się przyznawać, że jest ona sztucznym konstruktem, a nie czymś rzeczywistym. Widzę tu pewną niekonsekwencję.

Książka Piotra Oleksego jest znakomitą analizą polityczną i gospodarczą, jednak trochę po macoszemu autor potraktował kwestie życia codziennego. Jak pisze: „dość często ludzie zadają mi pytanie: »Jak się żyje w państwie nieuznawanym?«. Pierwsza odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy, brzmi: »Normalnie«". Ale to „normalnie" tak naprawdę niesie ze sobą o wiele więcej niż przykłady opisane przez autora, szczególnie że Piotr Oleksy na pewno ma wystarczającą wiedzę na ten temat, chociażby dlatego, że, jak sam pisze, kilkukrotnie przebywał w tym kraju o wiele dłużej niż kilka dni.

Poza tym to, co opisuje wcześniej, pokazuje, że nawet jeśli „Naddniestrzanie uczą się, pracują, płacą podatki, robią zakupy, chodzą na dyskoteki i do restau-

eprasa.pl fc728fc9e1

racji, kochają grillować", to wszystko to dzieje się w jednak dość osobliwym środowisku. W pewnym surrealizmie i może właśnie jeszcze większego opisu tego surrealizmu brakuje.

Naddniestrze. Terror tożsamości Piotra Oleksego opisuje zawiłości i korzenie dość kruchej konstrukcji, jaką jest naddniestrzańska tożsamość. Zdecydowany plus należy się za pełny opis, pewien minus za to, że opis ten jest czasem zbyt naukowy.

Piotr Pogorzelski

Biznes, kobiety i polityka

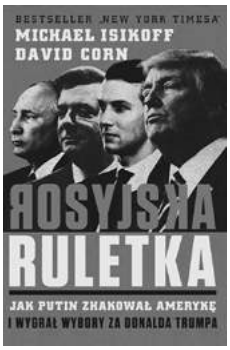

Michael Isikoff, David Corn, *Rosyjska ruletka. Jak Putin zhakował Amerykę i wygrał wybory za Donalda Trumpa*, Agora, Warszawa 2018

Zwycięstwo wyborcze Donalda Trumpa, a także jego zaskakująco konsekwentna wyrozumiała polityka wobec Federacji Rosyjskiej budzą od 2016 roku zrozumiałe zainteresowanie zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i poza ich granicami. Trump konsekwentnie odrzuca zarzuty, że został prezydentem dzięki wsparciu Rosji – w najlepszym razie wynika to z jego rozbudowanego ego i wiary we własne unikatowe zdolności, w najgorszym – z jego świadomej współpracy z władzami rosyjskimi. Jaki był wkład Rosji w wygraną Trumpa? Na to pytanie starają się odpowiedzieć dwaj amerykańscy dziennikarze, od lat śledzący politykę w Waszyngtonie: Michael Isikoff (Yahoo News) i David Corn (czasopismo „Mother Jones").

Autorzy analizują miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu, a w kluczowym okresie wyborów prezydenckich właściwie dzień po dniu cztery lata od listopada 2013 roku, gdy Trump odwiedził Moskwę jako organizator konkursu Miss Universe – wbrew jego oczekiwaniom na gali nie pojawił się wówczas Władimir Putin – do listopada 2017 roku, gdy obaj prezydenci spotkali się po raz drugi na szczycie Wspólnoty Gospodarczej Azji i Pacyfiku w Wietnamie. Warsztat obu autorów opiera się w dużym stopniu na dziennikarstwie śledczym, dlatego nie ujawniają w pełni swoich źródeł. Efekt ich działań przypomina jednak – co zasługuje na pozytywną ocenę – pracę historyka. Książka ma układ chronologiczno-problemowy. Autorzy kreślą szeroką panoramę, która obejmuje najnowsze dzieje stosunków amerykańsko-rosyjskich, karierę biznesową i polityczną Trumpa, rosyjskie działania mające na celu wpłynięcie na wynik wyborów w Stanach Zjednoczonych, wreszcie mozolne wysiłki władz amerykańskich zmierzające do zdemaskowania rosyjskiego ataku. Takie podejście pozwala całościowo przedstawić omawiane zagadnienie, choć zarazem sprawia, że szybkie znalezienie konkretnych informacji na dany temat może być nieco utrudnione. Na-

eprasa.pl fc728fc9e1

leży podkreślić, że autorzy nie gonią za sensacją – co bywa przypadłością dziennikarzy śledczych – i starannie oddzielają swoją wiedzę od domysłów innych – dotyczy to zwłaszcza wspomnianego już pobytu Trumpa w Moskwie w 2013 roku.

Zdaniem Isikoffa i Corna zainteresowanie Trumpa Rosją miało charakter w istotnym stopniu biznesowy, choć czytając książkę, można odnieść wrażenie, że Rosja stała się jego *idée fixe*. Dlaczego – na to pytanie autorzy nie dają całościowej odpowiedzi, pomijając wzmiankę o tym, że obecny prezydent Stanów Zjednoczonych doceniał rosyjskie kobiety, zwłaszcza fakt, że „nie wiedzą, co to moralność".

Trump próbował wejść na tamtejszy rynek nieruchomości po raz pierwszy w 1988 roku, jeszcze w czasach Związku Radzieckiego, następnie w 1996 roku. Marzył o tym, że w centrum Moskwy stanie Trump Tower. W 2006 roku został producentem wykonawczym rosyjskiej wersji programu telewizyjnego *The Apprentice*. Rok później rozpoczął szeroko zakrojoną kampanię marketingową, by sprzedawać w Rosji Trump Vodka. W 2013 roku zorganizował w rosyjskiej stolicy konkurs Miss Universe. Być może nawet kampania prezydencka miała służyć między innymi wzmocnieniu jego pozycji na rosyjskim rynku. Może nawet nie chciał wygrać albo nie rozważał takiej możliwości… – wskazywałyby na to niektóre prywatne rozmowy z okresu kampanii wyborczej.

Putin chciał przede wszystkim zaszkodzić Hillary Clinton. Choć amerykańska sekretarz stanu była w pierwszych latach rządów Baracka Obamy główną autorką amerykańskiej polityki resetu, w następnym okresie stała się zwolenniczką zaostrzenia polityki wobec Rosji, dostrzegając niepokojące zmiany w tym kraju. Rosyjski przywódca był wściekły na amerykańską administrację za interwencję w Libii; uważał, że Stany Zjednoczone dążą również do przewrotu w Rosji, czego przejawem miały być antyrządowe protesty po wyborach parlamentarnych w 2011 roku. Być może Rosjanom chodziło o osłabienie Clinton jako prezydent, w czym pomógłby słaby wynik i chaotyczny przebieg wyborów. Być może chcieli wesprzeć Trumpa z uwagi na jego sympatię wobec Rosji, choć nie jest to pewne. Autorzy raczej nie wierzą w to, że Rosja dysponuje kompromitującymi amerykańskiego prezydenta nagraniami z jego pobytu w Moskwie w 2013 roku, choć przytaczają szczegółowo krążące na ten temat – ich zdaniem, niesprawdzone, a zatem niewiarygodne – informacje.

Aby zrealizować swe cele w odniesieniu do wyborów w Stanach Zjednoczonych, Rosja wykorzystała sformułowaną w 2013 roku przez generała Walerija Gierasimowa koncepcję wojny informacyjnej. Rosyjscy hakerzy włamali się na serwery Krajowego Komitetu Partii Demokratycznej (DNC), a także na prywatne konto Johna Podesty, szefa kampanii Clinton. Znalezione tam materiały, ukazujące między innymi pazerność Clintonów (płatne wykłady niemal dla każdego na każdy temat), a także niechęć

eprasa.pl fc728fc9e1

i uwłaczający stosunek do kontrkandydata z rodzimej partii Berniego Sandersa, były następnie w kluczowych momentach kampanii rozpowszechniane przez portal WikiLeaks, którego założyciel Julian Assange już wcześniej był kojarzony z Rosją. Kolejnym elementem rosyjskiej ofensywy było masowe wykorzystanie trolli internetowych, botów i prorosyjskich mediów. Hakerzy dokonali również włamań do stanowych systemów wyborczych, zwłaszcza baz wyborców. Te ostatnie działania raczej nie mogłyby w zasadniczym stopniu zmienić wyniku wyborów; miały natomiast na celu szerzenie chaosu i umożliwienie podważenia rezultatów, zwłaszcza gdyby wygrała Clinton. Autorzy trafnie diagnozują najważniejsze elementy rosyjskiej wojny informacyjnej, choć najwięcej uwagi poświęcają sprawie włamań na konta członków Partii Demokratycznej, pozostałe sprawy traktując nieco po macoszemu.

O ile można przyjąć, że do 2016 roku zainteresowanie Trumpa Rosją miało charakter biznesowy, względnie erotyczny, a Rosjanie nie mieli wobec niego sprecyzowanych planów, o tyle gdy Amerykanin podjął decyzję o starcie w wyborach, obie strony zaczęły przejawiać chęć zacieśnienia kontaktów, co zaowocowało wizytami ludzi z otoczenia Trumpa w Moskwie i ich spotkaniami z Rosjanami w Nowym Jorku. W otoczeniu kandydata republikanów pojawiły się też osoby blisko związane z Rosją, takie jak Paul Manafort, wcześniej konsultant byłego prezydenta Wiktora Janukowycza i rosyjskiego oligarchy Olega Deripaski, który został doradcą kampanii Trumpa. Nie ma jednoznacznych dowodów na to, by wspomniane kontakty przyniosły wymierne korzyści kandydatowi republikanów, choć ten konsekwentnie wypowiadał się o rosyjskim prezydencie w superlatywach. Można podejrzewać, że ekipa Trumpa miała zawczasu dostęp do niektórych planowanych publikacji WikiLeaks. Z pewnością natomiast starała się wykorzystać zamieszczane przez portal materiały niewygodne dla Clinton, co jednak nie jest ani zaskakujące, ani niezgodne z prawem.

Clinton zabrakło do zwycięstwa 77 tysięcy głosów w trzech stanach: Wisconsin, Michigan i Pensylwanii. Do jej porażki przyczyniło się wiele czynników: problem z komunikacją z wyborcami, nieumiejętność „zagospodarowania" zwolenników Sandersa, śledztwo w sprawie korzystania przez nią z prywatnego konta pocztowego w okresie, gdy była sekretarzem stanu, wreszcie „wrzutki" WikiLeaks. Zarazem dla Trumpa „rosyjski czynnik" był problemem, bo osłabiał jego wiarygodność. Podsumowując, nie sposób stwierdzić, w jakim stopniu Rosja wpłynęła na wynik wyborów. Z pewnością natomiast uznała go za swój sukces.

Najbardziej poruszająca jest w omawianej książce bezczynność i bezradność Stanów Zjednoczonych wobec rosyjskiej ingerencji. Choć Krajowy Komitet Partii Demokratycznej wiedział o włamaniu, początkowo za radą specjalistów nie podjął zdecydowanych działań – ci chcieli bo-

eprasa.pl fc728fc9e1

wiem namierzyć hakerów, a nowe środki bezpieczeństwa mogły ich przepłoszyć. Ponadto DNC nie poinformował o ataku innych komórek partii demokratycznej, co ułatwiło kolejne ataki. Prezydent Barack Obama i FBI nie chcieli nagłaśniać rosyjskich działań w przededniu wyborów, obawiając się oskarżenia o to, że próbują wpłynąć na ich wynik. Z podobnych powodów znaczenie rosyjskiej ingerencji minimalizowali niektórzy przywódcy republikanów, uważając informacje na ten temat za próbę dyskredytacji ich kandydata. Sam Trump oczywiście konsekwentnie wszystkiemu zaprzeczał, nawet gdy jako prezydent elekt dostał od amerykańskich służb szczegółowe informacje na temat działań Rosji. Ta wyłaniająca się z kart książki słabość Stanów Zjednoczonych to być może najcenniejszy przyczynek do rozważań o skuteczności wojny informacyjnej i słabości systemów demokratycznych wobec tego rodzaju wyzwań.

Podsumowując, mimo drobnych zastrzeżeń jest to z pewnością książka godna polecenia – nie dlatego, że przynosi ona przełomowe informacje w kwestii zwycięstwa Trumpa, ale dlatego że stanowi ona pogłębione, rzeczowe studium na temat największej „operacji wyborczej" Rosji w państwach zachodnich.

Andrzej Szeptycki

Gruzja oczami inteligenta



Gogi Gwaharia, *Załzawione okulary. 4 dekady historii Gruzji w 34 scenach*, tłum. Magdalena Nowakowska, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław–Wojnowice 2018

Książka *Załzawione okulary. 4 dekady historii Gruzji w 34 scenach* jest eklektycznym pamiętnikiem popularnego gruzińskiego filmoznawcy Gogiego Gwaharii, będącego równolatkiem polskiego krytyka filmowego Tomasza Raczka. Odwołanie do telewizyjnego partnera Zygmunta Kałużyńskiego jest jak najbardziej na miejscu. Obydwaj panowie są gruntownie wykształceni (jeden po tbiliskiej ASP, drugi po warszawskiej Akademii Teatralnej), od lat prowadzą programy telewizyjne o tematyce filmowej oraz podzielają liberalny światopogląd. Pozycja ta wydana w Gruzji w 2013 roku stała się prawdziwym bestsellerem. Autor prowadzi czytelnika zarówno przez swoje życie prywatne, jak i szkolno-zawodowo-towarzyskie, równolegle opisując historię Gruzji, Związku Radzieckiego oraz kina – tak gruzińskiego, jak i europejskiego. Opowieść Gruzina zaczyna się na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, a kończy w 2004 roku wraz z dojściem do władzy Micheila Saakaszwilego. Dzienniki Gwaharii wymagają od czytelnika niema-

eprasa.pl fc728fc9e1

łej znajomości gruzińskich dziejów najnowszych, kultury, realiów społecznych czy nawet topografii stołecznego Tbilisi. Osobom kompletnie niezorientowanym w europejskiej kinematografii lektura zapisków gruzińskiego krytyka filmowego może nastręczać pewnych trudności.

Wydarzenia historyczne, takie jak zastój epoki Leonida Breżniewa, pierestrojka Michaiła Gorbaczowa, era Eduarda Szewardnadzego, zarówno za czasów radzieckich, jak i niepodległej Gruzji, czy w końcu okres chaosu krótkich rządów Zwiada Gamsachurdii, wojny domowej oraz walk z Abchazami i Osetyjczykami stanowią tło dla opowieści snutej przez pochodzącego z inteligenckiej rodziny autora. Towarzyszą temu wspomnienia o narodzinach zamiłowania do kina, drodze szkolnej, relacji z rówieśnikami czy godzinach spędzanych w tbiliskich kinach, do których Gwaharia dostawał się różnymi fortelami. Nie mając pieniędzy na bilety, w czasie przerw między seansami przesiadywał w kinowej toalecie, czytając komunistyczne gazety zastępujące deficytowy papier toaletowy. Wchodził też na seanse przeznaczone dla dorosłych. Autor pisze o studiach, doktoracie, pracy na uniwersytecie w Tbilisi, podróżach do Moskwy i Paryża oraz pracy w gruzińskiej telewizji. Gruzin dość często krytykuje tbiliską inteligencję czasów komunizmu i lat dziewięćdziesiątych, zarzucając jej konformizm i snobizm, ma też nader sceptyczny stosunek do gruzińskiego duchowieństwa (ciekawa jest scena scysji z grubym popem na stacji benzynowej w stolicy, gdzie duchowny z nowoczesną komórką w ręku blokował swym mercedesem wyjazd Gwaharii). Wspomina słynnego ormiańskiego reżysera Siergieja Paradżanowa, z którym miał sposobność uczestniczyć w festiwalu filmowym w Paryżu – oraz innych sławnych reżyserów gruzińskich i rosyjskich. Pierwotnie Gwaharia sam chciał tworzyć filmy, jednak przy wyborze takiej ścieżki kształcenia spotkał się ze zdecydowanym sprzeciwem swojej rodziny. Ponadto w książce możemy znaleźć wiele ciekawych anegdot: a to o próbie rzucania palenia (powrót nastąpił w związku ze stresem spowodowanym nocnym przepisywaniem na maszynie doktoratu pełnego błędów językowych, i to na dzień przed jego obroną), o Romce handlującej płytami i zdjęciami gwiazd zachodniej muzyki przed kinem w Tbilisi, którą młody Gwaharia zaprosił na film (podczas seansu Romka skradła mu herb i szablę przywiezioną przez dziadka z podróży do Hiszpanii, w trakcie której poznał potomków gruzińskiego królewskiego rodu Bagrationów). Gwaharia w końcu wspomina swoją babkę profesorkę, która była wielką miłośniczką kina (to dzięki niej młody Gogi stał się kinomaniakiem), a zarazem nie rozumiała zamiłowania do muzyki oraz starannie dobierała kolegów swojemu wnukowi, przejawiając przy tym bufonowaty snobizm. W książce znajdziemy jeszcze wiele opowieści o interesujących miejscach, osobach, zdarzeniach, festiwalach czy filmach. Dla mnie najciekawszym wątkiem była praca Gwaharii w gruzińskich sta-

eprasa.pl fc728fc9e1

cjach telewizyjnych przy realizacji programów dotyczących kina (*Sarkmeli* w publicznej telewizji oraz *Psycho* w Rustawi 2), jego walka z cenzurą za komuny i w ostatniej dekadzie XX wieku, zmagania z konserwatywnymi widzami wydzwaniającymi do studia i złorzeczącymi prowadzącemu, rozmowy z gośćmi czy w końcu rozwożenie ich do domów po programie własnym autem.

Opowieść Gwaharii może w czasie lektury pierwszych kilkudziesięciu stron tworzyć wrażenie chaosu, swoistego wymieszania wielu wątków. Jednak z każdą kolejną stroną treść ulega uporządkowaniu i wszystkie historie tworzą spójną i logiczną całość, którą czyta się niemal jednym tchem. Pewnym utrudnieniem w lekturze jest niestety dość słaba korekta polskiego tłumaczenia. Ale to chyba jedyny minus ponad pięciuset stron lektury. Z niecierpliwością czekam na kolejny tom zapisków Gwaharii, tym razem odnoszący się do zmian polityczno-kulturalnych epoki Micheila Saakaszwilego i Bidziny Iwaniszwilego.

Wojciech Wojtasiewicz

Tu jest Turcja

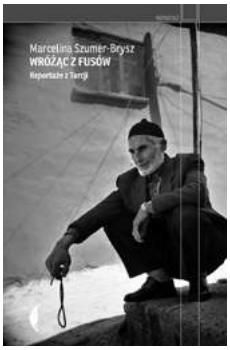

Marcelina Szumer-Brysz, *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Marcelina Szumer-Brysz rozpoczyna książkę *Wróżąc z fusów. Reportaże z Turcji* niemal sielankowym opisem: „Na plaży Pamucak tłumy, jak zwykle w sobotę. Koce, dywany, leżaki i ręczniki rozłożone w cieniu miniaturowych palm. Niektórzy ignorują zakaz grillowania i w najlepsze pieką na ogniu köfte, małe wołowe pulpeciki, i plastry bakłażana z fioletową skórką. Zapach kremu do opalania miesza się z aromatem jedzenia, gdzieniegdzie pyrkoczą opalane węglem drzewnym bądź patykami samowary, bez których część Turków nie rusza się ani na plażę, ani w żadną dłuższą trasę".

Idylla? Na to wygląda, choć przypada ona na specyficzny moment. Jest 16 lipca 2016 roku. Ledwie kilka godzin wcześniej w Stambule i Ankarze doszło do wojskowego zamachu stanu. Zbuntowana część armii zwróciła się przeciw rządowi i prezydentowi Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi, powołała Radę Pokoju i wydała komunikat głoszący, że próba obalenia rządu spowodowana jest koniecznością obrony demokracji oraz poszanowania konstytucji i praw człowieka, które są w Turcji za rządów Erdoğana ła-

eprasa.pl fc728fc9e1

mane. Turecki prezydent, zanim w błyskawicznym tempie powrócił z wakacji, zdążył wygłosić telefoniczną odezwę do narodu, w której nawoływał Turków do wyjścia na ulice w obronie dotychczasowego porządku. W starciu wojskowych z prorządowymi demonstrantami w ciągu kilku godzin zginęło ponad trzysta osób. Po zdławieniu krwawego zamachu prezydent ogłosił stan wyjątkowy oraz zawiesił Konwencję Praw Człowieka. Po niedługim czasie rozpoczęły się masowe aresztowania, a rząd zaczął represjonować nie tylko oskarżonych o wzniecenie rebelii, ale także zwykłych obywateli „podejrzanych o popieranie puczystów".

Tłumy biwakujące na plaży jeszcze nie wiedzą, jakie będą reperkusje nieudanego puczu. Czytelnicy zaś nie wiedzą, czy relaksujący się Turcy starają się odreagować wydarzenia sprzed kilku godzin, by nabrać sił do prowadzenia długich dyskusji i snucia teorii spiskowych (w czym, jak podkreśla autorka, są niekwestionowanymi mistrzami), czy może w ten sposób wyrażają *désintéressement* wobec ostatnich zawirowań. Ta niepewność w stosunku do motywacji bywalców Pamucak (których można – czy też wręcz trzeba – traktować jako przedstawicieli tureckiego ogółu) w doskonały sposób oddaje charakter Turków. „Zdążyli przywyknąć do sztormów, trzęsień ziemi i innych kataklizmów, które od stuleci dotykają ten pachnący kawą kraj. Z zawieruchami społecznych przemian i politycznych awantur radzą sobie podobnie. Czasem walczą, czasem się poddają. A wieczorem siadają, popijają raki, anyżówkę, rozprawiając godzinami, zawsze głodni wiedzy o drugim człowieku".

Swoiste rozdwojenie społeczeństwa tureckiego, które odzwierciedla podstawowy podział polityczny (mówiąc w skrócie i w wielkim uproszczeniu: zwolennicy dyktatury Erdoğana i jego wizji państwa narodowo-religijnego kontra spadkobiercy idei Mustafy Kemala Atatürka, widzący Turcję jako państwo świeckie, nowoczesne i europejskie), jest w zasadzie głównym motywem tematycznym tych reportaży. Wspomniany podział na dwie frakcje jest symboliczny i z pewnością niepełny, Turcja bowiem podzielona jest nie tylko światopoglądowo – pęknięcia wewnątrz tego kraju widać także w opozycjach religijnych, etnicznych, klasowych czy terytorialnych (jak bowiem porównać bogaty, europejski Stambuł z, dajmy na to, prowincjami południowo-wschodniej Anatolii?).

O różnorodnych obliczach dzisiejszej Turcji Szumer-Brysz opowiada jak rasowa reporterka, wsłuchując się historię zwykłych Turków. Zanim jednak odda im głos, przeanalizuje biografie dwóch „samców alfa" – Erdoğana i jego oponenta Fethullaha Gülena, islamskiego duchownego, który stoi na czele organizacji Hizmet, oskarżanej o działania prowadzące do wybuchu antyrządowej rebelii. Znamienne, jak podobne są ich życiorysy (ewentualnie – jak umyślnie zostały spreparowane). Obaj kreują się na zbawców, ojców narodu, którzy chcą sięgnąć po rząd dusz. Ich losy i postawy życiowe, przekładające się

eprasa.pl fc728fc9e1

na dokonywane przez nich decyzje polityczne, są wyrazistą ilustracją szerszego zjawiska społecznego, a mianowicie nierówności płci. Według uświęconego tradycją schematu turecki mężczyzna jest stworzony do wyższych celów, a kobieta ma mu usługiwać, co w praktyce oznacza społeczną izolację i konieczność podporządkowania się religijnym nakazom. Po dojściu Erdoğana do władzy jest to coraz bardziej widoczne. „Chusty pojawiają się na uczelniach, w urzędach i w Zgromadzeniu Narodowym. Z rynku pracy znikają setki tysięcy kobiet (wskaźnik ich zatrudnienia jest dziś najniższy w historii; zaledwie co trzecia pracuje zawodowo), którym Erdoğan sugeruje, żeby zajęły się domem i rodzeniem dzieci. Co najmniej trojga, a najlepiej piątki. Te, które nie chcą ich mieć, nazywa »półkobietami«. Twierdzi, że Turczynki nie są równe Turkom, bo nie są ani tak silne jak mężczyźni, ani tak mądre".

Nic więc dziwnego, że na bohaterów swoich reportaży Szumer-Brysz wybiera, niejako w kontrze do obowiązującej narracji, głównie kobiety. Są wśród nich kurdyjskie działaczki i syryjskie imigrantki, są nauczycielki i pielęgniarki, są wyzwolone lesbijki, jest nawet prostytutka transwestyta. I są rzesze kobiet zmuszanych do małżeństwa (bywa, że w wieku mocno nieletnim), które, jeśli sprzeciwią się roli rodziców, płacą nierzadko najwyższą cenę, ginąc z rąk ojców, braci lub kuzynów. Honor mężczyzny jest najważniejszy, o czym autorka przypomina także w niezwykle odważnej osobistej relacji ze swojego nieudanego małżeństwa z Turkiem.

Szumer-Brysz kończy książkę zmyślną kodą, w której powraca do dramatycznych wydarzeń opisanych w pierwszych rozdziałach, których głównym bohaterem był Recep Erdoğan, oraz do idei dwóch (czy raczej kilku) Turcji, zestawiając w parze z prezydentem osobę, która stanowi jego przeciwieństwo i stała się jego ofiarą. To dziennikarka i pisarka Asla Erdoğan (trudno nie dopatrzyć się tutaj symboliki, choć będzie to symbolika dość tania, albowiem jest to w Turcji popularne nazwisko), która w swoich artykułach i książkach konsekwentnie opowiadała się przeciw przemocy, stawała w obronie praw człowieka, solidaryzowała się z Kurdami, Ormianami i ze wszystkimi, którzy z powodu swej mniejszościowej przynależności doświadczali dyskryminacji. Jej polityczno-społeczne zaangażowanie nie uszło uwagi rządzących – w sporze Erdoğan vs. Erdoğan zwycięzca może być tylko jeden. W rezultacie pisarka została aresztowana pod zarzutem prowadzenia działalności terrorystycznej. Cytowane przez Szumer-Brysz słowa, które wypowiedziała Asla Erdoğan, stanowią gorzkie memento i są puentą całej książki: „Gdy mówiłam, że nasz kraj zmierza w kierunku totalitaryzmu, i przewidywałam, że dziesiątki tysięcy ludzi trafią do więzień, nawet moi kurdyjscy znajomi twierdzili, że przesadzam". Rzeczywiście, jeszcze kilka lat temu, w roku 2010, kiedy autorka *Wróżąc z fusów* po raz pierwszy przyjechała do

eprasa.pl fc728fc9e1

Turcji, było tam – jak wspomina w epilogu – całkiem beztrosko („Zamachy terrorystyczne i przewroty wojskowe to odległe wspomnienie starszych pokoleń. Ale za kilka lat zmieni się wszystko").

Nieprzypadkowo wypowiedź Asli Erdoğan brzmi jak wróżba. Wszak popularną wśród Turków rozrywką jest wróżenie z fusów po kawie. Jednym z pierwszych tureckich doświadczeń Szumer-Brysz był właśnie taki rytuał, podczas którego jej znajomy, wpatrując się w to, co dostrzegł na dnie filiżanki, opowiadał „o dwóch drogach, dwóch krajach i trudnej decyzji". To wspomnienie sprzed lat, które zamyka książkę, może przypominać reakcje na pucz z 2016 roku – wszystko było ustawione! Ale kto wie? Przecież *burası Turkiye*. Tu jest Turcja, tu wszystko jest możliwe.

Maciej Robert

Idealistyczni anarchiści



Konstanty Usenko, *Buszujący w barszczu. Kontrkultura w Rosji sto lat po rewolucji*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2018

Inspiracją i motywem przewodnim książki Konstantego Usenki jest barszcz Sosnowskiego – przypominająca wyglądem koper, monstrualnych rozmiarów, niebezpieczna dla człowieka i powodująca degradację środowiska przyrodniczego preroślina. Obraz kilkumetrowych koprowatych łodyg dostrzeżony na tle fioletowego nieba rosyjskiej prowincji stał się dla autora punktem wyjścia do opowieści o panoramie rosyjskiej kontrkultury – podobnie odrealnionej i apokaliptycznej. To książka poświęcona romantycznym rockowym nihilistom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, generacji hip-hopu lat dwutysięcznych, artystycznym prowokatorom nowego pokolenia – „buszującym w barszczu [symbolizującym toksyczną dżunglę poradzieckiej rzeczywistości] – outsiderom".

Książka Usenki stanowi specjalistyczne kompendium rosyjskiej muzyki alternatywnej współczesnej Rosji. Wbrew podtytułowi to nie obraz muzycznej sceny niezależnej roku 2017, lecz klimatu, w którym szuka ona dziś inspiracji i wyrazu. Autor sięga do początków nurtów niezależnych, które w Rosji rodziły się w okresie pierestrojki, i przeprowadza czytelnika przez odsłony subkultury stanowiącej rezultat poszukiwań kolejnych generacji młodych wywrotowców. Z kontestatorami sprzed trzydziestu lat współczesne pokolenie niezależnych rosyjskich muzyków wydaje się łączyć podobna furia i powaga, które każą przeciwstawiać się systemowi i społeczeństwu, pokrytemu dziś warstwą patriotyczno-romantycznego mainstreamu, w którym królują nabotoksowane gwiazdy estrady lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych poprzedniego stulecia.

eprasa.pl fc728fc9e1

Buszujący w barszczu... to unikatowa pozycja, dająca głęboki wgląd w fascynujący i zamknięty świat anarchizującej młodzieży. Usenko, unikając antologii i szufladkowania, przypomina kilka ważnych składów muzycznych, które inspirują dziś najmłodsze pokolenie, a po których nie pozostało wiele fachowych relacji. Tłumaczy trudne dla niezorientowanego odbiorcy powiązania i wpływy między poszczególnymi nurtami rosyjskiej subkultury. Zastrzec tu jednocześnie należy, że mimo generalnej troski pisarza o przedstawienie tła omawianych zjawisk niewprowadzony w kontekst rosyjskiej kultury czytelnik może się potykać o sformułowania uważane przez autora za powszechnie znane (jak *mażory* czy *gopniki*).

Usenko co chwila naraża czytelnika na zderzenia z zestawieniami, które wydają się nieoczywiste lub niejasne. Nie tyle stanowią one jednak skutek zaniedbań autora, ile nieodłączny element rosyjskości, pełnej pozostających ze sobą w przedziwnej symbiozie przeciwieństw. Mieszają się tu zatem nawiązująca do bajek oraz młodzieżowej fantastyki naiwność i odrzucający wszelkie wartości nihilizm, garażowa amatorszczyzna i literacko-filozoficzne ugruntowanie tekstów, wyrażająca się w autentycznym niepokoju o kondycję świata wrażliwość i skandalizująca skłonność do pijackich burd, anarchizująca antysystemowość i żal po radzieckim humanizmie.

Autor, zawieszony między dwiema przestrzeniami – Polską i Rosją – dostrzega podobieństwo występujących w obu społeczeństwach mechanizmów. Historia rosyjskich prądów kontrkulturowych może stać się drogą do refleksji nad gnębiącymi oba kraje społecznymi wyzwaniami – narodowym rozwarstwieniem, korupcją elit czy religijnym monopolem. Okazuje się bowiem, że w opisywanym nurcie kontestacji chodzi o destrukcję grożącej społeczeństwu kulturowej sztampy. Bunt, skandal, absurd i draka mają nieść działanie poniekąd oczyszczające, choć sam efekt *katharsis* nie wydaje się za wesoły. To próba powrotu do pierwotnej dzikości, która „oznacza więź z Naturą, bycie częścią ekosystemu, ale i świadomość, że wszyscy zjadają się nawzajem". Uprzytomnienie sobie, że „w każdym człowieku rozprzestrzenia się jego własny wewnętrzny mutant, próbujący wyrwać się spod kontroli" – indywidualne poletko rozpleniającego się, nie tylko przecież w Rosji, barszczu Sosnowskiego.

Magdalena Lejman

Jeden Lwów, dwa plany, czterech przyjaciół, wiele pytań

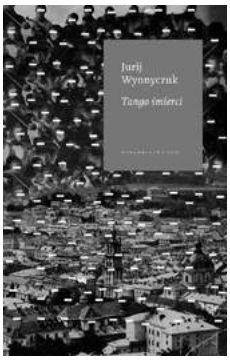

Jurij Wynnyczuk, *Tango śmierci*, tłum. Bohdan Zadura, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław–Wojnowice 2018

Sześć lat po ukraińskim wydaniu *Tan-*

eprasa.pl fc728fc9e1

ga śmierci powieść Jurija Wynnyczuka ukazała się w przekładzie Bohdana Zadury nakładem Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Na Ukrainie była to jedna z najbardziej oczekiwanych książek 2012 roku. Autor, znany z bestsellerowych (cieszących się olbrzymią popularnością także w Polsce) *Lwowskich knajp, Legend Lwowa i Świata lwowskiej kawy*, zapowiadał niejednokrotnie w wywiadach i podczas spotkań autorskich, że w nowej książce podejmie temat współistnienia czterech kultur (niemieckiej, polskiej, ukraińskiej i żydowskiej) w międzywojennym Lwowie. Choć w polskiej literaturze mit ówczesnego Lwowa wydaje się wyeksploatowany i – powiedzmy – oswojony (także za sprawą powieści gatunkowych, na przykład kryminałów Marka Krajewskiego), to w ukraińskiej literaturze jest praktycznie niewidoczny. Do czasu ukazania się *Tanga śmierci* nie powstała na Ukrainie po 1991 roku powieść podejmująca ten temat. Ciekawość czytelników i czytelniczek, oczekiwanie na książkę oraz rozgłos (także za sprawą nagrody Książka Roku BBC), który przyniosła autorowi, wydaje się wprost proporcjonalna do poziomu dyskusji, który wzbudziła. Krytycy z jednej strony piali z zachwytu (Jewhen Stasinewicz), z drugiej – zarzucali Wynnyczukowi wtórność w realizacji tematu, która balansuje na granicy plagiatu (Andrij Drozda).

Jedno jest jednak pewne: *Tango śmierci* należy do literatury popularnej, rządzi się prawami powieści gatunkowej, która czerpie i korzysta ze znanych motywów, mitów i zabiegów. Bez liku tu odniesień do literackich wariacji Dana Browna, Umberto Eco czy Jorge Luisa Borgesa. Nie mylił się ukraiński wydawca, pisząc, że jest to powieść, w której można żyć – postaci są pełnokrwiste, akcja wciągająca, a temat – jak wiadomo – niezwykle interesujący. Przyjęcie takiej perspektywy pozwala dobrze się bawić przy lekturze, dodatkowo dowiedzieć się czegoś o międzywojennym Lwowie i współistnieniu kultur, jeśli jednak oczekujemy, że książka będzie spełniała funkcję powieści historycznej, możemy się długo spierać o fakty i mity. *Tango śmierci* to kolaż z jednej strony powieści obyczajowej, kryminału, z drugiej – archiwaliów, które autor – jak podaje w wywiadach – opracowywał, a to wszystko podlane jest sosem anegdot świetnie znanym z poprzednich książek tego autora.

Tango śmierci zajmuje na mapie literackiej współczesnej prozy na Ukrainie miejsce szczególne – Wynnyczuk z czterech kultur, które bierze na warsztat, specjalnymi względami otacza narrację ukraińską. Dzięki temu zabiegowi wypełnia pewną lukę w pisaniu o międzywojennym Lwowie. Akcja powieści dzieje się na dwóch planach czasowych – przedwojennym (wojennym) i współcześnie. Pierwszy koncentruje się wokół historii przyjaźni czterech chłopców: Jasia Bilewicza (Polaka), Oresta Barbaryki (Ukraińca), Józefa Milkera (Żyda) i Wolfa Jegera (Niemca). Losy przyjaciół połączone są historią pisaną wielką literą. Ich oj-

eprasa.pl fc728fc9e1

cowie, żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej, zginęli w bitwie pod Bazarem w 1921 roku, która była jednym z najważniejszych wydarzeń w kształtowaniu się ukraińskiej tożsamości, niepodległości i patriotyzmu. Jaś, Orest, Józef (Josiek) oraz Wolf poznali się dzięki swoim matkom, które w dziesiątą rocznicę bitwy o niezależność Ukrainy spotkały się (a później zaprzyjaźniły) przy symbolicznej mogile poległych na cmentarzu Janowskim we Lwowie. „Chodziliśmy do tej samej szkoły, i chociaż nie byliśmy równolatkami, zawsze trzymaliśmy się razem, tak że żaden batiar nie mógł nas pobić, a i mieszkaliśmy niedaleko siebie, ja z mamą i Jośko z panią Gołdą na Kleparowie, Jaś z panią Jadzią na Barejowskiej, piętro niżej niż doktor Lem, a Wolf z panią Ritą na Horodockiej. Zbieraliśmy się zawsze przy kościele świętej Anny, a stamtąd już przenosiliśmy się, gdzieśmy tylko chcieli" – czytamy.

Wszyscy czterej pod koniec niemieckiej okupacji we Lwowie stają w szeregach Ukraińskiej Powstańczej Armii, by (choć to oczywiście nie było ich celem) wysadzić się granatami w geście solidarności, kiedy NKWD otacza bunkier, w którym się chowają. Drugi plan to historia Myrki Jarosza, badacza języków martwych, który chce rozwikłać zagadkę starożytnej *Księgi śmierci*. Księga ta zajmuje miejsce szczególne w powieści, ponieważ właśnie z niej pochodzi tytułowy utwór *Tango śmierci* grany przez Milkera na skrzypcach w rzeczonym bunkrze (on jako jedyny przeżył). Dwa plany czasowe łączą się w momencie rozwiązywania zagadki przez lwowskiego profesora, który otrzymuje od ocalałego Miklera rękopis Oresta Bararyki, stanowiący przewodnik i klucz po dziejach Lwowa.

Tango śmierci to powieść bez wątpienia wciągająca na poziomie fabularnym, pozwalająca odkrywać topografię miasta, zwyczaje i życie codzienne, z wartką akcją oraz humorystyczną i anegdotyczną dykcją. To także powieść gatunkowa. Warto o tym pamiętać podczas lektury.

Urszula Pieczek

Szukanie siebie na Bukowinie

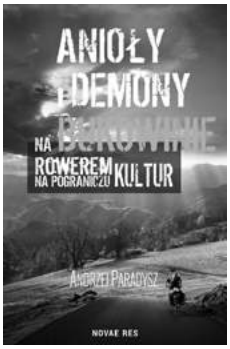

Andrzej Paradysz, *Anioły i demony na Bukowinie. Rowerem na pograniczu kultur*, Novae Res, Gdynia 2018

Bukowina rozciąga się między Karpatami Wschodnimi a Dniestrem, dziś leży na terenie dwóch państw – Ukrainy i Rumunii, ale przed laty należała do historycznej Mołdawii. Mimo zmian przynależności państwowej Bukowina nadal jest regionem, który przyciąga wielu niepowtarzalną górską atmosferą, co potwierdził Andrzej Paradysz w książce *Anioły i demony na Bukowinie. Rowerem na pograniczu kultur*.

Wydana przez wydawnictwo Novae Res książka jest zapisem wyprawy rowerowej autora, który ruszył z rodzinne-

eprasa.pl fc728fc9e1

go Podkarpacia drogą do Bukowiny. Andrzej Paradysz z wykształcenia jest pedagogiem, a jego zainteresowania skupiają się na kulturoznawstwie i antropologii współczesności. Najistotniejszym słowem w tytule jest pogranicze, do którego w wielu wymiarach i na każdym kroku odwołuje się autor. Jak sam zaznacza, pisanie książki było dla niego podróżą w głąb siebie. Z tego powodu trudno zaliczyć *Anioły i demony…* do kategorii literatury podróżniczej. „Zastanawiałem się, kogo spotkam: (nie)ludzkie Demony, a może (nie)boskie Anioły?" – można przeczytać we wstępie. Z jednej strony czytelnik zapoznaje się z zapiskami wyrwanymi z dziennika podróży, pełnymi prozaicznych notatek o cenach zjedzonej pizzy i wypitej mrożonej kawy, z drugiej – autor wybiega szeroko poza materialną rzeczywistość, pozwala sobie na daleko idące aluzje o wszechświecie, geopolityce i religii. Czasami narracja przypomina strumień świadomości. Można uznać to za walor książki, ale i za poważny minus, ponieważ w tych głębokich rozważaniach gubi się sama tytułowa Bukowina, której może szukać czytelnik. Nie sposób przyporządkować jednej formy do omawianej książki. Autor porównywał Bukowinę z archiwalnych przewodników, nawet sprzed stu lat, z dzisiejszą.

Najciekawszymi elementami książki są przytaczane rozmowy ze spotykanymi na drodze ludźmi, głównie mieszkańcami Bukowiny, ale nie tylko. Paradysz udowadnia, że niezwykłe spotkania możliwe są w każdym miejscu, niekoniecznie na krańcach świata. W opowieściach pojawiają się też praktykowane zwyczaje, choćby te związane z drzewami, na przykład kawaler chowany jest z jodełką, która ma zastąpić żonę samotnemu mężczyźnie. Wszystko budzące zachwyt w regionie przypisane jest wielkości Stefana Wielkiego, piętnastowiecznego władcy mołdawskiego, którego kult jest wciąż żywy w Rumunii. Jednak cerkiewna mistyka miesza się z postkomunistycznymi reliktami architektonicznymi, w książce pojawia się też fragment o doświadczeniu sowietyzacji Rumunii, w którym autor widzi wspólne doświadczenie narodów, polskiego i rumuńskiego.

Fizycznym celem podróży było pokonanie rowerem Drogi Transfogaraskiej, biegnącej przez środkową część Rumunii, liczącej około stu pięćdziesięciu kilometrów. Autor opisuje poszczególne odcinki i ważniejsze punkty na wytyczanej trasie, która w trakcie wyprawy przechodziła korekty. Tytułowe anioły i demony związane są z pytaniem o dwoistość ludzkiej natury, które nieustannie zadaje sobie autor książki, analizując rzeczywistość, dzieła sztuki z bukowińskich świątyń i dialogi z napotkanymi ludzi. Bukowina z książki Paradysza przypomina polskie Bieszczady sprzed paru lat, gdzie nie ma miejsca dla słabych ludzi, praca jest ciężka i związana głównie z lasem, a w górach zostają przede wszystkim starsi ludzie, bo młodzi uciekają szukać szczęścia za granicę.

Mimo że autor powołuje się na doświadczenia antropologiczne, przytacza

eprasa.pl fc728fc9e1

wiele wiadomości historycznych, statystyk, to jednak nie można powiedzieć o książce, że ma ona charakter publikacji popularnonaukowej. Głównie z uwagi na zbyt silną obecność samego autora jako obserwatora, komentatora i wreszcie bohatera książki, który niejednokrotnie obarcza czytelnika gorzkimi i subiektywnymi przemyśleniami o rzeczywistości, posługuje się uogólnieniami, nie pozostawia przestrzeni do oceny czytelnikowi.

Elementem podróży na dwóch kółkach było także poszukiwanie śladów polskości na Bukowinie, próba porównania losów Polaków i Rumunów na podstawie doświadczeń historycznych obu narodów. Bukowina nazywana jest „wschodnią Szwajcarią" i „Europą w miniaturze", w kulturowym tyglu znaleźli się też Polacy, którzy od panowania Kazimierza Wielkiego osiedlają się w tym regionie. Autor chciał zobaczyć, jak współcześnie żyją Polacy w Rumunii: odwiedza polskie wsie i domy, centra kulturalne, rozmawia z podtrzymującymi tradycje rodakami. Bycie Polakiem dla Paradysza to „zawieszenie między Wschodem a Zachodem, południem i północą Europy". W Pojanach Mikuli, Majdanie, Pleszach i Nowym Solońcu spotykał się z Polakami, którzy południową Bukowinę traktują jak swoją ojczyznę.

Publikacja wzbogacona jest o wybór literatury o Bukowinie i Rumunii, ale także fotografie wykonane podczas wyjazdu, najczęściej pokazujące rozmówców autora. Jedną ze spotkanych postaci była ukraińska aktorka i modelka Anastasia Brichka, którą autor poznał podczas sesji fotograficznej odbywającej się na ulicach Czerniowiec, miasta będącego sercem Bukowiny. Sesję wykonywał fotograf Sergey Akhremenko.

Debiut literacki Andrzeja Paradysza jest świetnym, choć subiektywnym, wprowadzeniem dla zainteresowanych Bukowiną. Książka może zainspirować czytelnika do własnych poszukiwań, autor daje również garść porad przyszłym odkrywcom tego regionu i udowadnia, że Bukowina jako mozaika różnorodności jest interesująca dla każdego w inny sposób.

Sonia Knapczyk

Kino w kinie

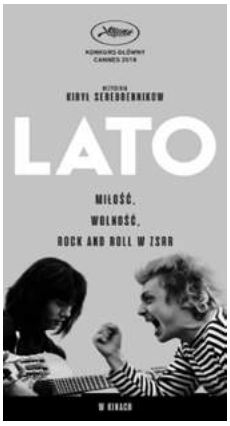

Lato, reż. Kirił Serebrennikow, Rosja 2018

Lato to kolejny rosyjski film, w przypadku którego więcej mówi się o towarzyszącej mu aferze niż o samym obrazie – w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy podobny los spotkał chociażby *Matyldę* czy *Śmierć Stalina*. W czasie prac nad *Latem* w sierpniu 2017 roku reżyser Kirił Serebrennikow został zatrzymany w nocy przez organy bezpieczeństwa i przewieziony z Petersburga do Moskwy. Julia Latynina napisała w „Nowoj Gazietie", że „Od czasów aresztu Wsiewołoda Meyer-

eprasa.pl fc728fc9e1



Materiały promocyjne dystrybutowa GutekFilm

holda w 1939 roku, w Rosji nie zatrzymywano tak znanych reżyserów". O aresztowaniu jednego z czołowych reżyserów teatralnych i rosyjskich zrobiło się głośno, wypowiadał się nawet Władimir Putin. Serebrennikowowi, który był także twórcą i dyrektorem artystycznym teatralnego Gogol-Centr (instytucji w dużym stopniu niezależnej), zarzucono kradzież niemal 4 milionów złotych ze środków publicznych przekazanych Centrum na jeden z projektów. Grozi mu za to do dziesięciu lat pozbawienia wolności. Reżysera osadzono w areszcie domowym, a na sali sądowej umieszczono w klatce jak w przypadku szczególnie niebezpiecznych przestępców.

W momencie zatrzymania nie wszystkie sceny *Lata* były nagrane, choć większość z nich była gotowa. Serebrennikow przekazywał swoje uwagi do pozostałych ujęć, a po kilku następnych miesiącach ukończył montaż filmu – musiał pracować na komputerze bez dostępu do internetu, aby zadośćuczynić warunkom aresztu. Zdążono na festiwal w Cannes, gdzie film został nagrodzony za ścieżkę dźwiękową. Sam reżyser na festiwalu nie mógł się zjawić.

Film opowiada o początkach muzycznej kariery Wiktora Coja, grupy Kino i leningradzkiej sceny muzyki undergroundowej początku lat osiemdziesiątych XX wieku. Nie uderza w Kreml, nie jest gło-

eprasa.pl fc728fc9e1

sem publicystycznym, jakim był chociażby poprzedni film Serebrennikowa *Uczeń* opowiadający o tym, jakie niebezpieczeństwa może przynieść ideologizacja życia społecznego. *Lato* stanowi co najwyżej refleksję nad funkcjonowaniem artysty na marginesie zniewalającego państwa i w tym można doszukiwać się jego aktualności. Prawdopodobnie aresztowanie reżysera akurat w czasie kręcenia *Lata* było koincydencją. Prawdopodobnie, gdyż do dziś nie jest znana przyczyna tak spektakularnego zatrzymania Serebrennikowa latem ubiegłego roku. Prawdą jest, że otwarcie wyznaje on antykremlowskie i prodemokratyczne poglądy.

To dobrze zrobiony i ciekawy film. Obraz jest czarno-biały z nielicznymi wstawkami kolorowymi. Artystycznie jest odważny: Serebrennikow przeplata grę aktorów z animacjami, pokazuje sceny, aby po chwili powiedzieć widzowi, że nie miały one miejsca, i wrócić do głównej osi fabularnej. To z jednej strony portret młodych gniewnych muzyków tworzących kontrkulturę w czasach zastoju późnego Breżniewa na kilka chwil przed wybuchem „muzycznej pierestrojki", z drugiej – hołd złożony ówczesnemu rockowi i punkowi na Zachodzie, który fascynuje też samego reżysera. *Lato* pokazuje Wiktora Coja z okresu, zanim Kino stało się największym hitem radzieckiej kontrkultury. Nie ma w filmie *Gruppy Krovi*, nie poleci *Zwiezda po imieni Solnce*, zabraknie wielkich koncertów. Będzie picie mołdawskiego wina na plaży, kwartyrniki, atmosfera kontestacji, godnej biedy i dekadencji. To nie obraz o uciskanych dysydentach, a film pogodny, w którym radzieccy urzędnicy odmalowani są z przymrużeniem oka, a aby zagłuszyć na chwilę system, wystarczy puścić głośniej Lou Reeda czy Talking Heads.

Film spotkał się z ostrą krytyką niektórych osób w nim sportretowanych – między innymi ówczesnego członka Kina Aleksieja Rybina (po przeczytaniu scenariusza nie zgodził się na wykorzystanie jego wizerunku w filmie) czy lidera zespołu Akwarium Borisa Griebienszczikowa (nazwał scenariusz „kłamstwem od początku do końca"). Jednak *Lato* jest obrazem dość intymnym, skupiającym się nie na wydarzeniach znanych z historii (oraz: wydarzeniach, w których udział brali wspomniani krytycy), ale głównie na miłosno-artystycznym trójkącie Coja i małżeństwa Naumenków: Mike'a (lidera legendarnego zespołu Zoopark) i Nataszy. Natasza jest ostatnią żyjącą spośród tej trójki postaci – ona była główną konsultantką filmu i na jej pamiętnikach bazowano (Coj zginął tragicznie w 1990 roku, Naumenko rok później). Pozostaje wierzyć Nataszy, że właśnie tak to było.

Zbigniew Rokita

eprasa.pl fc728fc9e1

Dodatek specjalny

Rok 1918 w Europie Wschodniej

FUNDACJA WSPÓŁPRACY POLSKO-NIEMIECKIEJ
STIFTUNG FÜR DEUTSCH-POLNISCHE ZUSAMMENARBEIT

Auswärtiges Amt

Publikacja współfinansowana z przekazanych przez Fundację Współpracy Polsko-Niemieckiej środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych Republiki Federalnej Niemiec

osteuropa

Partnerem dodatku jest magazyn „Osteuropa"

Dwóch marszałków

Kyryło Hałuszko

W ciągu stu lat od proklamowania niepodległości przez Polskę i Ukrainę, sytuacji wzajemnego przyciągania – z różnych powodów – nie było między nimi wiele. Tym ciekawszy na tym tle staje się rok 1920, kiedy seria wojennych konfliktów, w które zaangażowane były Polska i Ukraina, doprowadziła do wymuszonego, a może nawet koniecznego sojuszu.

Oba kraje miały inne źródła legitymacji swojej państwowości. Często się o tym zapomina. Polska do rozbiorów była suwerennym państwem, jej elita zachowała w pamięci granice sprzed 1772 roku. Takie podejście odrzucało problem etniczności ludności, która żyła na terytorium „państw historycznych". Etniczne pochodzenie elity danego państwa często nie pokrywało się z pochodzeniem zamieszkującej je ludności.

Ukraińcy wstąpili na międzynarodową scenę polityczną po raz pierwszy w 1917 roku jako naród bez państwa. Swoje oparcie ich naród znajdował jedynie w etnicznej przynależności ludności, zamieszkującej określone terytorium – według rosyjskiego

eprasa.pl fc728fc9e1

spisu powszechnego z 1897 roku i według etnograficznej mapy monarchii austriackiej autorstwa Karla Czörniga. Podobna była sytuacja Estończyków, Czechów, Słowaków, Łotyszy, Litwinów (którzy zatracili się w Rzeczpospolitej i chcieli się „odrodzić") i Białorusinów. Istniały więc narody, ale nie wszystkie mogły powołać się na stare granice państwowe. Doniosły okres I wojny światowej umożliwił tym nacjom podjęcie próby realizacji swoich projektów narodowych.

Niemiecka intryga

Polska wytyczała swoje nowe granice z Niemcami, Czechosłowacją, Litwą, Ukrainą i sowiecką Rosją. Etnograficzne mapy z 1914 roku stawały się nowymi mapami politycznymi, nanoszono na nie jednak poprawki za pomocą argumentu siły. Zasadniczo rubieże nowych państw w Europie Środkowo-Wschodniej miały, zdaniem ententy, opierać się na granicach etnicznych i plebiscytach. Zwłaszcza jednak w przypadku terenów, które zamieszkiwała ludność wymieszana etnicznie, w plebiscytach zazwyczaj wygrywała strona lepiej uzbrojona.

Dla Europy Środkowo-Wschodniej charakterystyczne było niepokrywanie się etnicznej przynależności ludności miast (centrów administracyjnych, kulturowych i gospodarczych) i wsi – te ostatnie swoją masą zamalowywały mapę kolorem danego etnosu. Ludność miejska kształtowała się w wyniku imperialnych procesów politycznych i ekonomicznych, mieszkańcy wsi zaś po prostu żyli wokół miast od wieków, zachowując swoją tradycyjną tożsamość. Dlatego pośrodku Czech była niemiecka Praga, pośrodku Ukrainy – z jednej strony polski Lwów, a z drugiej rosyjski Kijów. Te uwarunkowania miały odegrać ważną rolę w przełomowym czasie po I wojnie światowej.

Każdy naród dostał to, na co zapracował w XIX wieku, z poprawką na interesy potencjalnych imperialnych sojuszników.

W obliczu konfrontacji nie było jednak czasu na rozważanie podobnych spraw. Problemy trzeba było rozwiązywać szybko i krwawo. Aktualnymi dylematami stawały się dojrzałość projektów państwowych i możliwość ich realizacji oraz utrzymania. Chodziło o takie kwestie, jak społeczna konsolidacja, kontrola miast, utrzymywanie armii w stanie mobilizacji, otoczenie geopolityczne i stanowisko mocarstw. Każdy naród dostał to, na co zapracował w XIX wieku, z poprawką na interesy potencjalnych imperialnych sojuszników.

Kontekst geopolityczny zmieniał się niezwykle szybko. Jeśli jeszcze latem 1918 roku wydawało się, że w Europie Wschodniej dominują Niemcy, to już pod koniec tego samego roku Cesarstwo Niemieckie i Austro-Węgry przestały istnieć. Pod-

eprasa.pl fc728fc9e1

pisany przez Ukrainę z państwami centralnymi w lutym 1918 roku traktat brzeski uratował ją przed bolszewicką okupacją, a w ciągu krótkiego okresu po porażkach Berlina i Wiednia Ukraińska Republika Ludowa zdążyła w styczniu 1919 roku zjednoczyć się z Zachodnioukraińską Republiką Ludową. Było to fundamentalne dla najnowszej historii Ukrainy wydarzenie, które świadczyło o sukcesie ukraińskiego projektu narodowego na terytoriach dwóch martwych imperiów. Kijów i Lwów stały się częścią jednego państwa. Sytuacja miała się jednak wkrótce radykalnie zmienić.

Zagrożenie bolszewizmem sprawiło, że ententa zdecydowała się na wspieranie potencjalnie najsilniejszych przeciwników rewolucyjnego Kremla – Armii Ochotniczej Antona Denikina (czyli rosyjskich „białych") i Polski. Zarówno dla Denikina, jak i dla nowej Rzeczpospolitej „projekt ukraiński" nie miał racji bytu. Carski generał nie chciał uznać polskiej niepodległości, a Ukraina była dla niego jedynie Małorosją, częścią rosyjskiego świata. Warszawa z kolei dążyła do odtworzenia granicy z 1772 roku wzdłuż Dniepru. Nie można było wówczas wykluczyć, że powtórzy się sytuacja z drugiej połowy XVII wieku, kiedy Moskwa i Warszawa zawarły umowę ponad głowami ukraińskich hetmanów. Polska i Rosja były starymi i dobrze sobie znanymi politycznymi graczami, tradycyjnymi antagonistami, tymczasem Ukraina była traktowana przez ententę jak „niemiecka intryga".

Nikt nie dostrzegał 30 milionów Ukraińców, którzy według rosyjskich i austro-węgierskich spisów ludności żyli na tym terenie – podobnie jak nie dostrzegano istnienia znacznie mniejszych narodów, na przykład Estończyków. Niemniej nacje te musiały się w końcu samookreślić.

W 1919 roku Denikin podzielił swoje siły i przeprowadził dwie ofensywy – jedną na Moskwę, drugą na Ukrainę. Doprowadziło to do porażki w konfrontacji z „czerwonymi". Na początku 1920 roku perspektywy Białej Rosji wyglądały marnie. Przeciwnicy bolszewików utrzymywali się jeszcze tylko na Krymie.

Wyspa na morzu

Warszawa swój wstrzemięźliwy stosunek do Ukraińców zademonstrowała w trakcie wojny polsko-ukraińskiej lat 1918–1919 w Galicji, czyli wojny przeciwko Zachodnioukraińskiej Republice Ludowej. Lwów, zamieszkiwany przede wszystkim przez Polaków, Żydów i Niemców, był wyspą na rozległym ukraińskim morzu.

Spór o to, do kogo należy Galicja – do polskiego Lwowa czy do ukraińskiej Galicji – można traktować i oceniać na różne sposoby. Na państwo składa się zazwyczaj ciągłe terytorium, a nie kilka enklaw. Niewątpliwie mamy tu do czynienia ze sprzecznością teoretycznych wyobrażeń „działaczy pokojowych" w 1919 roku i miejscowymi realiami. Gdyby ściśle trzymać się koncepcji etnicznej, to Lwów stałby się częścią

eprasa.pl fc728fc9e1



Domena publiczna

Petlura pisał we wspomnieniach: „Jestem przekonany, że słuszność wybranej przeze mnie linii potwierdzi historia".

Polski, znaczna część miasteczek Galicji należałaby do Izraela (oczywiście, gdyby wtedy istniał), a wszystkie wsie regionu stanowiłyby część Ukrainy.

Lwów otrzymywał jednak wsparcie z Polski, korzystając z wojskowych i technicznych zasobów, które Paryż i Londyn przekazały do walki z bolszewikami. Dlatego „Polska historyczna" poszerzyła się o zajętą Galicję (można ten fakt interpretować także tak: „Lwów wyzwolono spod ukraińskiej okupacji" i jednocześnie: „Galicja była okupowana przez Polaków" – to wspaniała przestrzeń dla ideologicznych spekulacji). Latem 1919 roku ukraińska armia wycofała się za Zbrucz. Wspólny atak wojsk Dyrektoriatu Ukraińskiej Republiki Ludowej dowodzonych przez Semena Petlurę na „czerwonych" zakończył się dojściem do Kijowa. Ale i ten sukces był nietrwały.

Równocześnie do Kijowa dotarli rosyjscy „biali". Haliczanie, wiedząc, że Denikin występuje przeciwko Polsce, przestali walczyć. Petlurowcy nie dostrzegali przecież zasadniczej różnicy między białymi i czerwonymi Rosjanami. Drogi dwóch Ukrain się rozeszły, ale dla obu koniec tych dróg był równie smutny.

W początkach 1920 roku petlurowcy zostali internowani na terenach zajętych przez polskie wojsko. Petlurowcy, w odróżnieniu od haliczan, nie występowali bezpośrednio przeciwko Polsce. I petlurowcy, i Polacy walczyli przeciwko „czerwonym". O ile jednak haliczanie w Warszawie jednoznacznie określali się jako obywatele Polski, która połknęła Galicję, to w przypadku oddziałów naddnieprzańskich ta kwestia pozostawała otwarta. Bolszewicy rozpoczęli konfrontację z polskimi wojskami wzdłuż potencjalnej wspólnej granicy, nie pozostawiając żadnych buforów między Moskwą i Warszawą. Armia Czerwona była w szczytowym punkcie swojej kampanii, przesuwała się na zachód, wkraczając na Litwę i do Galicji.

Wówczas pojawiało się dość oczywiste pytanie: jakie granice chce narysować zwycięska strona rosyjska? Kremlowscy marzyciele nie dawali powodu, by wątpić w ich ambicje i awanturniczość w służbie światowej rewolucji. Armia Czerwona doszła przecież do Galicji, która nie była częścią Imperium Rosyjskiego. Ukraina, która poniosła porażkę, i Polska, która stała się kolejnym przedmiotem zainteresowania Kominternu, jechały na jednym wózku. Polska miała skonsolidowane państwo, wspierane przez ententę. Za Ukraińcami przemawiało kilka dywizji w gotowości bojowej i sam fakt, że Ukraina to nie Rosja.

Tajemnica zabrana do grobu

A teraz przejdźmy do ukraińsko-polskiego dialogu. Na początku 1920 roku ukraińskie wojsko pod naciskiem Armii Czerwonej cofnęło się na zajęte przez Polskę Wołyń i Podole. Przewodniczący Dyrektoriatu URL Semen Petlura zwrócił się z prośbą o pomoc do naczelnika państwa polskiego Józefa Piłsudskiego.

eprasa.pl fc728fc9e1

Piłsudski uważał, że niezależna Ukraina jest gwarancją niepodległości Polski. Twierdził: „Bez względu na to, jaki będzie jej rząd, Rosja jest zaciekle imperialistyczna. Jest to zasadniczy rys jej charakteru politycznego. (…) atak na Polskę zależny jest przede wszystkim od kwestii ukraińskiej. (…) Jeżeli sprawa Ukrainy załatwiona będzie na ich korzyść, wówczas pójdą na Polskę (…)".

W nocy z 21 na 22 kwietnia w Warszawie zawarto ukraińsko-polskie porozumienie, znane powszechnie jako układ Piłsudski–Petlura. Polski rząd uznał Ukraińską Republikę Ludową, a Dyrektoriat zrzekł się roszczeń wobec Galicji Wschodniej, Podlasia, Polesia, Chełmszczyzny i zachodniego Wołynia. Wszystkie te tereny były w przeważającym stopniu zamieszkane przez Ukraińców, ale w tym przypadku doktryna etnograficzna została odrzucona na rzecz doktryny przeżycia.

Obie strony 24 kwietnia podpisały również tajną konwencję o przekazaniu przez Polskę pomocy wojskowej Ukrainie.

Następnego dnia polsko-ukraińskie wojsko przekroczyło linię frontu z bolszewikami i rozpoczęło działania wojenne, a już 7 maja wyzwoliło Kijów. Jednak w rezultacie kontrataku „czerwonych" 10 czerwca sojusznicy opuścili stolicę. Cofnęli się pod Zamość i Warszawę i tam w sierpniu zadali ostateczny cios Armii Czerwonej. Zaczęła się nowa ofensywa, która niebawem utknęła w martwym punkcie.

Ukraina była traktowana przez ententę jak „niemiecka intryga".

21 listopada ukraińskie wojsko przekroczyło Zbrucz w kierunku zachodnim. Kampania wojenna zakończyła się dla Ukraińców niczym. Może jedynie dumą z tego, że dywizja pod dowództwem Marka Bezruczki zatrzymała I Armię Konną Budionnego pod Zamościem. Gdyby ta dostała się pod Warszawę, to historia Europy byłaby dziś zupełnie inna.

W kolejnym roku Polska, Rosja sowiecka i marionetkowa sowiecka Ukraina podpiszą traktat ryski, który – bez udziału Petlury – podzieli Ukrainę. Uznanie URL przez Warszawę stało się wówczas wydarzeniem z odległej przeszłości, górę nad deklaracjami wzięła *Realpolitik*.

Dalej zaczynają się spory historyków i polityków. Dlaczego Petlura odstąpił Polsce ziemie etnicznie ukraińskie? Dlaczego Piłsudski chciał więcej, bo domagał się granicy na Dnieprze? Dlaczego marszałek podpisał pokój z „czerwonymi", zapominając o porozumieniu zawartym z Ukraińcami? Dyskusje między polskimi i ukraińskimi historykami dotyczące tego sojuszu toczą się po dziś dzień.

Petlura pisał we wspomnieniach: „Tylko nieuczciwy demagog może pozwolić sobie na mówienie, że »Petlura sprzedał« Galicję, Wołyń i tak dalej. Petlura, jeśli mam być szczery, niesie na sobie odpowiedzialność za historyczny »grzech« i wady ukraińskie, brak organizacji, niski poziom kultury i za nieprzychylne okoliczności w ży-

eprasa.pl fc728fc9e1

ciu narodu ukraińskiego… Droga do ukraińskiej państwowości wiedzie przez Kijów, a nie przez Lwów. Tylko wtedy, kiedy ukraińska państwowość utwierdzi się na górach Dniepru i nad Morzem Czarnym, tylko wtedy można myśleć poważnie o zjednoczeniu ziem ukraińskich, zajętych przez sąsiadów. Każda inna polityka to marzenia, nierealne kombinacje, które doprowadzą do tego, że nie będzie żadnej Ukrainy… Jestem przekonany, że słuszność wybranej przeze mnie linii potwierdzi historia".

Jeszcze bardziej dosadny jest inny cytat Petlury, pochodzący z jego dialogu z przeciwnikami politycznymi: „Wiem, że większość z was nie wierzy w nasz nowy sojusz. Przypomnę wam więc takie powiedzenie: »Tato, czort lezie do domu!« – krzyczy przerażony syn. »Niech będzie i czort, byle tylko nie moskal« – odpowiada spokojnie ojciec". Próżno jednak doszukiwać się w tych słowach rusofobii. Na Ukrainie naddnieprzańskiej walka z „czerwonymi" i „białymi" wojskami rosyjskimi stanowiła sens walki o niepodległość.

Wedle politycznych i militarnych kalkulacji Petlury nie było szans na zdobycie zachodniej Ukrainy. Korzystając jednak z faktu, że nie toczono wówczas konfliktu z Polską (choć gdyby wcześniej zwyciężył on w Kijowie, to ten konflikt stałby się nieuchronny), razem z Warszawą można było starać się odwojować Wielką Ukrainę. Innych wariantów Petlura po prostu nie miał. Warunki, w których się znalazł, jego kalkulacje i motywacje pokrywały się z poglądami Józefa Piłsudskiego o najkorzystniejszym dla Polski systemie stosunków w Europie Wschodniej. W tych poglądach Piłsudski miał niemało wewnętrznych przeciwników. Mimo to marszałek starał się aż po kres swoich możliwości (często potajemnie), balansując w polskim *politicum*, wesprzeć „kartę Petlury" i próbę ukraińskiego rewanżu. Ta współpraca i, co niewykluczone, obopólna sympatia mogły stać się przyczyną zabójstwa Petlury w maju 1926 roku. Jeśli przyjąć wersję o „czerwonym śladzie" w morderstwie, powrót Piłsudskiego do władzy po maju 1926 roku mógł (i powinien był, uwzględniając jego stanowisko w „kwestii ukraińskiej") stać się niewątpliwym zagrożeniem dla ZSRS. Jednak nie jest to udowodnione…

Wedle politycznych i militarnych kalkulacji Petlury nie było szans na zdobycie zachodniej Ukrainy.

W każdym razie, nawet uznając na mocy umowy warszawskiej Piłsudski–Petlura niepodległość i suwerenność URL, wygraną stroną wciąż pozostawała Warszawa, ponieważ tajne porozumienie z 24 kwietnia 1920 roku w pełni kompensowało jej „ustępstwa" w stosunku do umowy pokojowej z 22 kwietnia. Innymi słowy, nawet w razie wspólnego zwycięstwa suwerenność Ukrainy mogła być kontrolowana przez polskich sojuszników. Ale los zdecydował inaczej. Zmęczenie Rosji sowieckiej niekończącą się wojną i utrata nadziei na rewolucję światową zmusiła Kreml do pod-

eprasa.pl fc728fc9e1

pisania umowy już nie tylko z tak poważnym graczem jak Polska, ale też z krajami bałtyckimi. Moskwa robiła sobie przerwę. Teraz już wiemy, że trwała ona niespełna dwadzieścia lat.

Polska otrzymała od „hojnego Lenina" te same ziemie, które wcześniej uzyskała od „przymuszonego" Petlury. Nie stosowała się więc do warunków zawartych w umowie z Petlurą, dotyczących ziem ukraińskich, czyli obowiązku zapewnienia przez obie strony swobodnego i niczym nieograniczonego rozwoju narodowego i kulturalnego – zarówno Polaków na Ukrainie, jak i Ukraińców w Polsce. W 1923 roku przedstawiciele ententy zdecydowali, że suwerenna władza nad Galicją Wschodnią zostanie przekazana Polsce, na której jednak będzie ciążyć obowiązek zapewnienia regionowi autonomii. Ten warunek nie był przez Polskę przestrzegany. W formalnie demokratycznej międzywojennej Polsce Ukraińcy staną się dyskryminowaną mniejszością etniczną (a na stalinowskiej Ukrainie etniczni Polacy zostaną deportowani z terenów leżących przy granicy z Polską). Mimo to za życia Petlury Warszawa długo była gotowa wspierać wschodnich Ukraińców w wysiłkach na rzecz przywrócenia wolności. Te motywacje są zupełnie zrozumiałe w świetle realnej polityki.

Na terytorium Polski przez krótki czas funkcjonował emigracyjny rząd ukraiński. Szybko zwyciężył jednak pragmatyzm i ukraiński rząd emigracyjny przeniósł się do Francji. Najbardziej gościnnym krajem dla ukraińskich emigrantów „niepolitycznych" okaże się Czechosłowacja. Tam powstaną uniwersytety i inne inicjatywy pozwalające pielęgnować ukraińskość. Podobne warunki Czechosłowacja stwarzała także Rosjanom. Tomáš Masaryk był sympatykiem idei pansłowiańskiej i nie odmawiał pomocy Słowianom.

A odpowiedź na pytanie, jak to się stało, że Józef Piłsudski i Semen Petlura znaleźli wspólny język, pozostaje tajemnicą obydwu marszałków.

Przełożyła Paulina Siegień

Kyryło Hałuszko jest historykiem, pracownikiem Instytutu Historii Narodowej Akademii Nauki Ukrainy. Koordynator projektu „Likbez. Historyczny front".

eprasa.pl fc728fc9e1

Wschodnieuropejskie kolonie

Z Janem Claasem Behrendsem, historykiem zajmującym się Europą Wschodnią, rozmawia Krzysztof Mrozek

KRZYSZTOF MROZEK: W stulecie zakończenia I wojny światowej i odzyskania przez Polskę niepodległości polski czytelnik może mieć wrażenie, że to świeżo odrodzona Rzeczpospolita była kluczowym graczem w regionie. Zastanówmy się jednak, jakie znaczenie miał w tym czasie w Europie Środkowo-Wschodniej Berlin?

JAN CLAAS BEHRENDS: Z niemieckiej perspektywy rok 1918 przypominał rollercoaster. Na początku tego roku niemieckie elity myślały, że wygrywają wojnę: upadła carska Rosja, podpisano korzystny pokój w Brześciu Litewskim, prowadzono ofensywę na froncie zachodnim. Wiosną Niemcy mogli odnieść wrażenie, że cel walki rozpoczętej w 1914 roku jest już bliski, a Wielka Brytania – niemal pokonana. Jednak już latem nastał czarny dzień niemieckiej armii. W sierpniu Niemcy stracili inicjatywę na froncie zachodnim i droga do listopadowej klęski stała się krótka.

Z dzisiejszej perspektywy rok 1918 będzie wspominany głównie jako czas wprowadzenia w Niemczech demokracji. Szczególnie przy pojawiających się dziś tendencjach nacjonalistycznych w niemieckiej polityce spodziewam się akcentu położonego na tradycje demokratyczne i upadek monarchii, mniej na przegraną w wojnie.

Z oczywistych powodów Niemcy nie mogą uczestniczyć w świętowaniu zwycięstwa zachodnich aliantów. Nie wiem, czy przedstawiciele Berlina zostaną zaproszeni na paryskie obchody, jak to się niekiedy zdarzało w poprzednich latach. Niemcy zdają się nie dostrzegać stulecia niepodległości hucznie świętowanego w tym i zeszłym roku przez liczne kraje Europy Środkowo-Wschodniej. To niezręczne, ale wpisuje się w asymetrię relacji Niemiec z regionem.

Berlin angażował się w ruchy niepodległościowe na Ukrainie czy Białorusi w końcu I wojny światowej – ruchy uważane w tych krajach za prodemokratyczne. Czy Niemcy pomagały wówczas w rozwoju demokracji i tworzeniu się państw narodowych?

Oczywiście, choć z niemieckiej perspektywy działania te miały przede wszystkim wymiar strategiczny i jasno określony cel: chciano doprowadzić do ostatecznego upadku i podziału Impe-

eprasa.pl fc728fc9e1

rium Rosyjskiego. Niemieckie dowództwo czasu wojny wspierało finansowo ruchy odśrodkowe na terytorium Rosji, sponsorowano nawet Lenina. Działania te zakończyły się sukcesem.

Można na to spojrzeć dwojako: bądź jak na niemieckie wsparcie procesów narodotwórczych, bądź element budowy niemieckiego imperium na wschodzie. Z punktu widzenia Rzeszy powstające państwa na wschodzie nie miały być w pełni suwerenne. „Okupacja" to zbyt mocne słowo, ale z pewnością miały pozostawać w strefie wpływów Berlina.

Skąd pomysł zniszczenia Rosji za pomocą państw narodowych w Europie Środkowo-Wschodniej? Dlaczego niemiecki sztab zdecydował się zarzucić plan Alfreda von Schlieffena, zakładający lekkie tylko osłabienie Rosji, aby wymóc na carze uznanie niemieckich wpływów na Bliskim Wschodzie, a zamiast tego zdecydowano się uderzyć na imperium Romanowów z całą mocą?

Przed 1914 rokiem niemieckie elity obawiały się wzmocnienia Imperium Rosyjskiego. Dziś patrzymy na te wydarzenia przez pryzmat rewolucji, ale u progu wojny Rosja notowała wysoki wzrost gospodarczy, szybko się modernizowała, rozwijała kolej itd. W Berlinie postrzegano to jako zagrożenie.

Niemcy nie chciały walczyć na dwóch frontach. Na tym zasadzały się plany Helmutha von Moltkego i Schlieffena. Nowa koncepcja z 1914 roku zakładała na tyle szybkie pokonanie Francji, aby Rosja nie zdążyła się zmobilizować. Miano wysłać na zachód jak największe oddziały, odnieść szybkie zwycięstwo i wówczas uderzyć na Rosję z całą siłą. Problem lata 1914 roku polegał jednak na tym, że Rosja uderzyła już w pierwszych tygodniach wojny i odniosła znaczne sukcesy. Aby zatrzymać ofensywę rosyjską w Prusach Wschodnich, niemieckie dowództwo było zmuszone wycofać pokaźne siły z zachodu i rzucić je do walki na wschodnim froncie.

Tak właśnie legły w gruzach wszystkie wcześniejsze plany wojenne. Nie udało się szybko opanować Francji, zaczęła się wojna na dwóch frontach, a zwycięstwo okazało się niemożliwe. Niemcy utraciły inicjatywę, a walczące strony znalazły się w klinczu, w którym pozostawały do 1917 roku. Walki trwały, ale linia frontu właściwie się nie przesuwała.

W tym czasie Polska, o czym nieco się w Niemczech zapomina, pozostawała teatrem działań wojennych. Warszawa była przez Niemców okupowana już od 1915 roku. Niemcy okupowały coraz więcej terytoriów na wschód od swych przedwojennych granic, a to prowokowało pytania, jak zagospodarować te ziemie – nie tylko zresztą tereny polskie, ale i ukraińskie czy późniejszych państw bałtyckich. Wówczas, po utracie na rzecz zachodnich aliantów kolonii w Afryce i Azji, zaczęły się niemieckie marzenia o imperium na wschodzie. Wydaje mi się, że przed 1914 rokiem w myśleniu o Europie Wschodniej przeważał strach przed carską Rosją,

eprasa.pl fc728fc9e1

a nie koncepcje budowy w tym regionie własnej strefy wpływów.

Jak niemieccy stratedzy wyobrażali sobie państwa narodowe w Europie Środkowo-Wschodniej?

Celem było powołanie *quasi*-niepodległych krajów według modelu, który niemal udał się w Finlandii: monarchii, w których głową państwa zostaje niemiecki arystokrata, blisko związany z Berlinem. Taki był plan aż do późnej jesieni 1918 roku. Naturalnie, z fińskiej perspektywy wyglądało to zupełnie inaczej, a wydarzenia tego okresu postrzegane są tam jako ruch narodowowyzwoleńczy i państwotwórczy.

W samej Finlandii – w której nawet wybrano już przyszłego króla z dynastii heskiej – spora część elity politycznej była niemieckiemu planowi przeciwna i przejawiała zdecydowanie republikańskie nastawienie. Do końca na ostrzu noża pozostawała kwestia tego, czy w Helsinkach wybrana zostanie monarchiczna, czy republikańska forma państwa.

Dla Niemców ułożenie relacji z lokalnymi elitami w Europie Środkowo-Wschodniej bez wątpienia pozostawało wyzwaniem, które należy postrzegać w szerszym kontekście konfliktu Niemiec ze światem Zachodu i koncepcją liberalnej demokracji reprezentowaną przez Francję, Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone. Była to walka o silne państwo i przetrwanie starej, dziewiętnastowiecznej elity uosabianej przez Ottona von Bismarcka. Podczas I wojny światowej w Niemczech elita ta wciąż była wpływowa. Sprawiało to, że dla cesarstwa trudne było promowanie republikańskiej formy państwa na wschodzie, skoro właśnie przeciw niej walczyło w tym samym czasie na zachodzie.

W jaki sposób podejście Berlina do poszczególnych krajów regionu się różniło?

Analizując niemieckie plany zagospodarowania Warszawy, tworzone jeszcze podczas wojny, nietrudno dostrzec, że polska stolica miała być miastem prowincjonalnym. Tak też, z pewną dozą kolonializmu, patrzono na cały region. W Berlinie żywiono przekonanie, że Niemcy mogą nim lepiej zarządzać, niż robili to Rosjanie.

Konserwatywne państwo niemieckie chciało nawiązać współpracę z lokalną, konserwatywną elitą. Na przykładzie Ukrainy czy Finlandii widać gotowość miejscowej arystokracji i możnych do układania się z Berlinem w zamian za korzyści materialne i zapewnienie bezpieczeństwa – przede wszystkim uchronienie od bolszewizmu czy innych sił, które chciałyby restauracji Imperium Rosyjskiego, na przykład białych. Niemcy wykorzystywali ten argument, przedstawiając się jako sprzymierzeńcy, zapewniający ochronę podczas rosyjskiej wojny domowej.

Obfitujący w wydarzenia rok 1918 zbliża się do końca, nadchodzi listopad i wszystko idzie nie tak. Cesarstwo ka-

eprasa.pl fc728fc9e1

pituluje, a w Berlinie wybucha rewolucja. Czy Niemcy są jeszcze w stanie poświęcać uwagę Europie Wschodniej wobec porażki na zachodzie?

Nie są. Priorytetem staje się wówczas zapobieżenie całkowitemu rozkładowi państwa, jaki ledwie rok wcześniej wydarzył się w Rosji. Rewolucja bolszewicka stała się punktem odniesienia dla każdej ze stron – wzorem do naśladowania dla niemieckich komunistów i przestrogą dla wszystkich pozostałych, znajdujących się na politycznej scenie na prawo od komunistów.

Problemem wynikającym ze 123 lat zaborów Polski było to, że nikt nie wiedział, gdzie powinna przebiegać wschodnia granica Niemiec. Również Polacy nie wiedzieli, jak daleko na zachód i na wschód powinno sięgać ich odrodzone państwo. Co ciekawe, Niemcy pogodzili się z postanowieniami traktatu wersalskiego i utratą na rzecz Francji Alzacji i Lotaryngii, jednak problemem pozostawała sprawa wschodniej granicy: nowa niemiecka republika nie zaakceptowałaby granicy z Polską, niezależnie od jej przebiegu. Utratę ziem i ludności, wpływów na wschodzie, wreszcie miasta Gdańska, odczytywano w tamtym okresie jako niesprawiedliwość. Nic dziwnego, że właśnie tam zaczęła się potem II wojna światowa. Jej wybuch warunkowało wiele przyczyn, ale kwestia wschodnich granic była pośród nich istotna.

Czy zastąpienie cesarstwa Republiką Weimarską przełożyło się na zmianę paradygmatu polityki wschodniej Berlina?

Polityka wschodnia Niemiec uległa głębokiej przemianie. Niezależnie od politycznych barw kolejnych rządów Berlin miał zazwyczaj fatalne stosunki z Warszawą. Tymczasem już w latach 1920–1922 nawiązano kontakty z bolszewikami, zwieńczone podpisaniem traktatu z Rapallo. W ślad za uznaniem ZSRR poszła współpraca wojskowa, w tym wymiana technologii. Tym samym w okresie Republiki Weimarskiej niejako powrócono do dawnych, bismarckowskich założeń współpracy z Rosją. Chciano także przeciwdziałać nowemu układowi geopolitycznemu, w którym pojawiły się Polska i Czechosłowacja: z perspektywy Berlina oraz Moskwy państwa skazane na upadek. Nawet demokratyczna niemiecka elita nie mogła zaakceptować silnego państwa polskiego. Priorytetem stało się odtworzenie dawnego porządku w Europie Środkowo-Wschodniej, a nie zwalczanie ZSRR.

Czy wschodnia polityka Niemiec była *de facto* polityką wobec Rosji?

Szczególnie we wczesnych latach myślenie Berlina o wschodzie oscylowało wobec sojuszu z bolszewicką Rosją. Wynikało to też z faktu, że po 1918 roku Niemcy czuły się wyłączone z klubu państw zachodnich. Był to związek dwóch pariasów. W połączeniu z pruską tradycją utrzymywania intensywnych kontaktów z Rosją oraz wrogością wobec nowych państw powersalskich, determinowało to politykę wschodnią Niemiec po I wojnie

eprasa.pl fc728fc9e1

światowej. Wyrosła ona z powstałej jeszcze w XVIII wieku koncepcji „negatywnej polityki polskiej" (*Polenpolitik*).

Polska w okresie międzywojennym również przejawiała *quasi*-kolonialne myślenie o Kresach Wschodnich jako swoim obszarze wpływów i kierunku ekspansji polskiej cywilizacji. Czy to nie sprawiło, że wojna polsko-niemiecka była nieunikniona?

O ile traktaty pokojowe wygasiły konflikty w zachodniej Europie, o tyle nie zdołały tego zrobić w przypadku Europy Środkowo-Wschodniej. Niemcy jako morska, kolonialna potęga, konkurująca na arenie międzynarodowej z Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi – to była ambicja cesarza na początku XX stulecia. W związku z utratą afrykańskich kolonii przeniosły swoje kolonialne, imperialne fantazje na obszar Europy Środkowo-Wschodniej. Doświadczenie wojennej okupacji regionu wzmacniało przekonanie o łatwości zarządzania nim. To nie Afryka, lecz Europa Środkowo-Wschodnia miała się stać kierunkiem niemieckiej ekspansji po I wojnie światowej. Z wyjątkiem socjaldemokratów cała niemiecka elita polityczna międzywojnia podzielała tę koncepcję, przejętą później przez nazistów.

Przełożył Krzysztof Mrozek

Jan Claas Behrends jest historykiem, specjalizuje się w historii Europy Wschodniej. Od 2005 roku wykłada na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim i na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. W Centrum Historii Współczesnej w Poczdamie kieruje projektem badawczym „Przemoc fizyczna w późnym socjalizmie".

eprasa.pl fc728fc9e1

Rysowanie nowej mapy

Z profesorem Andrzejem Chwalbą, historykiem,
znawcą I wojny światowej, rozmawia Martyna Słowik

MARTYNA SŁOWIK: Jaka była pozycja narodów Europy Wschodniej w trakcie konferencji paryskiej?

PROF. ANDRZEJ CHWALBA: Ich pozycja przetargowa była zmienna i nie zawsze zgodna z wizją aliantów. Ale po kolei… Kiedy wojna wybuchła, mocarstwa uważały, że nie ma konieczności wprowadzania zmian na mapie Europy, nie widziały miejsca dla nowych państw. Szczęśliwie dla aspiracji narodów pozbawionych własnych państw wojna trwała jednak wystarczająco długo, aby ich marzenia z sierpnia 1914 roku mogły się spełniać, poczynając od października i listopada roku 1918.

W naszej części Europy – między morzami Bałtyckim, Adriatykiem i Czarnym – znajdowały się państwa przegrane w Wielkiej Wojnie: z jednej strony Niemcy i Austro-Węgry, a z drugiej Rosja, która najpierw przegrała militarnie, a następnie po rewolucji bolszewickiej wycofała się z wojny. Była to sytuacja komfortowa z punktu widzenia ambicji narodów zamieszkujących ten obszar. Przegrani nie decydowali. Decydowali alianci. W niejednym przypadku ich interesy pokrywały się z interesami narodów szukających drogi do niepodległości.

Lecz nie wszystkie narody dostały szansę wybicia się na niepodległość i stworzenia własnego państwa. Polacy ją otrzymali. Istotną rolę odegrał w tym prezydent USA Thomas Woodrow Wilson. Już w czerwcu 1918 roku było pewne, że Polska powstanie. Pewne też stało się powstanie Czechosłowacji. Natomiast w przypadku innych państw regionu – Litwy, Łotwy, Estonii czy Finlandii – alianci długo zwlekali z podjęciem decyzji o ich prawnym uznaniu. Uważali, że zwycięstwa bolszewików są chwilowe, bo taka jest logika każdej rewolucji, która w jakimś momencie wyhamowuje, a wówczas znów odrodzi się wielka Rosja jako sojusznik aliantów. Nie chciano jej osłabiać, popierając aspiracje narodów zamieszkujących Rosję.

W wyobrażeniach aliantów Polska miała być średniej wielkości państwem składającym się z zachodniej części Galicji, części zaboru pruskiego oraz z większości ziem Królestwa Polskiego, bez zamieszkanej przez Litwinów jego części północnej. Natomiast o Ukrainie i Białorusi alianci nie myśleli jako o potencjalnych państwach. Ich powstanie rozbijałoby jedność Rosji, a oni chcieli dawnego i silnego imperium. Życzyli sobie tego zwłaszcza

eprasa.pl fc728fc9e1

Francuzi. Po pierwsze, byli przekonani, że silna Rosja to sojusznik na wypadek rewizjonizmu niemieckiego. Po drugie, zainwestowali w gospodarkę rosyjską poważne kapitały i nie chcieli ich stracić, gdyby do władzy doszli bolszewicy.

Jak więc państwa Europy Wschodniej lobbowały za swoimi interesami podczas konferencji paryskiej?

Delegacje litewska, łotewska i ukraińska były obecne w Paryżu, przekonując do swoich racji, ale bez sukcesu, także dlatego, że konferencja dotyczyła relacji między Niemcami a ich sąsiadami oraz losu Niemiec: demilitaryzacji, kwestii kolonii i tak dalej. Dla aliantów ambicje narodów wschodniej części były kwestiami trzeciorzędnymi. Dlatego próby ich przekonywania podczas konferencji, że my – Ukraińcy, Litwini czy Finowie – mamy prawo do własnego państwa, nie spotykały się z pozytywną reakcją. Podczas konferencji ustalono jedynie granice Niemiec z Polską i Czechosłowacją, natomiast obszary leżące na wschód od Polski i Czechosłowacji nie stały się przedmiotem obrad konferencji paryskiej.

Jaką postawę przyjęli alianci wobec wydarzeń w Rosji w trakcie trwania konferencji paryskiej?

W roku 1919, gdy toczyły się obrady, uważali, że trzeba wspierać finansowo i materiałowo opozycję antybolszewicką. Francuzi wspierali białych do momentu, kiedy ostatni rosyjski biały generał walczący z bolszewikami, Piotr Wrangel, uznał się za pokonanego, wsiadł na okręt i odpłynął z Krymu na zachód.

Natomiast Anglicy mieli coraz mniej cierpliwości dla białych i wspierali ich coraz słabiej, a w 1920 roku faktycznie zaniechali wsparcia, uważając, że biali nie wygrają z bolszewikami. Francuzom biała Rosja była potrzebna, Anglikom niekoniecznie. Między Rosją i Anglią w XIX wieku występowały daleko idące napięcia zwłaszcza w Azji Środkowej i na Środkowym Wschodzie. Anglicy obawiali się, że biali po zwycięstwie mogą powrócić do konfrontacyjnej polityki wobec ich imperialnych interesów. Warto pamiętać, że przed wybuchem Wielkiej Wojny Wielka Brytania i Rosja nie były połączone sojuszem wojskowym. Brytyjczycy nie martwili się też szczególnie utratą kapitałów w Rosji, gdyż ich zaangażowanie w gospodarkę rosyjską przed 1914 rokiem było stosunkowo skromne.

Z tego powodu nie pozwolono na przyjazd obalonego Mikołaja II?

Brytyjska opinia publiczna w osobie Mikołaja II widziała symbol autokratycznej Rosji. Przed wojną nie cieszył się ich sympatią. Przeciwnie. Ogólnie rzecz biorąc, reżim Mikołaja II miał złą prasę w Anglii. Pamiętano carowi między innymi krwawe stłumienie rewolucji 1905 roku. W 1917 i 1918 roku, kiedy ważyły się jego losy, w Anglii nie było liczniejszych środowisk, które stanęłyby w jego obronie. Zresztą Mikołaj II wcale nie był entuzjastą wyjazdu na emigrację. Uważał, że jego miejsce jest w Rosji. Był naczelnym

eprasa.pl fc728fc9e1

Janusz Jabłoński/Wydawnictwo Literackie



Edward N. Jackson (US Army Signal Corps)/ Domena publiczna

Dla aliantów ambicje narodów Europy Wschodniej były kwestiami trzeciorzędnymi. Na zdjęciu stoją ówcześni decydenci: David Lloyd George, Vittorio Orlando, Georges Clemenceau i Thomas Woodrow Wilson.

wodzem armii rosyjskiej od 1915 roku. W przekonaniu o konieczności pozostania w Rosji utwierdzała go też żona. Uważała, że na rosyjskiej ziemi muszą być do końca.

A zatem Anglicy zbliżyli się do bolszewików.

Rzeczywiście pod koniec 1919 roku Anglicy poszukiwali kontaktów z bolszewicką Rosją. Byli realistami. Widzieli, że skoro bolszewicy wygrywają, to znaczy, że cieszą się pewnym poparciem społecznym. Mogli zatem rozważyć nawiązanie dobrych relacji handlowych. I takie kroki podjęli. Nie oznaczało to jeszcze uznania *de iure* państwa sowieckiego. Natomiast w tym samym czasie Francja odmawiała jakichkolwiek kontaktów z bolszewikami. Do nawiązania dobrych relacji z Moskwą zachęcały rząd i parlament brytyjski tamtejsze związki zawodowe oraz Partia Pracy. Robotnicy i działacze związkowi organizowali manifestacje na rzecz państwa sowieckiego. Hasłem prosowieckiej lewicy były słowa: „ręce precz od Rosji!". Lewica, nie tylko zresztą brytyjska, widziała w Rosji bolszewickiej realizację

eprasa.pl fc728fc9e1

swoich marzeń – oto proletariusze wzięli w swoje ręce władzę i starają się żyć godnie i sprawiedliwie. Wyobrażenie Rosji jako więzienia narodów, jako państwa przemocy, gwałtu, terroru jeszcze nie istniało. Dlatego koalicyjny rząd Lloyda George'a musiał brać pod uwagę opinie mnóstwa ludzi. Musiał być bardziej elastyczny wobec czerwonej Rosji niż Francuzi. Niechęć Anglików do wspierania białych przeniosła się później na Polskę, do pomagania której w wojnie z bolszewikami też się nie palono. Anglicy nie chcieli udzielać nam wsparcia, a jeśli już udzielali, to z wielkimi oporami.

Nie wszystkie państwa, które powstały w trakcie Wielkiej Wojny lub po niej, przetrwały konfrontację z czerwoną Rosją. Żadne z państw, które pojawiły się na Kaukazie – Gruzja, Armenia, Azerbejdżan – nie zachowały niepodległości, bo Armia Czerwona na nie uderzyła i je zniszczyła. Białoruś i Ukraina nie mogły powstać, bo Moskwa stworzyła Białoruską Republikę Sowiecką i Ukraińską Republikę Sowiecką. W moskiewskiej, imperialnej optyce, nie było miejsca na Ukrainę Semena Petlury czy na niepodległych Białorusinów.

Czy Francja próbowała wpływać na Anglię, aby ta zmieniła front wobec Rosji?

Oczywiście, ale Anglicy mieli własne interesy. Już w trakcie konferencji paryskiej było widać, że Francja i Anglia nie mówią jednym głosem. Podczas wojny łączył ich wspólny cel: konieczność pokonania Niemiec. To się stało. Od tego momentu każdy pilnował swoich spraw. Dlatego też Anglia była skłonna szybciej uznać nowo powstałe państwa bałtyckie – Litwę, Łotwę, Estonię i Finlandię – niż Francja. W Londynie panowało przekonanie, że skoro kraje te powstały, to trzeba się z nimi porozumieć i mieć nad nimi kontrolę. Z kolei Francuzi cały czas żyli złudzeniami o białej Rosji. To musiało powodować napięcia. Dla Francji Polska była bardzo ważna, ważniejsza niż dla Anglii. Ta druga wiedziała, że Polska musi istnieć, bo jest zbyt wielu Polaków i coś z nimi trzeba zrobić… Ponadto prezydent Wilson poparł powstanie Polski, co jednak nie znaczyło, że Anglia będzie wspierać polskie aspiracje co do korzystnych granic na zachodzie i wschodzie. Nie było przypadkiem, że autorem bardzo niekorzystnej dla Polski, a zalecanej linii granicznej na Bugu, był minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii lord Curzon. Anglikom nie podobało się, że Francja chciała widzieć nasz kraj i inne państwa Europy Wschodniej w swojej orbicie wpływów. Chcieli równowagi w Europie kontynentalnej, a nie dominacji Francuzów, którzy mieli ambicje zastąpić Niemcy na kontynencie.

W jaki sposób izolacjonizm amerykański wpłynął na losy państw Europy Wschodniej?

Amerykanie nie uczestniczyli w konstruowaniu nowej architektury politycznej Europy na wschodzie. Ich aktywna rola polityczna zakończyła się na trak-

eprasa.pl fc728fc9e1

tacie wersalskim i powołaniu Ligi Narodów. Także Rzym nie był bliżej zainteresowany losem Europy Wschodniej, a Japonia, jako piąte główne państwo alianckie, zupełnie się tym regionem nie zajmowała. Decydowali Anglicy i Francuzi.

À propos wojny polsko-bolszewickiej: czy po bitwie warszawskiej Józef Piłsudski mógł inaczej postąpić z Ukraińcami, czyli wywiązać się ze zobowiązań wobec Petlury i zagwarantować niepodległość Ukrainie?

Nie mógł, nawet gdyby bardzo chciał. Jego umowa z Petlurą nie została ratyfikowana przez Sejm. To osłabiło jego racje. Zakończona porażką tak zwana wyprawa kijowska spowodowała, że mimo zwycięstw warszawskiego i niemeńskiego pozycja Piłsudskiego była słabsza niż przed majem 1920 roku. Mocniejszy był Sejm i rząd, ale to nie był jego rząd. W związku z tym Piłsudski nie mógł narzucić swojej wizji politycznej. Nie był dyktatorem, choć był naczelnikiem państwa. Ponadto, mimo zwycięstwa niemeńskiego, armia polska nie była w stanie posuwać się dalej. Alianci stanowczo deklarowali, że nie pożyczą już ani pieniędzy, ani nie sprzedadzą Polsce uzbrojenia na dalszą – jak to nazywali – awanturniczą i imperialną wojnę na wschodzie. Zarówno polscy opozycyjni politycy, jak i alianci ostrzegali Piłsudskiego: „musi się pan natychmiast zatrzymać, nie może pan okupować ziem ukraińskich, białoruskich, litewskich". Rzeczywiście na Wołyniu i Polesiu Polacy nie stanowili więcej niż 10 procent ogółu ludności. Polacy mieli jedynie większość na północnym wschodzie (Grodno, Wilno). Polska, nie mając ani poważnych zasobów pieniężnych, ani przemysłu zbrojeniowego, nie mogła bez wsparcia aliantów kontynuować wojny. Byliśmy zdani na ich łaskę i niełaskę. W tej atmosferze delegacja polska skupiająca polityków niechętnych wizji Piłsudskiego rozpoczęła rokowania z władzami bolszewickimi. Rozmowy ostatecznie zakończyły się podpisaniem traktatu ryskiego w marcu 1921 roku. Już na początku rozmów bolszewicy wykluczyli obecność delegacji Ukrainy Petlury. Nie wyobrażali sobie, aby w Kijowie był ulokowany wrogi im rząd. Polska delegacja akceptowała tę argumentację. Większość jej składu stanowili politycy uważający, że Polacy nie mogą umierać za Ukrainę, gdyż Polska jest zbyt słaba, a poza tym nie mają w tym interesu. Mieli świadomość, że zarówno bolszewicy, jak i biała Rosja, która jeszcze nie powiedziała ostatniego słowa, nie dopuszczą do sytuacji, aby Ukraina należała do Ukraińców. Przeciwni wolnej Ukrainie byli alianci, pomimo że dyplomaci związani z Piłsudskim próbowali ich przekonać do zmiany stanowiska.

A więc Petlury nie dało się uratować?

Nie, gdyż ratowanie Petlury oznaczałoby dalszą wojnę, na którą nie było zgody ani polskiego Sejmu, ani rządu w Warszawie, ani aliantów. Zresztą Piłsudski też zaczął rozumieć, że Petlura nie ma poparcia na Ukrainie i w Europie. Mieszkań-

eprasa.pl fc728fc9e1

cy Ukrainy byli zmęczeni wojną, myśleli o pokoju. Nie chcieli się bić za Petlurę. Nie mieli też z reguły poczucia odrębności narodowej. To tak zwani tutejsi, prości ludzie, chłopi, którzy nie chcieli umierać za dziwactwa, jak uważali, inteligentów ukraińskich.

Polska zobowiązała się w preliminariach pokojowych wobec strony bolszewickiej, że nie będzie wspierać żadnych wrogich jej formacji. Ale Polacy nie opuścili całkowicie wojsk Petlury. Przekazali im broń i amunicję i pozwolili na dokonanie ofensywy w kierunku Ukrainy. Armia Petlury ruszyła na wschód, ale około stu kilometrów od granicy została pobita i po dwóch–trzech tygodniach musiała się wycofać. Samodzielna wyprawa wojsk Petlury dowiodła, że bez wsparcia Polski i Europy Ukraina nie ma żadnych szans na zwycięską walkę z państwem bolszewickim.

Andrzej Chwalba jest profesorem historii, badaczem historii społecznej, kulturowej i politycznej XIX–XXI wieku oraz relacji polsko-rosyjskich. Kierownik Zakładu Antropologii Historycznej w Instytucie Historii Uniwersytetu Jagiellońskiego.

eprasa.pl fc728fc9e1

Republika odzyskana

Z Valerem Bułhakauem, białoruskim filozofem i badaczem ruchów nacjonalistycznych, rozmawia Maxim Rust

MAXIM RUST: W tym roku w naszym regionie trwa karnawał obchodów niepodległości. Na tle innych krajów kwestia państwowości Białorusi sprzed stu laty wciąż jest mało znana, również dla samych Białorusinów. Jakie były przesłanki powstania Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL) w 1918 roku?

VALER BUŁHAKAU: Na proklamowanie niepodległości wpłynęło wiele czynników, między innymi rozwój ruchu narodowego, kryzys Imperium Rosyjskiego oraz zmiana koniunktury geopolitycznej po I wojnie światowej. W podobnych okolicznościach kształtowała się też niepodległość innych państw regionu, ale historia pokazała, że białoruska suwerenność nie była trwała. Nie jesteśmy pod tym względem osamotnieni – ukraińska państwowość miała podobne problemy, choć ruchy niepodległościowe były tam o wiele silniejsze. Wbrew wielu niesprzyjającym czynnikom, proklamowanie BRL było wielkim osiągnięciem białoruskiego ruchu narodowego. Wydarzenie to miało również wpływ na pojawienie się niepodległej Białorusi na mapie Europy w 1991 roku.

W jakich warunkach geopolitycznych wykuwała się BRL?

Doświadczenie wojny było traumatyczne, ale też nadało nową dynamikę ruchom narodowym w regionie. Powstała sytuacja, którą trudno było wcześniej przewidzieć. Imperium Rosyjskie wskutek kilku lat walk trzeszczało w szwach. Białoruś od 1915 roku była podzielona na dwie strefy: na wschodzie panowali Rosjanie, a na zachodzie wojska niemieckie. Obecność Niemców z jednej strony osłabiała białoruski ruch narodowy, ponieważ jego przedstawiciele musieli działać w warunkach, kiedy dzieliła ich linia frontu, ale z drugiej mu sprzyjała, gdyż pod niemiecką okupacją powstały warunki do intensywnego rozwoju narodowej kultury, rozwijało się też szkolnictwo i prasa. Białoruski ruch narodowy był jednak wówczas słabszy w porównaniu z innymi nacjonalizmami w regionie.

Dla białoruskiej niepodległości duże znaczenie miała państwowość litewska. Proklamowanie niepodległości BRL 25 marca 1918 roku nastąpiło wskutek uznania niepodległości Litwy przez niemieckiego cesarza Wilhelma II dwa dni wcześniej. Z kolei sami Litwini nie mogli liczyć na własne państwo bez wspar-

eprasa.pl fc728fc9e1

cia i zgody władz niemieckich oraz porozumienia z nimi elit litewskich. Tu trzeba pamiętać, że bez aprobaty Niemiec ogłoszenie niepodległości Polski również nie byłoby możliwe.

Mówi Pan dużo o białoruskim ruchu narodowym. A jak wówczas wyglądała sama białoruska tożsamość? Czy to byli Białorusini, czy jednak tutejsi?

Wtedy byli i Białorusini, i tutejsi, i Polacy, i Rosjanie. Białoruś sprzed stu lat była innym krajem pod względem demograficznym. Większość mieszkańców miast stanowili Żydzi. W największych ośrodkach miejskich, takich jak Mińsk czy Witebsk, Białorusini byli dopiero trzecią, czwartą czy nawet piątą grupą pod względem liczebności. Jak wiemy, te proporcje drastycznie zmieniły się po II wojnie światowej. Inną skrajnością jest stwierdzenie, że świadomych tożsamościowo Białorusinów na początku XX wieku nie było w ogóle. Bez żadnych wątpliwości – istnieli, ale było ich bardzo mało. To nie są moje oceny, tylko fakty. W latach 1917–1918 wskutek wyborów do samorządów, na przykład do mińskiej Dumy trafili białoruscy deputowani, wśród których byli wyraziciele idei niepodległościowych żądający narodowego szkolnictwa. W wyborach do Zgromadzenia Ustawodawczego Rosyjskiej Republiki również startowały białoruskie partie i białoruscy niepodległościowcy mieli poparcie, choć było ono minimalne. Białoruski nacjonalizm był obecny w społeczeństwie, jednak i on był marginalny. Dlatego też BRL nie przetrwała jako projekt państwowy. Warto dodać, że działacze BRL nie potrafili zapewnić legitymizacji swojego rządu poprzez poparcie Białorusinów w wyborach, o czym mało kto dziś pamięta. Wiedzieli oni, że mogą nie zdobyć poparcia mas i dlatego sami wyłonili rząd, a nie poprzez głosowanie.

A czym w rzeczywistości była BLR?

Nie była fikcją, ale nie stała się też pełnowartościowym państwem. Stanowiła projekt polityczny, który miał pewne sukcesy w budowaniu instytucji państwowych, ale nie było to państwo we współczesnym rozumieniu, a więc podmiot, który kontroluje swoje terytorium, ma wojsko, egzekwuje podatki itd. BRL była pewną symboliczną rzeczywistością, swoistą prowokacją intelektualną i polityczną, która ma ogromne znaczenie dla historii współczesnej Białorusi. Ale nie był to sukces pod względem ciągłości państwowej.

Czy możemy w ogóle rozpatrywać BRL w kategoriach państwa? Formalnie istniała niecały rok.

Biorąc pod uwagę ówczesne realia, powoływanie się na to, że coś istniało rok, dwa czy trzy, jest bez sensu. BRL zaistniała pod okupacją niemiecką, dlatego zawsze będziemy stawać przed dylematem: ile w BRL było rzeczywistych przesłanek niepodległościowo-narodowych samych Białorusinów, a w jakim stopniu na jej powołanie wpłynęła ówczesna koniunktura geopolityczna. Państwowość współ-

eprasa.pl fc728fc9e1

cześnie ma kilka zdefiniowanych cech – oprócz wyżej wymienionych to też legitymizacja wewnętrzna i zewnętrzna. Kwestia uznania państwowości BRL jest w dużej mierze spekulacją, ponieważ w całości opiera się na późniejszych interpretacjach. Pamiętajmy, że według ówczesnych standardów formalne uznanie jej państwowości nie nastąpiło. Może brzmi to dość radykalnie, ale takie są fakty.

BRL zaistniała jednak jako twór geopolityczny. Jakie było nastawienie do niej ze strony sąsiadujących mocarstw?

Tu sprawa jest dość oczywista – imperia się rozpadały, dlatego zaistniała szansa na powodzenie ruchów niepodległościowych na płaszczyźnie politycznej. Błędem jednak jest dość powszechne twierdzenie, że białoruski ruch narodowy i niepodległościowy znajdował się na tym samym poziomie, co polski, ukraiński czy litewski. To nieprawda – sam białoruski nacjonalizm jako w miarę spójne zjawisko pojawił się dopiero trzydzieści lat przed proklamowaniem BRL. Nie było pełnowartościowego białoruskiego szkolnictwa, prasy czy nauki i to miało wpływ na tożsamość, a ona z kolei na powodzenie projektów niepodległościowych.

Zadajmy więc pytanie: czy BRL miała jakiekolwiek szanse na sukces jako niepodległe państwo?

Nie patrzę na BRL jako na twór historycznie przypadkowy. Sto lat temu szanse na powodzenie projektów niepodległościowych miały narody, które były gotowe za ideę nie tylko walczyć, ale i ginąć. Białoruskie państwo cieszyło się pewnym poparciem, ale większość mieszkańców nie chciała przelewać za nie swojej krwi.

I tu widzimy, jak historia się powtarza: brak wsparcia idei niepodległościowej wpłynął na upadek ruchu białoruskiego również w 1994 roku, już na współczesnej Białorusi. Białorusini wtedy milcząco patrzyli na protest głodowy demokratycznych deputowanych w parlamencie, a zaledwie kilka tysięcy z nich odważyło się demonstrować przeciw monopolizacji władzy. Większość po prostu patrzyła na to z boku i ten brak aktywnego poparcia sprawił, że wizja białoruskiego ruchu narodowo-demokratycznego upadła. Nasuwa mi się na myśl genialna sztuka Janki Kupały *Tutejsi*, w której autor nawiązuje do obojętności i politycznej apatii mieszkańców Mińska akurat w okresie powoływania BRL. Ta sztuka na Białorusi nadal jest bardzo aktualna i pokazuje konformizm większości Białorusinów – tak ten sprzed stu laty, jak i obecny.

Pokazuje Pan łączność przeszłości i teraźniejszości. Jakie jest znaczenie pamięci o BRL dla Białorusi dzisiaj? Jeszcze do niedawna oficjalna historiografia podchodziła do jej spuścizny wyłącznie negatywnie, nazywając ją „projektem niemieckim"...

Faktycznie, na przełomie lat dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych władze upajały się upadkiem białoruskiego ruchu narodowego, dlatego wówczas w oficjalnej

eprasa.pl fc728fc9e1

społeczności akademickiej nie badano rzetelnie spuścizny BRL. Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero pod koniec pierwszej dekady nowego tysiąclecia, a momentem przełomowym była rosyjska agresja na Ukrainę – władze trochę poluzowały kontrolę inicjatyw społeczno-kulturalnych i badań historycznych, białoruską historiografię przestały obowiązywać sztywne ramy ideologiczne. Dlatego możemy mówić o sukcesie stulecia proklamowania BRL – łukaszenkowskie państwo nie tylko biernie się im przyglądało, ale i częściowo sprzyjało oficjalnym obchodom tej rocznicy. Oficjalny Mińsk wreszcie uznał fakt, że BRL jest jednym z zalążków białoruskiej niepodległości.

Czy spuścizna BRL nadal funkcjonuje jedynie w wymiarze symbolicznym dla części ruchu narodowego i partii opozycyjnych, czy zaczyna być traktowana przez dużą część społeczeństwa jako nieodłączny element białoruskiej państwowości?

Nie mogę mówić w imieniu wszystkich Białorusinów – to pytanie do socjologów. Faktem jest, że temat BRL nie wszedł jeszcze do głównego nurtu debaty, ale wyszedł z opozycyjnego getta. Nie jest już więc jakimś dziwolągiem jak przez ostatnie dwadzieścia lat. Nie dostrzegam jednak w tym nagłego olśnienia białoruskiego społeczeństwa, to bardziej skutek koniunktury politycznej po 2014 roku, instytucje państwowe przynajmniej nie przeszkadzają w zajmowaniu się tematem BRL. Z jednej strony wciąż publikacje poświęcone BRL w państwowych periodykach są mocno zideologizowane. Na przykład w państwowych wydawnictwach rzadko pojawiają się mapy republiki z 1918 roku: nie są one „poprawne politycznie", gdyż obejmują spore tereny współczesnej Rosji. Wiąże się to też z silną narracją antyrosyjską środowiska politycznego, które tworzyło BRL. Z drugiej strony czasem władze mogą wesprzeć upamiętnienie BRL – w tym roku jej dorobek prezentowano w wielu publicznych instytucjach. W takiej sytuacji społeczeństwo nie może nie zareagować na zmiany, stąd wzrost zainteresowania problematyką białoruskiej państwowości w ogóle.

Większość społeczeństwa żyła dotychczas „po inercji", nie zastanawiając się, czym jest ich ojczyzna. Ta kwestia się ciągle przewija – czy jest nią Białoruska SRR, czy cały ZSRR, czy Republika Białoruś. Dla młodego pokolenia to już nie jest pytanie, gdyż ich ojczyzną po prostu jest Białoruś. Ale pozostaje dylemat, gdzie są nasze korzenie?

Państwo białoruskie ma najwięcej narzędzi wpływu na świadomość społeczną oraz tożsamość historyczną, narodową i państwową w porównaniu ze społeczeństwem obywatelskim. Są oczywiście ośrodki niezależne działające w ramach społeczeństwa obywatelskiego, ale ich problem polega na tym, że choć potrafią dobrze informować, nie są w stanie „produkować" wiedzy o BRL i jej dorobku. Niestety, żadne z nich nie mogą konkurować z instytucjami państwowymi. Funkcjonują one ponadto poza Białoru-

eprasa.pl fc728fc9e1

się: w Polsce, na Litwie itd. Przykładem może być fakt, że jedna z najlepszych monografii poświęconych BRL, *Białoruska Republika Ludowa 1918–1920*, autorstwa Doroty Michaluk, ukazała się w Polsce.

Skąd takie zainteresowanie BRL poza granicami kraju?

Białoruska oficjalna historiografia nie zawsze sprzyjała tym badaniom, nie było dla nich odpowiednich warunków. Za granicą, na przykład w Polsce, takich ograniczeń nie było i oto efekt. Zresztą takich historyków jak Michaluk, Aleh Łatyszonak czy Eugeniusz Mironowicz postrzegam nie tylko jako polskich naukowców, ale i jako część współczesnej białoruskiej historiografii.

Jakie są Pana prognozy dotyczące rozwoju badania BRL w najbliższym czasie? Czy pozostanie ona tematem marginalnym, czy na dobre zakorzeni się w białoruskiej historiografii?

Obecna sytuacja jest pozytywna – jak wspominałem, zainteresowanie BRL wśród społeczeństwa rośnie, a państwo przynajmniej nie przeszkadza w badaniu i przedstawianiu tej kwestii. Białoruscy historycy coraz chętniej zajmują się tą tematyką i mam nadzieję, że różnorakich prac, poświęconych BRL, będzie coraz więcej.

Jestem jednak ostrożny w swoim optymizmie. Białoruś jest państwem mało przewidywalnym. Pamiętajmy, że Mińsk wykorzystuje obecną sytuację do osiągnięcia doraźnych celów politycznych. Jeśli koniunktura polityczna się zmieni, to z dnia na dzień kwestia spuścizny BRL może szybko i skutecznie ponownie zostać zmarginalizowana.

Valer Bułhakau jest białoruskim komentatorem politycznym, doktorem filozofii i badaczem europejskich nacjonalizmów. Autor wielu publikacji naukowych. Redaktor naczelny niezależnego białoruskiego magazynu „ARCHE".

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

Nowa Europa Wschodnia

Pismo Spraw Wschodnich

Zalogowani na Wschód.

Na **www.new.org.pl** więcej niż w wydaniu papierowym:
zawsze aktualne komentarze o wydarzeniach na Wschodzie,
archiwalne numery Nowej Europy Wschodniej

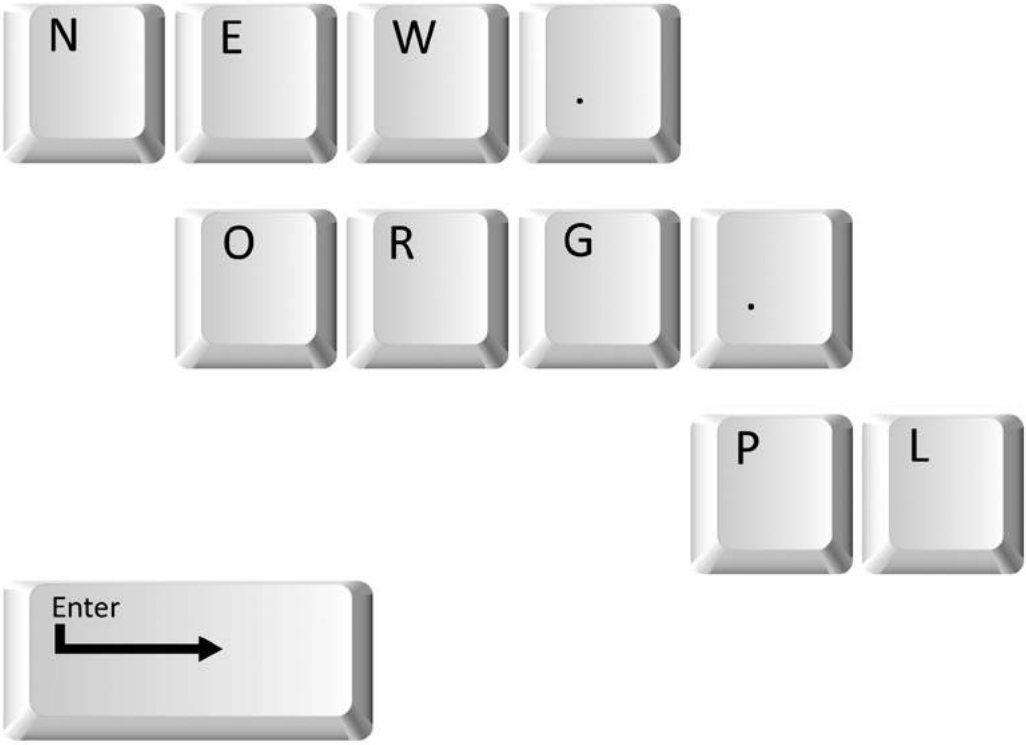

Odwiedź naszą stronę www.new.org.pl

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA

Jarmark bożonarodzeniowy we Wrocławiu, to jeden z najpiękniejszych jarmarków. W tym wyjątkowym czasie serce Wrocławia zaczyna bić mocniej... Wrocławski rynek staje się tłem dla bajkowej scenerii... Wśród pachnących lasem choinek, aromatu grzanego wina i czekoladowych pierników, na mieszkańców Wrocławia i turystów czeka moc świątecznych niespodzianek i atrakcji. Magia świąt oczaruje każdego...! W pobliżu wrocławskich kwiaciarek na placu Solnym pojawią się ptysiowe gofry, maślane bułeczki, placki ziemniaczane, cepeliny, kartacze, pyry z gzikiem, szynki pieczone, oryginalna chałwa, góralskie serki, czekoladowe pierniki, unikatowa ceramika ukraińska, świąteczne ozdoby z drewna, kosmetyki naturalne. Tuż obok Pręgierza obok tradycyjnego Świątecznego Wiatraka, pojawi się Bajkowy Lasek, w którym na najmłodszych gości czekać będą przepiękne, bajki, które swoją magiczną wizualizacją i oprawą dźwiękową wprowadzą wszystkich maluchów do iście baśniowego świata. „Czerwony Kapturek", „O dzielnym krawczyku", „Królewna Śnieżka" czy też „Pinokio", to tylko część tej niesamowitej przygody. Przy wrocławskiej choince pojawi się dziecięca karuzela „Rudolf i przyjaciele". Na pierzei północnej Rynku nie zabraknie również Domku Kominkowego wraz z plenerowymi kominkami, gdzie będzie można ogrzać się przy prawdziwym ogniu i aromatycznym wrocławskim grzańcu oraz bramy Jarmarku Bożonarodzeniowego, która otwierając się na ulicy Świdnickiej wprowadzi wszystkich gości w magicznie świąteczny klimat. Jarmark bożonarodzeniowy to także idealne miejsce dla tych, którzy swoim bliskim pragną podarować coś wyjątkowego. W pięknych, drewnianych domkach będzie można wybierać świąteczne podarunki spośród wielu unikatów. Pojawi się m.in. wyjątkowa ceramika z Ukrainy, biżuteria zatopiona z żywicy, wykonane z naturalnego, lnianego materiału ozdobne torby i worki z kolorowymi motywami, świąteczne wyroby ceramiczne, litewskie przytulne koce z wełny, naturalne kosmetyki, rękodzielnicze artykuły dekoracyjne. Będzie można zakupić także:, marsylskie mydła zapachowe, ręcznie wykonane stroiki i choinki, maskotki i kocyki dla najmłodszych, drewniane zabawki dla dzieci, biżuterię czy też piękne torby filcowe z motywami ludowymi. Nie zabraknie również wyjątkowego rękodzieła z najdalszych zakątków świata. W magiczny klimat wprowadzą nas również niezwykłe wydarzenia artystyczne. Na rynku odbywać się będą wyjątkowe parady świąteczne, a od 1 grudnia, kiedy to przy wrocławskiej choince pojawi się scena, będzie można podziwiać występy artystyczne. Koniecznie trzeba wybrać się na wrocławski rynek i poczuć magię świąt, aby krasnal Prezentuś mógł spełnić najskrytsze życzenia.

Wrocław miasto spotkań

eprasa.pl fc728fc9e1

REKLAMA



Czy widziałeś jeden
z najpiękniejszych jarmarków
bożonarodzeniowych
w Europie?

Zapraszamy już od 23 listopada 2018

visitWroclaw.eu

Oficjalny serwis turystyczny

eprasa.pl fc728fc9e1

10 LAT Nowa Europa Wschodnia

W numerze między innymi:

Magdalena Lejman: Josif Kobzon był twarzą i głosem rosyjskiej estrady. Ponad dwadzieścia lat aktywnego artystycznego i politycznego życia w Federacji Rosyjskiej nie zmieniło jego wizerunku jako człowieka radzieckiej epoki. W ostatniej drodze towarzyszyły mu tysiące wielbicieli i przedstawiciele władz państwowych kraju. Czy jego odejście jest też pożegnaniem z kulturą byłego systemu?

Azerbejdżan jest krajem, gdzie nie tylko gejom trudno się żyje, tu w ogóle ciężko być obywatelem. Arbitralne aresztowania, prześladowania ze strony policji i władz są na porządku dziennym. Prawa obywatelskie często łamane są bez powodu. Zwykłemu człowiekowi trudno się przed tym bronić: na próżno szukać sprawiedliwości w sądach, bo niezawisłe sądownictwo nie funkcjonuje – mówi **Ismail Dżalilow**.

Tomasz Pugacewicz: Nasza ocena wizji Trumpa uzależniona jest od przyjętej perspektywy. Amerykańscy liberałowie powiedzą, że dokonuje on erozji dotychczasowego liberalnego porządku, a realiści, że ta erozja zachodziła już wcześniej, a Trump po prostu przeciwdziała toczącym się procesom: strefa wpływów USA się kurczy, czekają nas nowe porządki tworzone przez wschodzące potęgi, które oprą się na innych niż liberalne regułach.

Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka - Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl fc728fc9e1